KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 3/101 1956



• *«La Culture» • Revue mensuelle* •

NAGRODA LITERACKA „KULTURY"

A. BOBKOWSKI: **SPOTKANIE**

SPIS RZECZY





KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Marzec-Mars 1956

INSTYTUT  LITERACKI

NAGRODA LITERACKA „KULTURY" NA ROK 1955

Jury Nagrody Literackiej „Kultury" ufundowanej przez prezesa E. Berenbaua, po rozpatrzeniu rękopisów konkursowych wyróżniło dwie prace:

Opowiadania SMUTNY UŚMIECH, godło „Barbara", *oraz nowelę DZIEŃ I NOC, godło* „Niech".

W związku z tym nagrodę w kwocie 300 *dolarów postanowiono podzielić między nagrodzonych autorów.*

Po otwarciu kopert okazało się, że autorem SMUTNEGO UŚMIECHU jest Andrzej CHCIUK (*Woodent, Australia*), *zaś DNIA I NOCY* Leo LIPSKI (*Tel Aviv, Izrael*).

Nagrodzone prace ukażą się drukiem w bieżącym roku.

W następnym numerze zamieścimy omówienie nagrodzonych prac i całokształtu konkursu.

Przypominamy, że termin nadsyłania prac na Nagrodę Literacką „Kultury" na rok 1956 *upływa* 31 *października br.*



DALSZE WPŁATY NA DOM "KULTURY"

Jerzy J. Piórkowski, Bronx, N.Y. (USA), ponownie	4.000 fr.
Maria Majewska, Toronto (Kanada)	750 "
Zygmunt Kruszewski, Eidon, Vic. (Australia)	2.000 "
Stefan Prokopiak, Ponta Grossa, Parana (Brazylia) ponownie	3.000 "
S. Bartnicka, Maghull n/Liverpool (Anglia)	1.000 "
Stefan Chałupka, Londyn (Anglia)	3.000 "
W. Bieniasz, Toronto, Ont. (Kanada)	1.750 "
Dr S.N. Korzeniowski, Chicago, Ill.	1.500 "

DZIĘKUJEMY

Imprimé en France

Fragmenty z dziennika

MAR DEL PLATA

Sobota.

O Buenos Aires zawadziłem tylko w drodze na południe. I miałem jechać do estancji „Dusia” Jankowskiego, koło Necochea. Ale Odyniec wsadził mnie w samochód i uwiózł do Mar del Plata. Po ośmiu godzinach jazdy — miasto i nagle z boku, z lewej strony, z góry ujrzany, on, ocean. Ale zagłębiamy się w ulice i wreszcie „quinta”. Znam to już. Wielkie, szumiące drzewa ogrodu, psy i kaktusy. Sad. Wieś prawie.

Wtorek.

Hiszpan, z którym jedliśmy wczoraj kolację. Starszy pan., niezmiernie ugrzeczniony. Ale ta grzeczność jest, jak sieć, którą zarzuca na ludzi aby ich spętać i złowić. Jest tak grzeczny, że nie można bronić się przed nim. Grzeczność jak macki meduzy — okrutna i żarłoczna.

Jestem sam na gospodarstwie. Odyniec wyjechał. Gotuje i sprząta Formoza (tak nazwana ponieważ urodziła się na statku Formoza), żona ogrodnika.

Środa.

Jestem sam w tym Jocaralu (tak nazywa się quinta).

Wstaję o 9-ej. Po śniadaniu piszę powieść do 12-ej. Obiad. Wyruszam na plażę, wracam o 7-ej. Piszę. Kolacja. Piszę. Potem czytam „Le vicomte de Bragelonne” Dumasa, oraz Simone Weil „La pésanteur et la grâce”. Zasypiam.

Sezon dopiero się zaczął. Dość pusto. Wiatr, wiatr i wiatr. Rano w moje przebudzenie wbija się szum drzew, okalających quintę i te wiatry zmienne, z północy, z południa, ze wschodu nie chcą się uciszyć, ocean lśni, zielony, i biało, słono wytryska-

jący u brzegów skalistych z łoskotem, piana wybucha, na piaskach najazd nieprzerwany groźnie wzniesionych i kotłujących się w spiętrzeniu wód, ani chwili wytchnienia i grzmot, szum tak rozległy, że przemieniający się w ciszę. Cisza. Ten szał jest spokojem. Nieruchoma jest linia horyzontu. Nieruchome lśnienie bezmiernej tafli. Ruch znieruchomiały, namiętność wieczności...

Wałęsałem się gdzieś, za portem, na dzikich plażach, za Punta Mogotes, gdzie mewy stadami całymi, sterując pod wiatr, wytężone, ulegają nagłym wyrzutom na zawrotne wysokości i stamtąd, ukośną i piękną linią, będącą połączeniem bezwładu i lotu, staczają się nad powierzchnię wody. Patrzę godzinami, ogłupiały i otumaniony.

Gdym jechał tutaj towarzyszyła mi nadzieja, że ocean oczyści mnie z niepokojów i ustąpi ten stan zagrożenia, który zaatakował mnie już w Goya. Ale wiatry zdołały tylko oszołomić moje trwogi. Wieczorem wracam znad grzmiącego brzegu do rozpaczliwie szumiącego ogrodu, otwieram kluczem pusty dom, zapalam światło i zjadam zimną kolację, przygotowaną przez Formozę, a potem... co? Siedzę i ,,wybucham'' wybucha mój dramat, mój los, moje przeznaczenie, niejasność mojego istnienia... wszystko to mnie osacza. Stopniowe oddalanie się moje od natury, a także od ludzi, w ostatnich latach — proces narastającego wieku mojego — czyni te stany duchowe coraz groźniejszymi. Życie człowieka staje się, z wiekiem, stalową pułapką. Na początku miękkość i giętkość, brnie się w to łatwo — ale teraz miękka dłoń życia staje się żelazna, chłód nieubłagany metalu i straszne okrucieństwo kostniejącej arterii.

Wiedziałem o tym od dawna. Ale nie przejmowałem się... gdyż byłem przeświadczony, że i ja będę się zmieniał wraz z moim losem, że, po latach, będę kimś innym i zdolnym sprostać sytuacji w jej narastającej grozie. Nie wyrabiałem w sobie żadnych uczuć na tę porę mojej egzystencji, mniemając, że one same powstaną we mnie, w czasie właściwym. Ale, jak dotąd, nie ma ich. Ja tylko jestem i jakże mało zmieniony — z tą różnicą, że zamknęły mi się wszystkie drzwi.

Myśl tę wynoszę z domu na brzeg, oprowadzam ją po piaskach, usiłując zgubić ją w ruchu powietrza i wody — lecz tu właśnie widzę okropność, która się we mnie dokonała — bo jeśli dawniej przestrzenie te mnie wyzwalały, dziś one mnie więżą, tak, przestrzeń nawet stała się więzieniem i chodzę po brzegu jak ktoś przyparty do muru. Ta świadomość — że już się stałem. Już jestem. Witold Gombrowicz, te dwa słowa, które nosiłem na sobie, już dokonane. Jestem. Zanadto jestem. I choć mógłbym jeszcze popełnić coś nieprzewidzianego dla mnie samego, już mi się nie chce — nie mogę chcieć, bo zanadto jestem. Pośród tej nieokreśloności, zmienności, płynności, pod niebem nieuchwytnym jestem, już zrobiony, wykończony, określony... jestem i jestem tak bardzo, że to mnie wyrzuca poza obręb natury.

Czwartek.

Poszedłem za Torreon, który chroni od wiatru, tam siedziałem, potem poszedłem na Playa Grande, tam leżałem, nikogo prawie, wielkie wzburzenie morza, huk, ryk, głuche uderzenia. Wracając, ledwie mogłem posuwać się pod wiatr, który dławił, przeszywał i targał. Piękność zatok, potęga urwisk, na które spogląda się z wielopiętrowej wysokości, kolorowe zespoły domków na wzgórzach, złocistość plaż słonecznych.

Kiedy po ciemku wróciłem do Jocaralu, drzewa wyły jak obdzierane ze skóry. Zabrałem się do pisania tego dziennika, nie chcę aby samotność błąkała się po mnie bez sensu, potrzebuję ludzi, czytelnika... Nie, żeby się porozumieć. Po to tylko, żeby dać znać życia. Dziś już zgadzam się na wszystkie kłamstwa, konwenansy, stylizacje mego dziennika, byleby przemycić choć echo dalekie, smak blady mojego ja uwięzionego.

Wspomniałem już, że czytam oprócz Dumasa ,,La pésanteur et la grâce'' Simone Weil. Lektura przymusowa. Muszę napisać o tym do pewnego argentyńskiego tygodnika. Ale ta kobieta jest zbyt silna abym mógł odeprzeć ją, zwłaszcza teraz, w tej szarpaninie wewnętrznej będąc tak zupełnie na łasce żywiołów. Poprzez jej narastającą przy mnie obecność narasta obecność jej Boga. Mówię ,,poprzez jej obecność'', gdyż Bóg abstrakcyjny to dla mnie greka. Bóg wyrozumowany Arystotelesa, św. Tomasza, Descarte'a lub Kanta nie jest już do strawienia dla nas — dla nas, to znaczy wnuków Kierkegaarda. Stosunki nasze — mego pokolenia — z abstrakcją popsuły się zupełnie lub raczej schamiały, albowiem przejawiamy wobec niej zupełnie chłopską nieufność; i cała ta dialektyka metafizyczna mnie, z wyżyn mojego 20-go wieku, przedstawia się tak samo jak prostodusznym ziemianom z przeszłości, dla których Kant był kanciarzem. Ileż trzeba się namęczyć, żeby dojść do tego samego, ale na wyższym piętrze rozwoju !

Dziś jednak gdy życie moje uczyniło się, jak powiedziałem, żelazne ? Samo życie, w swoim potwornieniu, pcha mnie w sferę metafizyki. Wiatr, drzewa, szum, dom, wszystko to przestało być ,,naturalne'', gdy ja sam nie jestem już naturą tylko czymś wyrzucanym stopniowo poza jej obręb. To nie ja sam, lecz to co ze mną się dokonuje, domaga się Boga, ta potrzeba czy też konieczność nie jest we mnie, tylko w mojej sytuacji. Patrzę na Simone Weil i pytanie moje nie jest : Czy Bóg istnieje ? — tylko przyglądam się jej z zadziwieniem i mówię : w jaki sposób, przy pomocy jakiej magii, ta kobieta zdołała tak się urządzić wewnętrznie, iż może sprostać temu co mnie druzgocze ? Boga, zamkniętego w tym życiu, odczuwam jako siłę często ludzką, niezwiązaną z żadnym ośrodkiem zaziemskim, jako Boga którego ona sobie stworzyła w sobie własną mocą. Fikcja. Ale, jeśli to ułatwia konanie...

Zawsze zdumiewało mnie, że mogą istnieć życia, oparte na innej zasadzie niż moje. Nic zwyklejszego od mojej egzystencji

— i bardziej pospolitego — może wstrętnego lub podłego (ja nie brzydzę się sobą ani swoim życiem). Nie znam żadnej, absolutnie żadnej wielkości. Jestem drobnomieszczańskim spacerowiczem, który zabłądził w Alpy, czy nawet w Himalaje. Moje pióro co chwila dotyka spraw ostatecznych i potężnych, ale jeśli dotarłem do nich, to igrając... jak chłopiec zalazłem pomiędzy nie, lekkomyślnie zabłądziłem. Egzystencja heroiczna, jak Simone Weil, wydaje mi się z innej planety. Jest to przeciwny memu biegun : gdy ja cały jestem wiecznym uchylaniem się życiu, ona podejmuje je w pełni, *elle s'engage*, jest antytezą mojej dezercji. Simone Weil i ja, to zaiste dwa najostrzejsze kontrasty, jakie można sobie wyobrazić, dwie wykluczające się interpretacje, dwa przeciwstawne systemy. I z tą kobietą spotykam się w pustym domu, w momencie kiedy tak trudno mi od siebie uciec !

Sobota.

Ciała, ciała, ciała... Dziś na plażach osłoniętych od południowego wichru, gdy słońce przygrzewa i piecze, wiele ciał. Wielka zmysłowość plaży, ale jak zawsze podcięta, utrącona... Na prawo i na lewo uda, biusty, plecy, biodra, stopy dziewcząt, kobiet, wydobyte z ukrycia i giętkie harmonie chłopców. Ale ciało zabija ciało, ciało ciału odbiera moc. Te nagości przestają być zjawiskiem, rozpływają się w swoim nadmiarze, unicestwia je piasek, słońce, powietrze i są zwyczajne... a impotencja opanowała plażę, piękność, wdzięk, urok — nieważne, nie są zdobywcze, nie ranią ani zachwycają. Płomień który nie grzeje. Ciało niepodniecające, ciało zgaszone. Ta impotencja i mnie podcięła, wracałem do domu pozbawiony jakiejkolwiek iskry, bezsilny.

Ach, powieść moja na stole i znów będę musiał wysilić się żeby zastrzyknąć nieco „genialności" scenie, która jest jak zmokły nabój, nie chce wystrzelić!

Niedziela.

Patrzyłem na czajnik i wiedziałem, że ten i inne czajniki będą dla mnie coraz straszliwsze w miarę upływającego czasu, podobnie jak wszystko wokół mnie. Mam dość świadomości aby wychylić do ostatniej kropli puchar tej trucizny, a nie dość wzniosłości aby wzbić się ponad nią, czeka mnie konanie w miażdżącym podziemiu, bez jednego promienia znikąd.

Oderwać się od siebie... ale, pytam się, jak ?

Bynajmniej nie chodzi o to żeby uwierzyć w Boga, ale o to żeby zakochać się w Bogu. Weil nie jest „wierząca", jest zakochana. Mnie Bóg, w życiu moim, nigdy nie był potrzebny — od najwcześniejszego dzieciństwa, ani przez pięć minut — byłem zawsze samowystarczalny. Więc gdybym teraz „zakochał się" (pomijając, że ja w ogóle nie mogę kochać) byłoby to pod naciskiem tego ciężkiego, zniżającego się nade mną sklepienia. Był-

by to krzyk, wyrwany torturą, nieważny. Zakochać się w kimś dlatego że nie można już wytrzymać z sobą — to miłość wymuszona?

Potem, chodząc po pokoju, myślałem: wprawdzie ten stan miłości, w jakim żyła Weil, jest mi organicznie niedostępny, ale może znałazłoby się jakieś rozwiązanie analogiczne, na moją miarę, zgodne z moją naturą. Czy jest możliwe aby człowiek nie mógł wycisnąć z siebie zdolności sprostania temu, co go oczekuje? Znaleźć na swój sposób wyższe racje istnienia i śmierci. Stworzyć sobie jakąś własną wielkość. Wielkość musi być we mnie utajona, wszak jestem dość ,,ostateczny'' we wszystkim moim — ale nie mam do niej klucza. Podczas gdy ta kobieta potrafiła wyzwolić ze swego wnętrza prądy i wiry duchowe nadludzkiej potęgi.

Wielkość? Wielkość? Wielkości, ty kiepsko się wymawiasz, to słowo głupie jest na moich ustach. Moja niechęć do tego co wielkie.

Gustave Thibon pisze o Weil: ,,Przypominam sobie pewną młodą robotnicę, w której odkryła — tak jej się zdawało — powołanie do życia intelektualnego i którą raczyła niezmordowanie wspaniałymi wykładami o Upaniszadach. Biedna dziewczyna nudziła się śmiertelnie ale, z grzeczności i nieśmiałości, nie protestowała''.

A więc ,,biedna dziewczyna nudziła się śmiertelnie''. Tak właśnie zwykła ludzkość się nudzi głębią i wzniosłością. I ,,z grzeczności i nieśmiałości, nie protestowała''. Tak i my, przez grzeczność, znosimy mędrców, świętych, bohaterów, religię i filozofię. A Weil? Jakże wygląda na tym tle? Wariatka prawie, zamknięta w hermetycznej sferze, nie wiedząca gdzie żyje, w czym żyje, bez wspólnego mianownika z innymi. Oderwana. Wielkość ta w zetknięciu z pospolitością przegrywa, ulega z miejsca śmiesznej degrengoladzie i cóż widzimy? Histeryczkę, dręczącą i nudzącą — egotystkę, której spęczniała i agresywna osobowość nie umie dostrzec innych, ani zdolna jest zobaczyć siebie oczami cudzymi — kłębek napięć, udręczeń, halucynacji i manii, coś rzucającego się w świecie zewnętrznym, jak ryba wyjęta z wody, albowiem właściwym żywiołem tego ducha jest tylko własny jego sos. I tego to metafizycznego karpia w sosie własnego wyrobu mam przeżywać?

Spokojniej. Mnie razi, że jej wielkość nie wobec wszystkich funkcjonuje należycie. Z Thibonem wielka — ale śmieszna z dziewczyną. I ta fragmentaryczność cechuje wszystkich wielkich ludzi — wielkich czy wybitnych. Domagałbym się wielkości zdolnej wytrzymać każdego człowieka, w każdej skali, na każdym poziomie, obejmującej wszystkie gatunki egzystencji, równie nieodpartej w górze i w dole. Tylko taki duch zdołałby mnie podbić. Konieczność zaszczepiona mi przez uniwersalizm mojego czasu, który chce wciągnąć do gry wszystkie świadomości wyższe i niższe, i już nie zadawala się arystokracją.

Wtorek.

Śniadanie w Hermitage z przypadkowo spotkanym A. i jego żoną. Jedzenie zalatujące — proszę wybaczyć — bardzo luksusowym klozetem, właściwie nie wiem dlaczego ale, kiedy zawisłem na krawędzi tych apatycznych frykasów w gęstej dystynkcji kelnerów, byłbym przysiągł że to klozet. Zresztą spać mi się chciało. Może dlatego.

Wielekroć mnie osądzano, mnie i moje dzieła — prawie zawsze bez sensu. Ale mówicie : małostkowy. Mówicie : tchórz, dezerter. W tym jednym jest więcej raniącej prawdy, niż wam się zdaje. Nikt nie domyśla się nawet bezmiarów mojej dezercji. Nie darmo ,,Ferdydurke'' kończy się zdaniem : ,,Uciekam z gębą w rękach''.

Byłbym więc nie na miarę epoki, która rozwinęła sztandar heroizmu, powagi, odpowiedzialności? (Weil natomiast jest najdoskonalszym wykładnikiem wszystkich moralności współczesnej Europy : katolickiej, marksistowskiej, egzystencjalnej).

Pozwólcie jednak : nie ma postawy duchowej, która by, doprowadzona do ostateczności i konsekwentna, nie była godna poważania. Może istnieć siła w słabości, stanowczość w chwiejności, konsekwencja w niekonsekwencji, a także wielkość w małości. Odważne tchórzostwo, miękkość ostra jak stal, atakująca ucieczka.

Środa.

Wiatr niezmordowany.

Męczę się, o tyle o ile męczarnia niefizyczna jest mi dostępna — raczej beznadziejność niż ból. Pragnę zaznaczyć : jestem dumny z tego, że moje bóle nie są nadmierne. To mnie zbliża do przeciętności, czyli do normy, do najsolidniejszych pokładów życia.

Co do Boga. Nie ma co marzyć o Bogu absolutnym na wysokościach, w dawniejszym stylu. Ten Bóg rzeczywiście mi umarł, nie wynajdę w sobie takiego Boga żeby nie wiem co, nie ma we mnie na to materiału. Ale istnieje możliwość Boga jako środka pomocniczego, drogi-mostu wiodącego do człowieka.

Takie pojęcie Boga z łatwością można uzasadnić. Wystarczy przyjąć, że człowiek musi egzystować w ramach swojego gatunku, że natura w ogóle, natura świata, dana mu jest przede wszystkim jako natura gatunku ludzkiego, że przeto współżycie z innymi ludźmi wyprzedza jego współżycie ze światem. Człowiek jest *dla* człowieka. Człowiek jest *wobec* człowieka. Więc mit Boga absolutnego mógł powstać ponieważ ułatwiał człowiekowi odkrycie drugiego człowieka, zbliżenie się do niego, zespolenie.

Przykład : Weil. Czy ona chce łączyć się z Bogiem, czy też, poprzez Boga, z innymi ludzkimi egzystencjami ? Czy ko-

cha się w Bogu, czy też, poprzez Boga, w człowieku? Czy jej odporność na śmierć, ból, rozpacz rodzi się z jej związku z Bogiem, czy z ludźmi? Czy to, co ona nazywa łaską, nie jest po prostu stanem współ-istnienia z innym (ale ludzkim) życiem? A więc tamto ,,Ty'' absolutne, wieczne, nieruchome, byłoby tylko maską, za którą kryje się doczesna ludzka twarz. Smutne, naiwne, a jakże wzruszające... taki skok w Niebiosa po to aby przeskoczyć o dwa metry z własnego ja na cudze?

Jeżeli zatem wiara jest tylko stanem duszy wiodącym do cudzej egzystencji, doczesnej, ludzkiej, to ów stan powinien być dla mnie do osiągnięcia nawet po odrzuceniu pomocniczego mitu o Przedwiecznym — i nie wiem, doprawdy, dlaczego nie miałbym tego dokazać z sobą. Brak mi jakiegoś klucza. Bóg jest, być może, jednym z kluczy — ale musi być inny klucz i zgodny z moją naturą. Jeśli o mnie idzie, całe moje życie, wszystkie doświadczenia, wszystkie intuicje, pchały mnie w tym kierunku — nie do Boga, do ludzi. Ułatwienie, znormalizowanie, powiedziałbym, konania mógłbym uzyskać tylko przerzucając ciężar mojej indywidualnej śmierci na innych i w ogóle, poddając się innym.

Ludzie są straszną potęgą dla pojedyńczej istoty ludzkiej. Wierzę w nadrzędność istnienia zbiorowego.

J. opowiadał mi swoje piekła w obozie koncentracyjnym niemieckim, w Mauthausen. Klimat tego obozu, klimat ludzki, gdyż przez ludzi stworzony, był taki iż śmierć stała się łatwa — i on, idąc do gazu (od którego uratował się przypadkiem) żałował, że nie zdążył zjeść porannej pajdy chleba. To osłabienie śmierci nie było następstwem tylko tortury fizycznej — to ,,duch'' stał się inny... degradujący i deprecjonujący.

Środki naszego obcowania z ludźmi są dotąd znikome. Straszna samotność zwierząt, które zaledwie się porozumiewają... Ale człowiek? Niezbyt jeszcze oddaliliśmy się od zwierząt i pojęcia nie mamy czym może być wdarcie się drugiego człowieka w naszą jaźń zamkniętą.

Przeczuć siebie w przyszłości... co za wiedza!

Czwartek.

Lefebvre o Kierkegaardzie:

,,Stracił miłość, narzeczoną. Błaga Boga o przywrócenie mu tego wszystkiego i oczekuje...''

,,Czegóż więc żąda Kierkegaard? Żąda powtórzenia życia, którego nie przeżył, odzyskania utraconej narzeczonej''.

,,Domaga się powtórzenia przeszłości — aby mu została przywrócona Regina, taka jaką była w czasach narzeczeństwa...''

Jakie podobne do ,,Ślubu''! Tylko że Henryk nie zwraca się do Boga. Obala swojego ojca-króla (jedyne ogniwo, łączące go z Bogiem i z moralnością absolutną), po czym, ogłosiwszy

siebie królem, będzie usiłował odzyskać przeszłość za pomocą ludzi, stworzyć z nich i nimi rzeczywistość.

Magia boska i magia ludzka.

Lefebvre, jak wszyscy marksiści, piszący o egzystencjalizmie, miejscami — dla mnie — przenikliwy, a za chwilę, jakby wypadł przez okno na ulicę, zupełnie brukowy, niemożliwie płaski.

Kiedy się skończy ten wir, to targanie, obłęd liści, rozpacz gałęzi, gdy jedne drzewa się uspakajają, inne zaczynają wyć, szum przetacza się z miejsca na miejsce, a ja zamknięty w tym domu, zamknięty w sobie i naprawdę teraz, w nocy, obawiam się żeby mi się ,coś'' nie ukazało... Coś anormalnego... gdyż moja potworność wzrasta, moje stosunki z naturą są złe, rozluźnione i to rozluźnienie czyni mnie dostępnym ,,wszystkiemu''. Nie mam na myśli diabła, ale ,,cokolwiek''... Nie wiem, czy jasne? Gdyby stół przestał być stołem przeistaczając się w... Nie koniecznie w rzecz diabelską. Diabeł jest tylko jedną z możliwości — poza naturą jest bezmiar...

,,Ostateczność'' otoczyła mnie ze wszystkich stron. I to osaczenie nabrzmiałe grozą i potęgą. Ale — jak to już z zadowoleniem zanotowałem — gaszę w sobie wszystkie potęgi. Romantyk w moim położeniu z lubością oddałby się tym furiom. Egzystencjalista pogłębiałby lęki. Wierzący korzyłby się przed Bogiem. Marksista docierałby do dna marksizmu... Nie sądzę, aby któryś z nich, ludzi poważnych, bronił się przed powagą tego doświadczenia, ja natomiast robię co mogę aby powrócić do przeciętnego wymiaru, zwykłego życia, niezbyt poważnego... Nie chcę przepaści i szczytów, pragnę równiny...

Wycofać się z ,,ostateczności''...

Z metodą myślenia, która organizuje ten odwrót, jestem dosyć oswojony. Mówię sobie: twoje umieranie żyje i nawet wcale intensywnie. Przeżywasz śmierć, aby ją opisać najżywiej, chcesz ją zużytkować dla resztek twojego istnienia, dla twojej kariery literackiej. Zaglądam w przepaść aby opowiedzieć innym coś zobaczył. Szukasz wielkości aby o cal wywyższyć się między ludźmi. Przed sobą masz otchłań, ale za sobą rojny ludzki światek...

Czyż tylko ja? Czy cała eksploracja dokonana w Nieznanem przez ,,największe duchy ludzkości'' nie po to była, żeby w zwykłej codzienności stać się wybitnym filozofem, poetą czy świętym? Jak wytłumaczyć, że w tym co mówię nie ma ironii, że, raczej, na tym właśnie opierają się wszystkie moje nadzieje?

Dialektyka, rujnująca wielkość na rzecz małości. Dojść do przeciętności. Osiągnąć przeciętność na wyższym szczeblu — kompromitując wszelką krańcowość, ale po uprzednim wyczerpaniu jej — wszystko w mojej skali.

Piątek.

Polski katolicyzm.

Katolicyzm taki, jak urobił się historycznie w Polsce, rozumiem jako przerzucenie na kogoś innego — Boga — ciężarów nad siły. Jest to zupełnie stosunek dzieci do ojca. Dziecko jest pod opieką ojca. Ma go słuchać, szanować i kochać. Wypełniać jego przykazania. Więc dziecko może pozostać dzieckiem, ponieważ wszystka „ostateczność" przekazana jest Bogu-Ojcu i jego ziemskiej ambasadzie, Kościołowi. Polak uzyskał w ten sposób świat zielony — zielony, gdyż niedojrzały, ale zielony także dlatego że w nim łąki, drzewa są kwitnące, nie zaś czarne i metafizyczne. Żyć na łonie natury, w świecie ograniczonym, pozostawiając czarny wszechświat Bogu.

Mnie, który jestem okropnie polski i okropnie przeciw Polsce zbuntowany, zawsze drażnił polski światek dziecinny, wtórny, uładzony i pobożny. Polską nieruchomość w historii temu przypisywałem. Polską impotencję w kulturze — gdyż nas Bóg prowadził za rączkę. To grzeczne polskie dzieciństwo przeciwstawiałem dorosłej samodzielności innych kultur. Ten naród bez filozofii, bez świadomej historii, intelektualnie miękki, duchowo nieśmiały, naród który zdobył się tylko na sztukę „poczciwą" i „zacną", rozlazły naród lirycznych wierszopisów, folkloru, pianistów, aktorów, w którym nawet Żydzi się rozpuszczali i tracili jad... Mojej działalności literackiej przyświeca idea żeby wydobyć człowieka polskiego ze wszystkich rzeczywistości wtórnych i zetknąć go bezpośrednio z wszechświatem — niech sobie radzi jak może. Pragnę zrujnować mu jego dzieciństwo.

Ale teraz, w tym szumie napierającym, w obliczu własnej bezsilności, w tej niemożności sprostania, przychodzi mi do głowy że popadłem w sprzeczność z sobą. Rujnować dzieciństwo? W imię czego? W imię dojrzałości, której sam ani znieść ani przyjąć nie mogę. Przecież Bóg polski (w przeciwieństwie do Boga Weil) jest właśnie wspaniałym systemem utrzymania człowieka w sferze pośredniej bytu, jest tym uchyleniem się od ostateczności którego domaga się moja niedostateczność. Jak mogę chcieć żeby nie byli dziećmi, jeśli sam per fas et nefas chcę być dzieckiem?

Dzieckiem, ale takim które dotarło do wszystkich możliwości dorosłej powagi i doznało ich. W tym cała różnica. Naprzód odepchnąć wszystkie ułatwienia, znaleźć się w kosmosie tak bezdennym, jak tylko to dla mnie możliwe, w kosmosie o zasięgu maksymalnej mojej świadomości, i doświadczyć tego że się jest zdanym na własną samotność i własne siły — wtedy dopiero gdy otchłań, której nie zdołałeś okiełznać, zrzuci cię z siodła, siądź na ziemi i odkryj na nowo trawę i piasek. Aby dzieciństwo stało się dozwolone, trzeba dojrzałość doprowadzić do bankructwa. Bez blagi, kiedy wymawiam słowo „dzieciństwo" mam wrażenie, że wypowiadam najgłębszą treść.

i jeszcze nieobudzoną, narodu który mnie spłodził. Ale to nie dzieciństwo dziecka, tylko trudne dzieciństwo dorosłego.

Sobota.

Dziś wilia. Pojutrze rano wyjeżdżam.

Wiatr zelżał i popołudniu włóczyłem się po plażach — zrobiło się gorąco — ale wieczorem burza, chmury zaokrąglone, podobne do kul olbrzymich, obwisłych, którym z brzucha wypełzały szybkie, drące się na strzępy, obłoczki. Wszystko to zaczęło się zacieśniać, gęstnieć, ciążyć, zbliżać, zastygać, naprężać, bez jednej błyskawicy, w ciemności wieczoru wzmożonej ciemnością burzy.

Potem udręczone drzewa zawrzasły, dostawszy się w skręty wariackich uderzeń wichru, który w konwulsjach miotał się na wszystkie strony i na koniec wywaliła się nawałnica półokręgiem ziejącym zygzakami piorunów — bardzo rycząca. Dom trzeszczał, okiennice trzaskały. Chciałem zapalić światło — nie, druty zerwane. Ulewa. Siedzę po ciemku w blaskach. „Niebo ściemniało, ale świeciło się, jak wid szatańskiej stolicy" — fosforyzujące bez przerwy, coś jak błędne ognie wśród chmur i grzmot przetaczający się, też nieprzerwany. Ha, ha. Nie czułem się zbyt pewnie. Jak to się mówi : — Co za noc ! *C'est à ne pas mettre un chien dehors*. Wstałem, przeszedłem się po pokoju i naraz wyciągnąłem rękę, sam nie wiem po co — może dlatego, że, bojąc się, jednocześnie bawiłem się moim strachem. Był to gest nieuzasadniony i wskutek tego jakiś niebezpieczny — w takiej chwili, w tych warunkach.

Wtedy burza zatrzymała się. Deszcz, wiatr, grzmot, blask — wszystko skończone. Cisza.

Nigdy nic podobnego nie widziałem.

Zahamowanie burzy w pełnym toku, dziwniejsze od znieruchomienia konia w pełnym galopie, ta nagłość — jakby ktoś podciął ją w pędzie. Trzeba to zrozumieć : burza, która nie wyczerpała się w sposób naturalny, ale została przerwana. I czerń niezdrowa, zastygająca, jakaś choroba, coś patologicznego w przestrzeni. Ja, rzecz jasna, nie zwariowałem na tyle abym sądził, że to mój ruch wstrzymał burzę. Ale — przez ciekawość — znów wyciągnąłem rękę w zupełnie ciemnym teraz pokoju — i co ? — wicher, deszcz, grzmoty, znów się zaczęło !

Po raz trzeci nie wyciągnąłem ręki. Bardzo przepraszam. Po raz trzeci nie ośmieliłem się wyciągnąć ręki — i ręka moja do dziś pozostała „niewyciągniętą", skażona tą hańbą. Bez żartów, co za nędza ! Jaka kompromitacja ! Ja, który przecież nie jestem histeryk ani półgłówek ! Więc jakże — żebym po tylu wiekach znaczonych rozwojem, postępem, nauką, żebym bynajmniej nie z żartobliwej, ale z poważnej, z solidnej obawy nie odważył się wyciągnąć po nocy ręki — podejrzewając że „a nuż" ona rządzi burzą ? Wieki postępu zawyjcie, skręćcie się ze wstydu ! Czy jestem człowiekiem trzeźwym, nowoczesnym ?

Tak. Czy jestem świadomy, wykształcony, zorientowany? Tak, tak. Czy znane mi są najnowsze osiągnięcia filozofii i wszystkie prawdy teraźniejszości? Tak, tak, tak. Czy nie jestem pozbawiony przesądów? Tak, na pewno! Ale, do diabła, skąd ja mogę wiedzieć, gdzie pewność, gdzie gwarancja, że ręka moja gestem magicznym nie zdoła wstrzymać albo uruchomić burzy?

Przecież to co wiem o naturze mojej i naturze świata jest niepełne — to tak, jakbym nic nie wiedział.

Witold GOMBROWICZ

Wspomnienie o Ojcu

CZĘŚĆ DRUGA

Jak wspomniałem we wstępie poprzez obrazy Jacka Malczewskiego przewijają się dwie nici tak zasadnicze dla jego sztuki; jedna, będąca nie dającym się wypowiedzieć inaczej urokiem ziemi ojczystej. Druga — to ta z pogranicza dziwności, nonsensu nieledwie, oparta na zespole przedstawianych przedmiotów czy ludzi tak istotnie swoistym, wyrafinowanym czy też prymitywnym. Zapomnijmy o tym że powstawały wielkie obrazy jak *Śmierć Wygnanki* czy *Elenai*, *Odpoczynek w Kopalni* czy później *Błędne Koło* i *Melancholia*. Są to dzieła znane i uznane, oparte na anegdocie, wyrażające jakiś symbol mniej lub więcej zrozumiały. Czy to będzie malarz siedzący przed sztalugami z płótnem, z którego wyłaniają się tłumy postaci namalowanych z realizmem, kolebiące się i przewalające w pracowni. Za oknem stoi czarno ubrana pani, może właśnie owa Melancholia. Tłum postaci to przekrój życia polskiego, snów i rzeczywistości, wspomnień, nieszczęść narodowych. W *Błędnym Kole* malarczyk siedzący u szczytu drabiny ma wizję, halucynację. Oblatujący go w koło wir postaci to już mniej narodowe problemy, to raczej pachnie Młodą Polską czy narzuconym smutkiem tak zwanego dekadentyzmu. Jacek Malczewski jeżeli kiedyś ulegał wpływom epoki Przybyszewskiego itd., prędko od nich się odsunął. Wiem jak nie lubił ich sztuki tak samo jak i ludzi tego okresu. Z innego punktu, ale tak samo krytycznie jak Wyspiański, patrzył na ten świat chuci, erotyzmu, itd. Była jednak różnica zasadnicza: Jacek Malczewski uległ symbolistom, Wyspiański, jeżeli chodzi o malarstwo, Secesji. Ojciec nie mógł znieść chorych skrofulicznych dzieci, malowanych przez autora „Wesela", kwiatów wyolbrzymionych do wielkości zebry, wyrastających na witrażach ponad głowy świętych pańskich.

Wspomniałem już o Feliksie Kowarskim, nieżyjącym wielkim malarzu wolnej Polski, z którym umyśliliśmy urządzić wy-

stawę obrazów Jacka Malczewskiego. Chodziło o zebranie pejzaży, o ile możności bez figur lub z postaciami nie wyrywającymi się z tła krajobrazu tak, by raczej on miał głos. Na pewno dałoby się zebrać dobrych parę setek obrazów mojego Ojca, w których grałby główną rolę pejzaż tak różny w swoim rodzaju od dzieł innych malarzy polskich i zagranicznych. Okazało by się niewątpliwie że pejzaż Jacka Malczewskiego nie podlega zestarzeniu się, wyjściu z mody umarłych dawno prądów. Co stanowi siłę owych krajobrazów dla nas, synów polskiego kraju, to ich istotność. Nie zawierają one ani jakichś specjalności krajowych, uroczych zakątków, gór czy jezior, miast czy świętych miejsc. Jedynym dla Ojca krajobrazem był ten z ziemi radomskiej zaczerpnięty. Krajobraz dzieciństwa i lat młodości. Jacek Malczewski malował bardzo wiele pejzaży z natury z dokładnością i pasją realisty podlanymi później sosem impresjonizmu, bo o pełnym, o konsekwentnym impresjonizmie nie było mowy dla człowieka, dla którego Ingres był mistrzem duchowym. Nie ten jednak krajobraz zamknął w sobie ojczyznę, tylko ten z ziemi dzieciństwa, malowany z pamięci. Przez okres lat pamięć musiała deformować ów dawno niewidziany świat, do którego Ojciec tęsknił i nigdy już nie wrócił. Może to właśnie sprawiło, że ów pejzaż stracił rzeczy nieważne, zatracił szczegóły i stał się jakby esencją owej prawdy jedynej o tej ziemi. Jeszcze w Polsce sprzed roku 1939 można było się porozumieć z wielu ludźmi na ten temat, co ważniejsze, że właśnie wielu młodych zaczęło odkrywać to, o czym mówię. Co innego, że wojujący na modłę : jeden wódz, jeden naród, jeden pędzel — obóz Kapistów jak i w kraju moderniści jeździli po Jacku Malczewskim, niczym Henryk Gotlieb w wydanym przez Londyn w języku angielskim podręczniku o sztuce polskiej. Dzisiaj kiedy Picasso jest klasykiem gotowym już żeby go zamknąć w muzeach, napawający świętym podziwem spóźnionych snobów, w czasach triumfującego abstrakcjonizmu, dziwna może się wydać moja chęć nawracania do przebrzmiałych wartości i wiar. Nie należy tego uważać za dziwne w okresie gdy najbardziej wyprana z anegdoty, wymalowana abstrakcja, strzępki kolorów, rozmieszczone na płótnie wrogo w stosunku do jakiegokolwiek porządku i sensu, otrzymuje katalogową nazwę, często wcale mistyczną, jest uważana przez krytyków za wyraz poglądów czy nawet tajemniczych wiar malarza. Wiadomo, że nie tak łatwo jest odzwyczaić człowieka od tego by nie wiązał przypadkowych nieraz kresek czy kółek z jakimś znanym mu przedmiotem, z zarysem zwierzęcia czy kształtów ludzkich. Istnieją testy polegające na objaśnianiu rozlanych plam atramentu, wiązaniu ich z kształtami znanymi w życiu itd. Znam przepisy antyrealistów, formistów, postimpresjonistów : maluj rzeczy najbardziej oklepane, powtarzające się w ciągu wieków w utworach mistrzów tak, by widz ocenił nie anegdotę, tak zwaną treść, tylko formę kształtowaną przez kolor, czym zasadniczo powinno być malar-

stwo. Toteż malowano kąpiące się kobiety aż do znudzenia, z modela i bez niego, potem przeszło się na mniej kosztowne i spokojne malowanie martwych natur. Czemu jednak malowano jabłka i śledzie, cienkie ciemne butelki i jakieś jarzyny — nie wiadomo. Ani Michał Anioł, ani Tycjan, Rafael, Rembrandt, Cimabue lub Giotto nie malowali jabłek na talerzu, tym bardziej śledzi. Piekielnie trudno jest oderwać człowieka od wiązania przypadkowych znaków, kresek czy plam w jakiś sens znany mu i spotykany. Dopiero geometryczny szlaczek na dywanie, arabeska i tym podobne, uwalnia oglądającego od takich obyczajów, wystarczy jednak trochę gorączki by szlak zamieniał się w węża, a prostokąty i wygibasy wielobarwne na linoleum czy congoleum w potwory lub twarze przyjaciół i przyjaciółek.

Jacek Malczewski nigdy nie malował martwej natury, takiej oczywiście, którą by uznał za godną wystawienia. Przyznam się, że nie pamiętam żadnej, nie tylko wśród ukończonych obrazów ale i wśród notatek. Ojciec nie lubił martwych natur i dawał temu wyraz. Nie myślę by wynikało to z tego, że bardziej zajmowało go życie niż sztuka i że jemu więcej poświęcał malarskiego trudu. Myślę, że wielostronność zaciekawień Jacka Malczewskiego, bujność bardzo zawikłanego wnętrza nie stały na przeszkodzie poświęceniu się sztuce, czemu dał wyraz tysiącem dzieł swoich. Tylko że jak wiadomo, inny miał pogląd na malarstwo niż pokolenie sprzed roku 1939, które walczyło o miejsce i malarski żłób pod ojczystym niebem. Dzisiaj jednak z oddalenia, gdy nawet Józef Czapski nieco zmiękł, jest jakiś sens w tym co mówię.

Pejzaż Malczewskiego nie pachnie ani kujawiaczkiem ani folklorem, nie uderza w czułe struny utartych wówczas dróg. W zestawieniach roślin rosnących przy polnych drogach, w wymiarach i kształtach ziemi, w zaoranej bruździe, linii lasu, w tej nikłości mazowieckiego krajobrazu, w szarych niebach lub przewianych chmurami, kryje się podstawa tej istotnej polskości. Jest na pewno jakieś matematyczne wyliczenie tych punktów, które znaczą, że to u nas, a to w Kanadzie na przykład. Mówi się że Laurentians podobne są do beskidzkiego pogórza. Żadnej stronie nie chcę urągać ale jakże inną falą płynie nasze pogórze a laurentydzkie pagórki ! Tak samo inna jest dziewanna porastająca i zakwitająca na płodnej ziemi wyżej wymienionej okolicy. Inną ma barwę kwiat dziewanny i inaczej rośnie. Nasza była drobniejsza. Taka właśnie jak w tle portretu Wacława Karczewskiego. Jasno szarozielone listki i łodygi usiane płowożółtym kwiatem, szare niebo, w głębi ciemna kreska lasu, wiatrem rozwiana brzoza i w tym wszystkim rycerz w prawie że błękitnej zbroi, na koniu z kopią. Portretowany oczywiście na pierwszym planie, malowany z niezachwianą pewnością okresu roku 1906-go. Piękność zestawień koloru, bardzo wyrafinowanych szarości, gra w tym portrecie zasadniczą rolę. A że jest to równocześnie wizerunek schorowanego pana, łąk zarosłych dziewan-

nami, błękitnego rycerza który zabłąkał się w ową złotopłowość chwastów, to nie powinno nikomu kochającemu malarstwo psuć krwi. Dobry rycerz, dobry śledź.

Jacek Malczewski namalował setki portretów, zapewne większość mężczyzn, ziemian ubranych w starodawne stroje, niektórych dziwnie, innych po prostu w surdutach, innych znowu w zbrojach. Żaden z tych portretów nie posiada neutralnego tła. Krajobrazy, często zaludnione, nie zawsze słowo zaludnione odpowie prawdzie gdyż nie wiem czy antyczny świat półbogów można zaliczać do ludzi, bezwarunkowo zaś nie przedpotopowe zwierzęta jak na portrecie profesora Szajnochy krakowskiego geologa. Dajmy spokój portretom.

Chcę wspomnieć o arcydziele, o niewielkim obrazie którego tytuł był zdaje się *Młody Tobiasz*. Malowany w roku 1904. Przedstawia wzgórze z zaoraną ziemią, wznoszące się wysoko ponad zaklęśnięty nieużytek w kształcie długiego prostokąta, obrosły wierzbami i sosną ze zrudziałym na pomarańczowo miedzianym czubie. Po prawej stronie obrazu widać dach stodoły, ponad wszystkim szare niebo. Szarość przerywa bocian w locie. Jest wiosna, wierzby czerwienią się, młoda bardzo ruń smuży się zielonym nalotem poprzez brązowo-czerwoną rolę. Dołem, wzdłuż tego nieużytku porosłego wewnątrz chwastem, polną dróżką spieszą się bardzo młody Tobiasz z rybą i anioł. Idą, marsz-marsz. Syn niesie lek, który ozdrowi ślepotę ojca. Postacie są małe i nie grają głównej roli w tym pejzażu. I znowu piękność i dziwność kompozycji płaszczyzn, harmonie zestawień barwnych łączą się z siłą wyrazu ziemi jedynej, znanej, kochanej, nie retuszowanej na „Glamour Girl'' w żaden przepisany sposób. Mokra rola, powietrze, jaśniejsza plama bociana, drzewa i figurki jak z prerafaelitów włoskich, tych prawdziwych. Ów obraz jest esencją polskiego pejzażu. Jest prawdziwszy niż taki, który by był namalowany z natury. Gdyby go można upłynnić to parę kropel tego płynu domieszanego do codziennego banału narodowego pamiątkarstwa dałoby Body, Flavour and Purity. Wiele powstało pejzażów o podobnej mocy. Większość w tłach kompozycji figuralnych, w tłach portretów o których przedtem pisałem. Ten jednak był zauważony przez paru zaledwie czułych amatorów malarstwa.

Spece mijały go obojętnie, tak właśnie, jak się często specjalistom zdarza. Nie wiem doprawdy jak się Jacek Malczewski odnosił do tego właśnie obrazu. Zobaczyłem bowiem *Młodego Tobiasza* po raz pierwszy już po śmierci Ojca i zostałem powalony. To co myślałem że jest moje własne w malarstwie olejnym które uprawiałem w Polsce, okazało się być czymś pochodnym od tego rodzaju pejzażów Jacka Malczewskiego. Tylko jakiej siły kondensacji i wyrazu!

Jeśli chodzi o to co nazwałem surrealizmem w malarstwie Jacka Malczewskiego, to odkryć można w setkach kompozycji. Jakże silny ładunek tkwi w obrazie zatytułowanym: *Aniele Pój-*

dę za Tobą... z roku 1901. Podaję datę powstania ponieważ Ojciec namaluje później parę innych wersji tematu zaczerpniętego z wiersza Teofila Lenartowicza. Parę wierszy Lenartowicza umiał Ojciec na pamięć i ocenił ich piękność, czar surrealistycznego nonsensu jakim jest przepojony „Złoty Kubek", odkryty przez Jacka Malczewskiego dawno przed Lechoniem, Żeromskim i innymi. Kompozycja z roku 1901 przedstawia anioła stojącego do nas prawie że tyłem, na drodze obok ścierniska, na którym mały chłopczyk zapomniał o gęsiach pasących się i patrzy na anioła trochę może przestraszony, trochę zdziwiony. Stary wyga też by się zdziwił. Muszę jednak powiedzieć parę słów o aniołach. Oczywiście z punktu czysto malarskiego.

Mało kto widział prawdziwego anioła. W ciągu wieków rozkwitu religijnego malarstwa, rozmaicie przedstawiano ową istotę, tak trudną właściwie do wyobrażenia sobie. W dobrych czasach, gdy malarz miał swobodę, anioły były pięknymi kobietami, to znów chłopakami, hermafrodytami, co najlepsze główkami fruwającymi za pomocą skrzydełek wyrastających zdaje się gdzieś u podstawy anielskiej czaszki. Aniołowie pojawiali się w różnych strojach, po większej części bogatych, balowych nieledwie. Poniektóry chodził w modelach prosto od współczesnego malarzowi Diora, inny fruwał tylko w koszuli. Anioł z obrazu mojego Ojca jest ubrany bardzo zawikłanie. Ni to jakiś strój narodowy czy chłopski, ani anielski, ani znowu taki w jakim chodzą włóczykije. Co najdziwniejsze jednak to to, że anioł ów ma trzy pary skrzydeł. Pierwszy raz spotkałem się z czymś takim w anielsko-malarskiej aeronautyce. Gdyby miał dwie pary, myślałbym że Jacek Malczewski, wielbiciel motyli i ciem, wziął owe dwie pary ze świata owadziego. Ale trzy?! Mimo tego anioł trzyma laskę, może wiśniowy kijek w ręce schowanej za plecami. Jakby tym kosturkiem nie chciał spłoszyć gęsiarka. Anioł jest postrzyżony przez wsiowego patałacha, może takiego co barany strzyże, wygląda na dorodnego chłopaka maszerującego z daleka. Przyodziewę ma białą, gdzieniegdzie ozdobioną szlaczkiem utworzonym ze znaków podobnych do swastyki. Ale na pewno nie swastyki. Anioł który lata z laską wiśniową w ręku mając do tego trzy pary skrzydeł?! Pastuszek z nastroszoną płową strzechą włosków musiał zdębieć. Pejzaż daleki — wiadomo: ziemia radomska, jesień, niebo piekielnie starokrajskie. A wszystko surrealizm, niesamowitość zestawień, żaden symbolizm tylko wizja świata z pogranicza skromnej swojskości i pełnego tajemnicy porządku z innego wymiaru.

Weźmy pod uwagę obraz zatytułowany *Adoracja Matki Boskiej*, rok 1910. Giorgione wymieszany z Salvadore Dali. Ale te pokrewieństwa to złudzenie. Kompozycja jest prosta. Na postumencie barokowo pękatym, który jakimś cudem znalazł się wśród pól i łąk, siedzi Matka Boska z Panem Jezusem na rękach. Dookoła słupca zgromadził się świat potworów grubych jak baryły, dziwnie wesołych, figlujących nieledwie stworzeń,

które uciekły z bardziej realnego świata niż nasz, tylko że mało odwiedzanego. Kłębią się u stóp postumentu na którym siedzi Matka Boska, zadowolona że jej synkowi ta zgraja się podoba. Czuć w tym obrazie siłę i radość twórcy z malarskiego rzemiosła budującego kompozycję z istot dziwniejszych niż śledzie, muszle, wymoczone w rzekach, spławy drzew.

Tak bywa często. Nie mogę zaprzeczyć że na przykład obraz noszący tytuł *Corona Imperialis*, z roku 1918, jest zbudowany dokoła zamierzonego symbolu. Wiosna, niebo podarte wiatrem, błękity, daleki pejzaż, bliżej gazon i droga obiegająca go w koło. Po owej drodze idą postacie tułaczy, dzisiaj można by powiedzieć Dipisów. Szynele... Gazon obsadzony jest rośliną nazwaną po łacinie: Corona Imperialis. Pamiętam jak Piotr Dobrzański, stary Ojca przyjaciel, żyjący na emeryturze, wieczny słuchacz Uniwersytetu Jagiellońskiego, zabiegał by znaleźć ową roślinę. Wówczas gdy nadchodził dzień powstania wolnej Polski, sprawa, czy republika, czy królestwo, czy związek z Austro-Węgrami, był palącą kwestią. Nie wiem jak to sobie miał tłumaczyć człowiek oglądający ową kompozycję.

W październiku roku 1939 znalazłem się w Krakowie pod Niemcami. Pałac Sztuki na Szczepańskim Placu był znowu otwarty. W lecie, przed wybuchem wojny, trwała tam we wszystkich salach wystawa dzieł Jacka Malczewskiego. W trzecim dniu wojny, gdy wszystko co ważne zwiało z Krakowa począwszy od z woli rządu panującego prezydenta miasta, aż po woźnego z Pałacu Sztuki, lokal wystawowy został zamknięty aż do powrotu woźnego (prezydent miasta nigdy nie wrócił) i w myśl rozporządzeń Niemców otwarto go w parę tygodni później. Tłumy ludzi zwiedzały wystawę, wielu wojskowych niemieckich stawało przed obrazami przedstawiającymi skutą w kajdany Polonię, przed kompozycjami mówiącymi o cierpieniach narodu w niewoli. W wielu wypadkach sens obrazów ożył i nabrał wyrazu. Znowu niewola. Tam właśnie zobaczyłem *Corona Imperialis* po wielu latach. Był już tylko niepokojąco pięknym obrazem, władza była w ręku zwycięzcy-wroga. Tym piękniejszy mi się wydał — pojąłem, że dla wielu obrazów Jacka Malczewskiego trzeba czasu, dystansu, by zakwitły już tylko sztuką.

Wspomnę jeszcze o *Nike Legionów*. Stoi naga kobieta z wyciągniętą wprost na widza ręką, rozkazuje (jak sądzę) legionistom by szli do ataku. Widać ich błękitne mundury, schylone postacie biegną wprzód. Kobiecy akt, realizm. Nike zwycięska. Ta właśnie Nike ma rękę opasaną rzemiennym paskiem w którym tkwi zegarek. Pasek jest czarny, zegarek z gatunku tańszych.

Dużo ludzi męczyło Ojca, co to ma znaczyć? Ojciec nie wyjaśniał, właściwie nie odpowiadał na pytania. Nudziło go to wszystko, wątpię czy miał jakieś wytłumaczenie, jasne i sprecyzowane o jakie chodziło pytającym. Myślę, że Jacek Malczewski

namalował ów zegarek, ponieważ modelka pozująca do Nike miała go na ręce. „Niech się pomęczą", pewno myślał ojciec, wiedząc aż zanadto dobrze, że cokolwiek namaluje ludzie będą szukać zagadek, symbolicznych wypowiedzeń. Ponieważ wiele lat przedtem opatrzono jego twórczość stampilą symbolizmu.

W kraju nie wolno w ten sposób pisać o Jacku Malczewskim. Nie wiem czy ktoś z Polaków żyjących w wolnym świecie ujrzy owe obrazy, o których piszę. Wypowiadam moje myśli pod wiatr zdarzeń. W przyszłym, zmienionym świecie, wszystko co piszę może wydać się zupełnie pozbawione sensu.

Rafał MALCZEWSKI

Spotkanie

Okna były zasłonięte żaluzjami i tylko w szparach lśnił blask słońca przesycając mrok w pokoju rozwodnionym światłem. Tropikalny upał, gęstniejący koło południa, przygniatany do ziemi pokrywą sinawej mgły, opadał na miasto i kładł się ciężko w ulicach. Wszystkie odgłosy z zewnątrz dolatywały niewyraźne, jakby w opakowaniu. Leżeli przytuleni milcząc. W każdym punkcie, w którym stykały się ich ciała, skóra pokrywała się potem. Odsunął się ostrożnie i pomyślał, że opadanie upału na miasto przypomina śnieżycę. Głos klaksonów samochodowych, pokrzykiwanie czyścibutów, dzwonienie sprzedawców lodów, wszystkie dźwięki dobiegające z dołu były jakby tęskne, mniej mechaniczne.

— Gilbert, czy nie sądzisz, że Carlos domyśla się czegoś? — powiedziała odchyliwszy głowę, nie patrząc na niego.

Sięgnął po papierosa rozleniwiony, bez żadnej ochoty do rozmowy na ten temat. Był niemal pewny, że Carlos domyśla się, ale jasne przyznanie się do tego musiałoby pociągnąć za sobą próby jakiejś decyzji. Wolał jej unikać. Zapalił papierosa, ułożył się na wznak i postawił glinianą popielniczkę na piersiach. Trochę chłodziła i było wygodniej strząsać popiół.

— Przypuszczam, że w takim małym mieście nawet mężowie domyślają się prędzej... — odpowiedział uśmiechając się, bo przyszło mu na myśl, że odpowiedź była jak fragment dialogu z Wilde'a.

Przysunęła się delikatnie, położyła mu głowę na ramieniu i lekko objęła kładąc dłoń koło popielniczki, prawie na sercu. „Teraz pewnie powie: jak ci bije serce, a on jej odpowie: dla ciebie, kochanie" — pomyślał. Ma się zawsze złudzenie, że tym razem będzie inaczej i w końcu zawsze jest tak samo. Nawet te same słowa powracają bezustannie. Zaczął je sobie przypominać w różnych językach, o które otarł się dawniej i równocześnie pragnąc, aby ich jednak nie powiedziała. Nie wiedział dlaczego, ale teraz zależało mu na tym. Nawet trochę go to zaniepokoiło.

— Gilbert, jak ci bije serce — powiedziała pieszczotliwie po hiszpańsku.

Zaśmiał się głośno. Przypomniał mu się jakiś stary dowcip, bardzo długi, w którym wszystko przedtem było nadzwyczajne, nie jak w Cincinnati, a to odbyło się w końcu tak samo, jak w Cincinnati. Tego nie można zmienić i pewnie dlatego szuka się ciągle zmiany łudząc się, że będzie inaczej. Usiłował bronić się tanim cynizmem wiedząc równocześnie ile był wart.

— *Y que quieres que hace?* — zapytał też po hiszpańsku bardzo marnym akcentem.

— Nie *que hace*. Mówi się *que haga* — poprawiła go ze śmiechem i lekko pocałowała. Mówiła doskonale po angielsku z amerykańskim akcentem „House in the Pines" w Bostonie, gdzie przebywała parę lat jak wszystkie panny z zamożnych domów w Guatemali. Wstała, przeszła przez pokój i zniknęła w kuchence. Słyszał jak otwiera lodówkę, wykrusza lód z foremek i podważa kapsle na butelkach z lemoniadą.

— Nie Coca Cola — krzyknął. — Daj mi zwykłej wody z lodem.

— Tak czy owak zawsze wyjdzie z ciebie „gringo" — odpowiedziała wychylając głowę z kuchni i śmiejąc się. Wróciła po chwili niosąc w każdej ręce wysoką szklankę. Usiadła obok niego, zdjęła popielniczkę i postawiła mu na piersiach zimne szkło. Patrzył cały czas na nią, patrzył jak poruszała się po pokoju swobodnie, jakby była ubrana. Nie było w jej ruchach żadnej pozy ani udanego skrępowania. Była wysoka, pełna i równocześnie wiotka, o lekko brązowym odcieniu skóry. Miała małą głowę i jak wszystkie tutejsze kobiety, małe i delikatne ręce. Wypiła lemoniadę, odstawiła szklankę i pochyliła się nad nim.

— Dlaczego nie pijesz?

— Nie chce mi się ruszać.

Pochyliła się jeszcze niżej i gładziła go po włosach.

— Gilbert...

Przymknął oczy i udawał że usypia. Zadzwonił telefon. Drgnęła, zdjęła z niego szklankę, sięgnęła po słuchawkę i przyłożyła mu ją do ucha. Skrzywił się i jakby chcąc wynagrodzić nagłe wdarcie się dzwonka w jej pieszczotę, przyciągnął ją całą ku sobie. Z tamtej strony ktoś oczywiście usiłował mówić po angielsku i nie mógł niczego zrozumieć. Znał już ten swoisty snobizm ogarniający tu nawet prostych ludzi i dał się najpierw wygadać. Potem poprosił żeby powtórzono mu po hiszpańsku. Telefonowali z lotniska.

— Od wczoraj popołudniu?... Cessna 170/... W kierunku na Xaján... Tak. Dobrze. Patrzył jej w oczy i widział, że wszystko słyszała. Była zaniepokojona i szepnęła mu od razu: „Znam ich".

— Tak. Zaraz przyjadę.

Odłożyła za niego słuchawkę, pocałowała go, bez słowa po-

deszła do szafy, wślizgnęła się w szorty i włożyła bluzkę. Była poważna, niemal skupiona. Usiadł i patrzył jak krzątała się boso po pokoju i po kuchni. Włączyła kuchenkę elektryczną, postawiła wodę. Potem otworzyła jego podręczną torbę i sprawdzała zawartość.

— Gdzie masz zastrzyki przeciwko ukąszeniom wężów?

— W szafce w łazience.

Przyniosła je, upakowała, wyjęła z szufladki rewolwer i ładunki, zwinęła płaszcz nieprzemakalny. Przypatrywał się i nic nie mówił. Od tej strony jeszcze jej nie znał. Ogarnęła go tkliwość i poczuł, że zbliża się niebezpiecznie do granicy, jaką sobie zawsze wykreślał w każdej z tych gier. Podeszła i usiadła mu na kolanach.

— Tam jest wściekła dżungla. Bóg raczy wiedzieć, gdzie oni się wpakowali i czy w ogóle można będzie ich odnaleźć.

Wstała szybko, bo woda zakipiała. Widział w ramie otwartych drzwi jak rozgrzana przy kuchni zdjęła bluzkę, obtarła papierową serwetką pot z czoła i z szyi, jak sięgała po torebkę z bulionem w proszku, rozerwała ją, odgarniała włosy; obserwował ruch jej ramion i piersi jakby to był jakiś wspaniały taniec. Potem stanęła przy kuchence, spojrzała na zegarek i oparła ręce na biodrach wpatrując się w okno.

— Siedem minut na wolnym ogniu — powiedział głośniej.

— Pospiesz się. — Zmarszczyła czoło i pokręciła głową.

Miał ochotę siedzieć jeszcze i patrzeć, przepatrzeć całe siedem minut, ale poderwał się i poszedł do łazienki z wyraźnym nakazem myślenia o czym innym. Stojąc pod letnim tuszem usiłował wyobrazić sobie trasę lotu zaginionej awionetki, teren w którym należało przypuszczalnie jej szukać i którego nie znał zbyt dobrze. Ale na tle zieleni dżungli oglądanej z góry pojawiały mu się ciągle ramiona Eleny w ruchu zwolnionym. „Jak Gary Cooper" w „Pożegnaniu z bronią" i kiwająca się noga... Jak nazywała się ta aktorka... Dawno, piekielnie dawno, tuż po wylaszowaniu..." przypominał sobie. Wyszedł z łazienki i zaczął przerzucać koszule w szufladzie komody, nie mogąc się zdecydować, którą włożyć.

„Do diabła z tym wszystkim". Ogarnęło go nagłe zniecierpliwienie, jakaś irytacja bez powodu. Słyszał jak poza jego plecami nakrywała mały stolik.

„.......!" — zaklął półgłosem, soczyście. Roześmiała się.

— Dlaczego się śmiejesz? — odwrócił się i spojrzał z wyrzutem. Przekrzywiła głowę na ramię i spuściła oczy.

— Osiem odznaczeń w drugiej wojnie, siedem „Mig'ów" na Korei i więcej wstążeczek, as, „tiger blood", a teraz pan major zamiast być pułkownikiem, siedzieć w Pentagonie albo w jakiejś misji lotniczej i grać w polo, polować na tygrysy — zaczęła przesuwać ręką nisko nad stołem tam i z powrotem naśladując warkot silnika — teraz pan major prrrr-lata w gruchocie i psss-flituje plantacje głupich „finqueros" albo szuka za-

ginionej awionetki „con dos mocosos" — „Prrr" — przesuwała dalej ręką nad stołem, jak przekorne dziecko robiące to na złość i podnosiła czasem trochę zwężone oczy. — A jutro rano pan major będzie flitował bawełnę na plantacji mojego męża, bo mu już zapłacili... jak zwyczajnemu...

Urwała nagle czując, że poszła za daleko i zaczęła przygryzać wargi, kreśląc palcem kółka po serwecie i nie patrząc na niego.

Wyprostował się, wydzierał guziczki z dziurek zapiętej i jeszcze złożonej koszuli, zaczął ją wkładać wolno upychając pedantycznie wokoło paska. Widziała tylko jego ręce i widziała, że końce palców drgały mu jak łapki u uśmiercanego owada. Pomyślała, że ją uderzy, niemal czekała na to. Miała ochotę rozpłakać się, ale była zanadto przestraszona. Milczeli.

— I co dalej? — zapytał wreszcie trochę ochrypłym, ale opanowanym głosem. Wolno uniosła głowę i spojrzała mu w oczy z obawą.

— I co dalej? — powtórzył. Odczekał. Nic nie odpowiedziała i uśmiechnęła się niepewnie.

— Jesteś zadowolona?... — Może miałaś rację. Nigdy dotąd nie mówiłem z tobą na ten temat. Myślałem...

Głos wygładzał mu się i równocześnie zawisał. Był pewny, że i tak go nie zrozumie.

— Przyszło późno... a może w sam czas. Nie wiem... Niedługo po Korei. Było lato. Zajechałem raz o czwartej rano do małego baru na Long Island, w drodze do bazy. Nikogo nie było. Okna były otwarte, do środka wpadał chłód świtu i zapach zieleni... Tam zieleń o świcie pachnie całkiem inaczej, niż tu... chłodniej i mocniej. A może to tylko przez kontrast z Nowym Jorkiem? — Zaśmiał się cicho. — Piłem kawę i paliłem papierosa. W drzewach odezwały się jakieś ptaki. I wiesz, nagle spotkałem się...

Jeszcze się wahał, było mu trochę wstyd. Wydawało mu się, że składa w jej ręce coś bardzo drogocennego i nie wiedział, czy potrafią one to ująć jak należy.

— Spotkałem się z sobą — dodał ciszej. — Krótka chwila, w której dzieje się bardzo wiele. Jest to jak wyzwanie, które albo przyjmuje się, albo odrzuca. Ja je przyjąłem... I wtedy cała przeszłość rozsypuje się w oczach i czujesz, że przeszłaś przez życie nie będąc właściwie niczym...

W miarę jak mówił, wyznanie przemieniało się w nim mimowoli w coś bezosobowego, stawało się instrumentem w doświadczeniu. Jego spojrzenia, z początku zawstydzone, stały się w pewnej chwili badawcze.

— Takie spotkanie...

Podeszła, objęła go w pasie i przyciągnęła mocno ku sobie. Coś w nim skoczyło i cały przylgnął do niej.

— Czy wolałabyś... — chciał mówić dalej, chciał jej teraz wszystko powiedzieć.

— Wolę, żebyś spotykał się ze mną — powiedziała trochę udanym tonem kapryśnej dziewczynki i z zupełnie nieudaną kokieterią kobiety, z zadowoleniem ze zręcznego pochlebstwa, na które na pewno był czuły. Stanęła na palcach i odchyliwszy głowę przybliżyła usta.

Przymknął oczy, zacisnął wargi. Głaskał ją trochę za szybko po ciemnych, krótko przystrzyżonych włosach i starał się opanować drganie szczęk. Zauważył w jej oczach zdziwienie i ciekawość. Chciał jak najprędzej przełknąć ślinę i wcisnąć w głąb głupi skurcz w krtani. Udało mu się i wtedy dopiero zaczął się śmiać bezgłośnie, na resztkach oddechu. Pobladła i odsunęła się. Wziął jej rękę, przyłożył policzek do otwartej dłoni i ocierał się o nią, jak ojciec o piąstkę niemowlęcia.

— Czy nie rozumiesz? — Łzy stanęły w jej oczach.

— Rozumiem, wszystko rozumiem. Już dobrze. — Ujął jej drugą rękę i pocałował w przegubie. Odwrócił się, podszedł do komody i rozmieszczał w kieszeniach spodni drobiazgi. Stała nieruchoma jakby niedowierzając, że już naprawdę wszystko jest dobrze i tylko powstrzymywane łzy zaczęły jej teraz ściekać spod powiek. Wyciągnął chustkę i osuszał jej policzki.

— Teraz wysiąkaj mocno nos.

Przypomniał sobie, że i ta sytuacja była ograna i przytrzymując chusteczkę zupełnie mimowoli myślał jak mówi się „wysiąkać nos" po francusku i po niemiecku. Nie pamiętał już.

Schował chustkę do kieszeni i przyciągnął jej głowę do piersi. Było mu jej żal i nagle poczuł, że właśnie teraz coś jeszcze jakby bardziej zbliżyło go do niej i coś zaczynało się na nowo. Było to zupełnie bezsensowne i nie potrafił tego wytłumaczyć, ale przenikało go to wraz z ciepłem jej ramion i zapachem włosów.

— Dlaczego właśnie w moje urodziny? — powiedziała z rozżaleniem.

— Nie mówmy o tym. — Pogładził ją po twarzy. — Pewnie bulion już się wygotował.

— Odstawiłam. Musisz teraz prędko coś zjeść i jechać.

Wyszła do kuchni. Zauważył, że włożyła z powrotem bluzkę i szczelnie ją zapięła. W tej chwili był jej wdzięczny za ten odruch. Wniosła talerze, rondelek, postawiła szynkę i sałatę, zimny ryż i konfiturę. Dla siebie przyniosła papierowy kubeczek z lodami. Usiadła na fotelu w rogu pokoju i podkurczyła nogi. Zeskrobywała wolno twarde lody i przetrzymywała dłużej łyżeczkę w ustach czekając, aż stopią się na języku.

— Nie zaprosiłam Chioui. Będzie wściekła. *Un loro rabioso* — dorzuciła złośliwie po hiszpańsku. — Zauważyłeś, jak ona patrzy na ciebie?

Wzruszył ramionami. Nie mógł przełknąć niczego gorącego i odstawił bulion z niesmakiem.

— Nie wiem, czy będę mógł przyjechać. Zostaw mi trochę lodów. — Zaczął zwijać płatek szynki i krajać.

— Dlaczego? — zatrzymała łyżeczkę w drodze do ust i spojrzała zaniepokojona. Pochylił się nad stołem w jej stronę.

— Po pierwsze mogę się zabić, poza tym będę zmęczony i w ogóle wiesz jak ja przepadam za tymi waszymi spędami owiec, zwanymi „fiesta"... *Fiesta, fiesta, ay — que alegre!* — przedrzeźniał udając kobiecy, afektowany głos. Znowu ogarniało go zniecierpliwienie i wykrzywił się z ironią. Wstała z fotela i usiadła przy nim. Pochyliła głowę zaglądając mu w oczy.

— Nie mów mi, że... możesz się zabić — uśmiechnęła się smutno. — Wiem, że możesz. Bardzo łatwo... Codziennie modlę się za ciebie — powiedziała całkiem cicho i wolno. Spuściła oczy.

Odłożył nóż i widelec, oparł głowę na łokciu i spojrzał naprawdę ubawiony. Pochwyciła jego wzrok i poruszyła ustami jakby chciała się rozpłakać.

— Jedz dalej.

Zabrał się do jedzenia kręcąc głową i unosząc brwi.

— Musisz lądować najpóźniej o szóstej. Będziesz mógł się jeszcze położyć, potem przebrać i przyjechać na dziewiątą.

Pomyślał z niechęcią o tym wieczorze. Wstał od stołu, przesunął rękami po kieszeniach sprawdzając, czy wszystko zabrał, podkręcił zegarek na ręce. „Trzeba jechać. Czy chociaż pamiętasz, na której ulicy zostawiłaś twój samochód?" — uśmiechnął się. Chciał prześlizgnąć się żartem ponad pożegnaniem. Popatrzyła mu prosto w oczy, poważnie i z troską. Podszedł, objął ją mocno i pocałował. Wysunęła rękę, położyła mu ją na głowie i prawie niewidocznym ruchem, tak aby nie mógł się spostrzec, nakreśliła mu na czole wielkim palcem znak krzyża. Poczuł to i przytulił ją jeszcze mocniej uśmiechając się pobłażliwie. Wziął torbę, przerzucił płaszcz przez ramię i wyjął klucze od samochodu. Przy drzwiach odwrócił się, kiwnął głową.

— *So long, mi India.*

Uniosła rękę i poruszyła palcami.

II

Szedł ocienioną stroną ulicy i stanąwszy przy swoim samochodzie rozglądał się po niebie badając, czy „canicula" wytrzyma. Był to krótki, upalny okres przerwy w sierpniowych deszczach. Nad niskim miastem, zabudowanym parterowymi domami, zbierały się chmury przysłonięte mgłą. Światło słońca było bez koloru i kleiste. Wydawało się że wpełza nawet na ocienione miejsca. Patrząc w górę zauważył, że chmury wisiały nieruchome i że z ciemnego wału na północy wyrywały się tylko u dołu mniejsze strzępy. Reszta tkwiła w miejscu wstrzymywana przeciwnym wiatrem. Pomyślał, że powinno wytrzymać.

Wszedł do rozgrzanego samochodu i zapuścił motor. Na wąskich ulicach kończył się już południowy ruch. Jadąc ku lotnisku starał się ułożyć plan czynności, ale myśli rozbiegały się lub

skupiały bez powodu na jakimś słowie, powtarzając je bez sensu, z uporem. Czuł się pusty i zmęczony. Miał ochotę zjechać w bok, zatrzymać się, zamknąć oczy i utknąć na granicy snu. Ogarnęła go chęć bezwładu, wstręt do wszelkiego ruchu i podejmowania inicjatywy. Pragnienie to było tak silne, że gdy wjechał do dzielnicy willowej przed lotniskiem, odruchowo skręcił w aleje cyprysów i stanął. Ułożył się w rogu siedzenia i zapalił papierosa. Palił z zamkniętymi oczami. Męczył się w nieokreśloności, było mu żal siebie samego i było mu za czymś przeraźliwie tęskno. Jakiś samochód zatrzymał się obok ale nie chciało mu się ruszyć i nie otworzył oczu.

— Hello Gilbert, masz zamiar zdechnąć z gorąca? — usłyszał tuż przy głowie znajomy głos. Uniósł się i wyjrzał przez okno.

— Hi Jimmy — rzucił z niechęcią w roześmiane usta międlące cygaro. — I ciebie zmobilizowali?

Miał ochotę dodać jeszcze coś złośliwego, ale nie chciało mu się wysilać. Nie lubił Jima i właściwie cały Jim razem z jego fachem był dla niego trochę odpychający, jak sęp.

— Trudno im odmówić — bełkotał wokół cygara. — Kilka godzin pracy silnika za darmo na szukanie dwóch wariatów. Powinni poprosić o helikoptery. Moja maszyna na pewno nie nadaje się do tego.

Gilbert uśmiechał się ironicznie, ale z ulgą poczuł, że dzięki Jimowi mógł znowu skupić myśli na czymś określonym. Patrząc na długą, chudą twarz, pomyślał że Jim powinienby zostać wielkim mężem stanu. Był to wspaniały okaz człowieka bez przeszkód moralnych. Jim był naprawdę wielki, bo był etycznie najzupełniej neutralny. Gdy wybuchała gdzieś rewolucja, ofiarowywał siebie i swojego „Thunderbolt'a" na usługi tej strony, która lepiej płaciła. To był jego „business". Bombardował i strzelał za parę tysięcy dolarów. *I'm fumigation pilot too*, mawiał ze śmiechem. Teraz irytował się spokojnie.

— Polata parę godzin i myśli, że lotnik. Potem szukaj ich. Nawet nie mają dokładnych map.

Jim znał świetnie całą Amerykę Środkową. Wyciągnął poplamioną i pokreśloną mapę z własnymi poprawkami i zaczął ją rozkładać na kierownicy. Gilbert wyszedł z samochodu i usiadł przy nim. Był pewny, że od niego dowie się więcej, niż od wszystkich miejscowych specjalistów, organizujących poszukiwanie zaginionej awionetki. Jim tłumaczył.

— Aby dolecieć tam, trzeba przeskoczyć przez to pasmo gór. Dwanaście tysięcy stóp — przesunął bursztynowym od nikotyny paznokciem. — Jestem pewny, że nie przeskoczyli i wbili się gdzieś w zbocze poniżej grzbietu. O — tu. Szukaj ich wzdłuż i staraj się robić każde przejście na innej wysokości tak, aby cały teren oglądać ciągle pod innym kątem. W tej przeklętej dżungli można ich znaleźć tylko na błysk jakiejś części maszyny zanurzonej w zieleni. Czasem można znaleźć...

— Jeżeli się zabili, to może po sępach można by odnaleźć miejsce... — poddał Gilbert. Jim uśmiechnął się trochę pogardliwie i nie pozwolił mu skończyć.

— Sępy są ptactwem domowym i nad bezludną dżunglą nigdy ich tu nie znajdziesz. Gdzie są ludzie, tam są sępy — dodał sentencjonalnie.

— Masz rację — Gilbert zaśmiał się i klepnął go w plecy z uznaniem. Przesiadł się z powrotem do swojego samochodu i ruszył ku lotnisku. Czuł się teraz lepiej, bo opanowało go podniecenie i przyjemne uczucie gry kiedy wszystko sprowadza się do jednej myśli i upraszcza. Był zawsze przekonany, że bez tego stanu podgorączkowego nie można niczego porządnie wykonać. W okresach spadku temperatury, jak przed chwilą, czuł się trochę bezbronny i oszołomiony. ,,Choroba narodowa'' — pomyślał. Wjechał na lotnisko przez bramę Aeroklubu, zamknął samochód i wszedł do restauracji.

Na oszklonej werandzie pousuwano stoliki i odprawa była w toku. Szef lotnictwa cywilnego, młody i pewny siebie urzędnik, udzielał wyjaśnień nad mapą grupie pilotów. Byli to przeważnie młodzi właściciele plantacyj kawy lub bawełny, bogaci ,,finqueros'' lub zamożni właściciele sklepów, którzy mogli sobie pozwolić na posiadanie awionetki. Gilbert znał ich prawie wszystkich z przyjęć, wytwornych ślubów, balów w Klubie Amerykańskim i innych kastowych wydarzeń towarzyskich. Byli dla niego zawsze bardzo uprzejmi, ale wyczuwał jakby odcień lekceważenia z ich strony. Teraz kilku odwróciło się i machnęło niedbale ręką na jego półgłośne *buenas tardes*. Ukłuło go wspomnienie Eleny naśladującej warkot silnika.

Mieli zmarszczone czoła, przesadne ruchy, trochę teatralne stroje. Zauważył u kogoś olbrzymi fiński nóż przy pasku, komuś wystawała z kieszeni kolba ,,Colta'' tak, aby wszyscy mogli ją od razu zobaczyć i kilku paliło już papierosy à la James Mason. Po ostatnim filmie z nim, trzymanie papierosa w trzech palcach z żarzącym końcem schowanym w dłoni, było nieuniknione. W przeciwległym kącie siedziała grupa starszych osób i dolatywało stamtąd ciche szlochanie którejś z matek zaginionych. Gilbert przysłuchiwał się bardzo szczegółowemu planowi poszukiwań, dzieleniu obszaru, rozdzielaniu zadań. Co chwilę ktoś wychodził i biegł w stronę swojej awionetki. Napięcie rosło wzmagane teatralnością ruchów, zamaszystym rolowaniem na start i zadzieraniem słabych maszyn w obowiązkowej ,,świecy''. W pewnej chwili wszyscy rzucili się do okien, bo któraś z awionetek weszła pod takim kątem, iż wydawało się, że musi stracić szybkość. Zaczęto dyskutować czy Pepe mógł sobie na to pozwolić, ktoś z kimś pokłócił się twierdząc, że można zadrzeć jeszcze bardziej, szef lotnictwa cywilnego nawoływał do porządku. Zawołał do Gilberta po angielsku.

— Mr. Rocker, czy zna pan teren?

— Tak, całkiem dobrze.

— W takim razie nie przydzielam panu żadnego obszaru. Może pan szukać na własną rękę. Na ile wystarcza panu zbiornik w pańskim Stearman'ie?

— Na trzy godziny.

— Dowieźliśmy benzynę na lotnisko w Xajàn i może pan tam lądować. Dziękuję.

Gilbert wsiadł znowu do samochodu i objechał lotnisko po zewnętrznej bieżni. Jego „Stearman" stał po przeciwnej stronie, koło hangarów lokalnej linii lotniczej. Było tu zacisznie i spokojnie. Zdjął z siedzenia torbę, zamknął samochód i podszedł do samolotu. Był przywiązany do tego grata jak do kogoś żywego. Był jego, własny, i kochał w nim teraz wspomnienia młodości, te odległe obrazy, które w pobliżu czterdziestki, w spokoju, nadlatywały coraz częściej i uporczywiej. W środku była przepaść lat drugiej wojny i Korei, otchłań lat, w których żył tak intensywnie, spalał każdą chwilę w tak wysokiej temperaturze, że nie pozostało po nich nic, co mogłoby się z czymś wiązać. Było to jakby drugie życie, bryła odłupana z całości i zepchnięta umyślnie w głąb. A teraz znowu coś nawiązywało się i dodało otuchy, łudziło jakby powtórnym początkiem. Smukły dwupłatowiec z żółtymi skrzydłami i szafirowym kadłubem, 220-konny „Continental" wypieszczony i lśniący, jak srebrna gwiazda zawieszana na szczycie choinki, cichutki pogwizd wiatru w stalowych linkach. Z przyjemnością dotykał rozgrzanego w słońcu, lekko uginającego się płótna na skrzydłach, przesunął ręką po gorącym kadłubie.

Ułożył torbę za siedzeniem, zbadał czy w zbiorniku na przodzie, przeznaczonym na owadobójcze chemikalia nie pozostało za wiele toxafenu, który niepotrzebnie obciążałby samolot. Wyjął haubę, okulary i wciągnął na głowę myckę z jedwabnej pończochy. Odblokował stery, sprawdził ich działanie. Miał znowu ochotę zamknąć oczy i grzebał się we wnętrzu kadłuba niezdarnie, jak w damskiej torebce. Teraz już wiedział, że kołuje byleby odepchnąć przyznanie się do najważniejszego.

Mignęło to nagle, olśniło i uchwyciło mocno, kiedy sprawdzał ilość paliwa. Strzałka na liczniku niemal przeleciała poza cyfrę galonów i nie mógł jej dojrzeć pochłonięty tylko tym. I najgorsza była w tym pewność, że nawet natychmiastową kpiną z siebie samego nie uda mu się z tego wyślizgnąć; że propozycja wymontowania strzałki i wbicia jej sobie w pierś lub w wyrysowane na liczniku serce (jedna mądrzejsza od drugiej), nie załatwia niczego. Kpina pozostawała kpiną, a obok niej rosło to coś radosnego, do czego wstydził się przyznać.

Dlaczego nie miał prawa do zwyczajnego skoku w to uczucie i pogrążenia się w nim jeszcze głębiej, niż byłby zdolny do tego dawniej? Dlaczego musiał się wysilać na żarty z siebie samego i ośmieszać to, co kilkanaście lat temu przyjąłby na pewno jako coś naturalnego, na co czekał i co nigdy nie

przyszło. A może przedtem nie mogło pojawić się w tej postaci i dopiero teraz?

Zaplótł ręce na karku i odchylił głowę, patrząc w niebo. Linki poświstywały, ponad żółtą powierzchnią górnego skrzydła rozpościerał się przymglony błękit, puszysty i gęsty jak dym. Nie miał siły i nie chciał walczyć z radością, poddawał się jej z ochotą, leciał coraz wyżej i coraz szybciej. Flirtował teraz z samym sobą i kokietował sam siebie. Wiedział od dawna, że największy i zarazem najmniejszy teatr nosi się w sobie i żaden aktor nie zdobywa się na tak genialną grę, na jaką człowiek zdobywa się wobec jedynego widza: siebie samego. Teraz bawił się swobodnie, rozsmakowywał w każdej scenie. Widz nie protestował, bo czuł prawdę, zwyczajną i bardzo ludzką.

Wyskoczył szybko i rozglądnął się za kimś do pomocy. Pod hangarem kręciło się kilku mechaników. Gwizdnął na palcach i przywołał ręką. Śpieszył się, chciał jak najprędzej być całkiem sam ze swoją maszyną, z hukiem silnika, z wiatrem na twarzy wokół okularów i z tym specjalnym spokojem wewnątrz nich. Wszystkie myśli gromadzą się wtedy w tej małej i zacisznej przestrzeni przy oczach. Rozrusznik śpiewał coraz wyżej, silnik zaskoczył. Piosenka z dawnych lat pełna życia i nadziei, znowu młoda. Nie — nie czuł żadnej nienawiści do tamtych maszyn, do ich grzmotu i szybkości. To był po prostu inny świat, ten nowy. Jak po latach wraca się w deszczowy wieczór do dawno czytanej książki i nagle odczuwa całkiem na nowo i inaczej jej urok, tak on wracał teraz i przeżywał głębiej to wszystko, co kiedyś wymknęło się niedocenione.

Maszyna była stara, ale precyzyjne oprószanie i zraszanie bawełny na pozamykanych wzgórzami polach lub wykarczowanych w dżungli pólkach, wskakiwanie z obciążonym chemikaliami gratem w roślinne studnie i latanie na wysokości dziesięciu stóp ze spinaniem się przy każdym nawrocie po ścianie lasu lub urwiska było tak samo pochłaniające i niebezpieczne jak walka. A równocześnie błogość niezależnej i pasjonującej pracy. Lądował na małym polu, nabierał toxafenu czy czegoś innego, startował. W południe odpoczywał. Wprost z samolotu na konia i na obiad do plantatora. Lubił jeździć na przełaj, zanurzyć się w trzcinie cukrowej i słuchać jej gorącego szumu, nurknąć w kukurydzę i w metaliczny dźwięk szermierki jej liści na wietrze lub przesunąć się przez chłód i nieziemski spokój gaju kawowego. W jeden z takich dni poznał Elenę.

Podrolował pod pompę benzynową, napełnił zbiornik i podpisał kwitek. Z głównej bieżni wystartowały trzy wojskowe „Mustangi", za nimi Jim. Spojrzał na zegarek i przymocował mapę na udzie. Znowu wycie rozrusznika i potoczył się na start. Po chwili miasto zostało z prawej strony i znikło. Miał około godziny lotu do miejsca, w którym zamierzał rozpocząć poszukiwanie. Nabrał wysokości, zidentyfikował stożki wulkanów, jak drogowskazy i poszedł wprost na Xajàn.

Wtedy był słoneczny i suchy dzień kwietniowy. Na wodę w basenie opadały żółte liście eukaliptusów i trawa wokoło była już ostra i wysuszona. Przed wejściem do wody usiedli na kamiennej ławeczce, osłoniętej od słońca sztucznymi ruinami glorietty w najgorszym guście. Rozmawiali o ostatnim filmie, wypytywała go o jego pracę, była, jak one wszystkie, interesująco powierzchowna. Zapytał ją o jakąś powieść. ,,Czy to coś z francuskiej literatury? *Diós guarde!*" — odpowiedziała z komiczną powagą, naśladując doskonale ton zgorszonej ropuchy z tutejszego towarzystwa. Zaskoczyło go to. Zupełnie odruchowo, jakby z koleżeńskim uznaniem za dobrą kpinę z własnej sfery, położył jej rękę na ramieniu i śmiał się. Nie zatrzymała się w rozwoju jak one wszystkie, nie tyła, była jednak trochę inna. Przysunęła się nieznacznie i otarła policzkiem o końce palców. Był tym zaskoczony i onieśmielony; nie wiedział co powiedzieć, napomknął coś niezgrabnie o zapachu jej włosów. Westchnęła z udanym demonizmem: ,,Scandale" Lanvin'a"! Wybuchnęli śmiechem obydwoje i wtedy ją pocałował.

Leciał już teraz ponad dżunglą wybrzeża Pacyfiku. Kolor zieleni zmienił się, pojaśniał i zbity gąszcz drzew w dole przypominał rzęsę wodną na stawie. Gdzieniegdzie przebłyskiwały okrągłe jeziorka tworzące się w czasie pory deszczowej i podobne z góry do lejów bombowych, wypełnionych wodą. W oddali majaczyło już pasmo gór przed Xajàn, na lewo Pacyfik i niebo łączyło się w mglisto-błękitną przestrzeń bez granic. Minęła go jakaś ,,Cessna" i pokiwała skrzydłami. Zamknął się z powrotem we wnętrzu okularów, miał jeszcze pół godziny.

W maju przestawał latać, kończył się sezon, przerwa trwała aż do końca lipca. Trzy miesiące deszczów. Spotykali się potem na jakichś przyjęciach, tańczyli i w jeden z tych pierwszych dni, gdy jest popielato i gorąco i ulewa raz cichnie, raz zwala się całym ciężarem na opustoszałe ulice, przyszła do niego. Prawie nie dosłyszał dzwonka i poszedł otworzyć tylko dla pewności. Stała w drzwiach, z trochę udaną swobodą powiedziała: *How are you, Gilbert* i weszła. Zaczęła manipulować przy składanej parasolce. ,,Piszą, że należy suszyć otwartą" — mówiła potrząsając nią i prostując druty. Miała trochę zmoczone włosy i twarz. Boty z plastyku ściągnął jej z nóg razem z pantofelkami. Dudnienie i szum deszczu były tak głośne, że słowa gubiły się w tym hałasie. Wypowiadali je wśród głębokiego nabierania oddechu, jak przed skokiem do wody. I było w tym coś z zanurzenia się w gorącą ulewę.

Później jakaś rynna obok okna tykała miarowo, jak zegar ścienny, gęsty i cienki deszcz siekł jednostajnie, przycichał, nabierał sił do następnej szarży. Poczuli nagle ruch podłogi, fotografie na ścianach zaczęły się kiwać i szyby podzwaniać, dom wydawał się z gumy. Trzy twarde podskoki jakby na wybojach,

dziesięć sekund łagodnego kołysania. Wstrząs był wyjątkowo silny i długi. Przeżegnała się na głos, skoczyła, potem przylgnęła do niego rozdygotana strachem. Tulił ją i uspokajał: „Na początku pory deszczowej zawsze się trzęsie". Czuł, że jej nie przekonał i w głębi jej oczu widział coś zabobonnego i prymitywnego. „Si, si" — odpowiadała machinalnie. Mówiła potem szybko, już tylko po hiszpańsku, zaczęła ubierać się gorączkowo i niemal uciekła. Nie widział jej przez dłuższy czas.

Był zajęty od rana do wieczora gruntownym odnawianiem samolotu i był zadowolony z maszyny. Okazała się lepsza do tej pracy niż inne, których próbował. Myślał o kupnie kilku podobnych i o utworzeniu małego przedsiębiorstwa. Tymczasem bawił się silnikiem jak zabawką, oddał do ochromowania wszystkie części, które nadawały się do tego i składał wspaniałą, błyszczącą gwiazdę budząc zachwyt mechaników na lotnisku. Zupełnie nagle, bez uprzedzenia, przyjechała do hangaru.

Była to niewielka buda z desek, którą sam zbudował i gdzie pracował w głębi przy świetle. Dla bezpieczeństwa nie porobił okien. Zaczął padać deszcz i od wejścia powiało chłodem, z cementowych bieżni unosiły się tumany pary. Zatrzymała samochód tak blisko, że mogła wysiąść niewidziana przez nikogo. Podeszła do niego nie zdejmując ciemnych okularów i wyciągnęła rękę, ale widząc jego czarne od smaru dłonie, położyła mu ją po chwili wahania na ramieniu. „Nie gniewaj się, Gilbert..." — powiedziała i uśmiechnęła się. Chciała koniecznie mówić normalnie. „Wiesz — nie mogłam. Będziesz się ze mnie śmiał..." — powiedziała o jeden odcień za głośno i jakby z obawą, że mógłby się naprawdę zaśmiać. Zdjęła rękę z jego ramienia i pochyliwszy głowę otworzyła torebkę, zaglądała do niej i wyjmując paczkę papierosów, mówiła jakby od niechcenia, jak kobieta znad robótki. „Możesz mi nie wierzyć... ale to było pierwszy raz i ten wstrząs później... pamiętasz?... wydał mi się jakby ostrzeżeniem. Zresztą nie wiem. W każdym razie śmieszne, prawda? Daj mi ognia" — dorzuciła szybciej. Wsadziła papierosa do ust i przytrzymywała go między dwoma palcami. Widział, że drgał całkiem wyraźnie.

— Nie pal tutaj — powiedział przyglądając się jej z ciekawością, trochę tak, jak ogląda się Indian w ich wioskach. Nie wiedział, co ma powiedzieć dalej i chciał jak najprędzej wymknąć się z kłopotliwej sytuacji, do której mogły doprowadzić jakieś wyznania. Wyczuł w tym jakby zarzucanie sieci i musiał się jak najprędzej wymotać.

— To byłoby straszne — powiedział po dłuższej chwili milczenia.

— Co? — spojrzała z niepokojem i zdjęła okulary.

— Miłość bez rąk — podniósł zasmarowane dłonie i zaśmiał się, badając z uwagą reakcję. Kąciki ust drgnęły jej, odwróciła głowę jakby z zawodem i ze skrępowaniem i dopiero po kilku sekundach przymusiła się dzielnie do śmiechu. Potem ro-

biła już wszystko aby dotrzymać mu kroku. Pokazywał jej samolot, tłumaczył i nie obeszło się bez odwiecznego „każda maszyna ma w sobie coś z kobiety".

Pasmo gór przed Xajàn stało się wyraźne i zagradzało horyzont. Zaczął nabierać wysokości i myśleć o tamtych dwóch. Lecieli z obciążeniem, z żywnością dla ludzi pracujących przy budowie lotniska i najprawdopodobniej nie przeskoczyli. „170" zanadto obciążona staje się oporna na tej wysokości, traci oddech. Może wpadli w mgłę i starali się przelecieć na ślepo. W takim razie jest to już tylko poszukiwaniem trupów.

Góry zapadły się teraz w głąb i spłaszczyły. Po kilku minutach był już ponad ich grzbietem, przechylił maszynę do zwrotu w lewo i zaczął szukać. W dole słała się zbita masa zieleni, twarda i nieruchoma i tylko koliste korony olbrzymich drzew wydymały się nad nią w wielkie półkole jak na pół wydęte balony. Tu i ówdzie pojawiał się jakiś otwór, studnia wypełniona po brzegi czernią głębokości. Wyłuskał w kieszeni kilka tabletek gumy do żucia i włożył je do ust ruchem kwitującym z góry całe przedsięwzięcie. Nie pozostawało nic innego jak żuć i przechadzać się tam i z powrotem, starając się dojrzeć szpilkę w stogu siana. Przesuwał wzrokiem od krawędzi skrzydła po krawędź statecznika. Po drugiej stronie zarysował się prostokąt lotniska wydrążonego w gąszczu i nikł powoli. Czasem coś łudziło błyskiem duralu i wtedy wpatrywał się dłużej w ten punkt, przestawał na chwilę poruszać monotonnie szczękami i wyciągał szyję. Nic. Roślinna twierdza, niedostępna i tajemnicza.

Postanowił przeszukać dokładnie cały teren po obu stronach małej przełęczy ponad którą zwykle przelatywało się ku nowemu lądowisku. Zmieniał wysokość bezustannie lecąc równolegle do grzbietu i odsuwając się od niego w każdym przejściu o kilkaset stóp. Wytężał wzrok zwracając uwagę na każdy szczegół, szukanie zaczynało odurzać go, jak narkotyk. Coraz częściej, bez żadnego uzasadnienia, przechylał się i krążył uporczywie nad jakimś punktem będąc pewny, że to właśnie tu. Potem napięcie słabło, oczy błądziły automatycznie i dopiero myśl, że może w tej samej chwili, w tym ułamku sekundy przeoczył jakiś ślad w dole, stężała na nowo uwagę. Chwilami miał zupełnie wyraźne uczucie, że jego wzrok pracuje na wysokich obrotach jak silnik przy starcie. Po półtorej godziny zawrócił ku lotnisku w Xajàn aby napełnić zbiornik.

Czuł się wyczerpany i trochę oszołomiony. Niewielki prostokąt lotniska wyrąbanego w środku dżungli był jak podwórze więzienne, otoczone wysokim murem. Wokoło popiskiwały i gwizdały straże, jednostajny jazgot papug, kwik małpek, szelest liści, trzask łamanych gałązek. Powietrze przesycone mieszaniną zapachów lasu tropikalnego, było duszne i upalne. Usiadł na pustej blaszance i zapalił papierosa, doglądając z da-

leka napełniania zbiornika. O godzinę lotu od miasta stał tu jeszcze nienaruszony od stworzenia świat i bronił się.

Pomyślał o wieczorze i wydało mu się to trochę przymglone, jak sen. Czuł się szczęśliwy. Ale pod tym zaczął nagle tlić się niepokój, jakby poczucie winy i obawa. Co jej powie dziś wieczorem? Wtedy, w hangarze, jednym słowem mógł uzyskać to, o czym teraz marzył. Czuł najwyraźniej, że potknął się, że z przyzwyczajenia poszedł po starej drodze i zrobił wszystko aby i ją pociągnąć za sobą. Teraz chciał ująć ją za rękę i zawrócić, uciec jak ona w pierwszy dzień. Czuł niesmak, bo nie mógł przytoczyć niczego na swoją obronę. Jeszcze dziś, niemal do końca, brnął dalej. To, że go nie zrozumiała, było wyłącznie jego winą. Zachowała się w tym momencie tak, jak on ją nauczył; dotrzymywała kroku.

Wstał, przeciągnął się i poszedł się czegoś napić. ,,Gaseosa'' była ciepła, bo nie mieli tu jeszcze lodu i przełykał ją ze wstrętem. Wylądowały dwie awionetki i z rozmowy z pilotami dowiedział się, że nie znaleziono żadnych śladów. Mieli radio, rozmawiali cały czas z innymi. Wystartował powtórnie. Chciał przymusić się do specjalnej uwagi, skupić znowu tylko na poszukiwaniu, ale czuł, że zdobędzie się tylko na rutynę. W dole była ciągle ta sama wypukła mapa z zielonej plasteliny ulepiona kiedyś przez wulkany i drgająca do dziś dnia.

Wtedy zatrzęsło się całkiem normalnie, a teraz, gdy przypominał sobie o tym, i jemu wydało się, że mogło to być jakby ostrzeżeniem. Próbował odepchnąć te myśli, osłonić się przed nimi monologiem o rozsądku, o wpływie przesądów. Bo czymże to było, jeżeli nie zabobonem? Chciał wymknąć się uczuciu, które coraz to uporczywiej naciskało i podkradało się na wstydliwym pytaniu : czy pewna etyka jest przesądem, czy też suma pewnych przesądów wytwarza pewną etykę? Przymiotnik ,,pewny'' przyklejał mu się do wszystkiego. Był z pokolenia, które bało się jasnych określeń i bało się ich najbardziej w rozmowach z samym sobą i ze światem. Przypomniał sobie Freda, gdy pijany, stanął na stoliku, uciszył wszystkich i wybełkotał łamaną francuszczyzną : ,,Jesteśmy z pokolenia uciekinierów etycznych, lecz... przede wszystkim kultura'' — po czym zaczął wymiotować ostentacyjnie, artystycznie, z chusteczką przy ustach. Było to w dzień zwycięstwa w paryskiej ,,boîte'' przy Pigalle. Fred dostał wielkie brawo, z entuzjazmem zdjęto go ze stolika i ułożono nieprzytomnego na kanapce. Niedługo potem i on był pijany.

Dżungla w dole była ciągle ta sama. Zaczął marzyć o jakimś przyrządzie prześwietlającym, niecierpliwić się. Bał się teraz wieczoru, bał się, że znowu go nie zrozumie i czuł równocześnie, że tym razem nie potrafi pójść na żadne ustępstwa. To było głupie, niedorzeczne i — co gorsze — absolutnie śmieszne. Jeżeli modliła się za niego, to było to jedynie wyrazem jej płytkiej bigoterii, mamrotaniem indyjskiej ,,bruja'', czymś, co

w jej mniemaniu było religijnością lub może nawet wiarą. W czasie wojny, w jakimś rozwalonym kościele w Normandii, widział raz posąg Św. Teresy z napisem: ,,Wrzuć do otworu w wielkim palcu 50 centymów, a wieniec na głowie Św. Teresy zaświeci się''. Miasteczko było poszarpane, bez światła. Zapadał późny, letni mrok, w ruinach kościoła było już prawie ciemno. Dla zabawy wyciągnął z kieszeni małą, aluminiową monetę i wrzucił ją w szparę na palcu. Wieniec zaświecił się, błysnęły różnokolorowe żarówki, oświetliły na chwilę gipsową twarz, rozbitą ścianę i biały pył tynku wokoło. Z daleka dolatywał przytłumiony huk dział. Wrzucał monetę po monecie, wszystkie jakie miał i cieszył się. Świeciło. Jakieś przewody nie zostały przerwane, może posąg miał własną baterię. Stał tam szczęśliwy i dziwnie ufny, nie myślał o śmieszności tego posągu. Dotknięcie przez nią palcem jego czoła było czymś bardzo podobnym, bezmyślnie włączyła światło. Chciał wybuchnąć śmiechem, ale wolał być szczery. Wiedział, że byłby to już śmiech kogoś innego.

Słońce opadło, zieleń uplastyczniła się bardziej i cienie w dole powydłużały. Wrócił znowu ponad grzbiet i przeszukiwał jeszcze raz ze słońcem na plecach. Mgły rozpłynęły się i w oczyszczonym powietrzu pojawiały się coraz to nowe i coraz dalsze wulkany, tworząc długą linię niebieskawych stożków. Dotąd nie myślał o nim, Carlos nie odgrywał żadnej roli. Teraz w jednej chwili poczuł gniew, to coś co trzepoce się na przeponie, jak ćma wpadająca wieczorem za rozpiętą koszulę. Nie mógł już wyminąć tej lalki z ciemnym wąsikiem, tego mieszańca i w nagłej pasji, w przypływie bezsilnej wściekłości, zapomniał o wszystkim i chciał go usunąć. Widział to, obraz za obrazem przesuwał się błyskawicznie i stawał przed oczami z całą wyrazistością.

To bydło zawsze lubi patrzeć. Płacą i patrzą. Przyjeżdża na koniu przebrany za ,,cowboy'a'' i gapi się. Albo zakłada maskę i kitel z plastyku, włazi w bawełnę i sam wbija chorągiewki, sam naprowadza. Week-end'owi rolnicy. Zawsze chcą, żeby jeszcze niżej, bo to ich bawi, mają cyrk. Może go jutro zdmuchnąć, jak świeczkę. Ręka zaczęła mu drgać i zaciskać się na knyplu, widział ściegi bawełny pędzące wstecz i czuł dokładnie każdy ruch maszyny, precyzję podejścia, wysokość i pogłaskanie kołem po głowie. Przed kilku miesiącami jeden z pilotów zabił przypadkiem peona, który wlazł mu w drogę. Musnął kołem ,,Piper'a'' i zdjął wierzch czaszki dokładnie, jak pokrywkę z rondla. Wypadek, uniewinniono go. Trząsł się cały, otwierał usta żeby nie zgrzytać zębami, podniecał się coraz bardziej, obliczał wszystkie możliwości i był pewny, że tamten mu się nie wymknie. Przesuwał okiem pod skrzydłem, starał się uspokoić, skontrolować szkic i przejść do dokładnego nakreślenia planu. W tym momencie zobaczył ją.

Zalśniła na chwilę wśród drzew, mały, ledwo dostrzegalny

punkcik. Przechylił się i w ostrym skręcie w lewo runął w dół na cel. Nie odrywał wzroku. Wyciągnął nisko, zawrócił i przeszedł jeszcze niżej, z boku. Uplątany w festonach lian tkwił kadłub i widać było tylko stery. Obleciał wokoło i znalazł kawałek skrzydła zawieszony opodal. Na przestrzeni kilkudziesięciu stóp czubki drzew były połamane, żadnego znaku życia. Wpadli na pełnym gazie poniżej grzbietu, jak przypuszczał Jim. Wzniósł się spiralą i z wysoka ustalił możliwie dokładnie punkt. O dziesięć minut lotu od lotniska. Musiał lądować aby nabrać benzyny na drogę powrotną. W Xajàn zastał trzy awionetki i w kilka minut później doprowadził je na miejsce, lecąc z powrotem.

Lądował o zmroku. Awionetki dały już znać radiem i gdy stanął pod swoim hangarem, czekano na niego. Obskoczono go. Był zgiełk, samochody pchały się trąbiąc, jedna z matek złapała go za rękę i nie chciała puścić powtarzając monotonnie: „*Diós se lo pague, Diós se lo pague*", dziennikarze żądali szczegółów. Szef lotnictwa cywilnego spojrzał pytająco. Nie chciał nic mówić i tylko poruszył głową dając do zrozumienia, że najprawdopodobniej zabili się.

Przy pomocy dwóch ludzi wtoczył samolot do hangaru, zasunął drzwi. Stanął na chwilę przy silniku i poczuł na policzku ciepło bijące od rozpalonych cylindrów, gorący oddech maszyny.

III

W drodze do domu zatrzymał się przy kwiaciarni i kupił dwa tuziny importowanych róż. W środku pory deszczowej było zwykle trudno o ładne kwiaty krajowe. Zapakowano mu je w jedno z oryginalnych pudełek, w jakich przychodziły z Florydy. O zmroku, jak zwykle, ochłodziło się, ale zamknięte mieszkanie było wypełnione upałem. Otworzył wszystkie okna i pudło z różami postawił przy otwartej lodówce. Miał wrażenie, że od chwili kiedy w południe zamknął za sobą drzwi upłynęło nie kilka godzin, lecz wiele dni. W sypialni błąkał się jeszcze zapach jej perfum i nawet ten zapach wydał mu się teraz czymś bardzo odległym. Odczuwał we wszystkim jakby nagłe zerwanie się ciągłości, opór w nawiązywaniu.

Włączył radio i poszedł golić się do łazienki. Z komunikatu dowiedział się niestworzonych rzeczy o sobie, opowiedzianych w miejscowym, przymiotnikowym stylu. Był bohaterem wieczoru i w końcu zaczął się głośno śmiać — nie bez ukrytej przyjemności — gdy potrojono jego ilość „Mig'ów" na Korei. Brakowało w tym tylko „dokładnej" i „źródłowej" informacji, że strzelał do nich śrutem. Usłyszał także, że helikoptery z Panamy były już w drodze i że do miejsca wypadku wyruszyła piesza ekspedycja.

Nie był głodny i po kąpieli wypił tylko flaszkę mleka. Położył się na chwilę paląc i przeglądając kilka fachowych pism. Zajął go artykuł o projekcie samolotu atomowego, o wytrzyma-

łości ciała ludzkiego na promieniowanie przenikające z reaktora. Po iluś tam godzinach latania i wchłonięciu dozwolonej ilości roentgenów, ani sekundy dłużej w maszynie tego typu. Całe życie stanie się przygotowaniem do jednego, jedynego lotu bojowego. „*Que faut-il dire aux hommes?*” Myślał o liście znalezionym w pośmiertnych papierach de Saint-Exupéry'ego i opublikowanym w jakimś francuskim piśmie, z którym woził się wszędzie od 48-go roku. Gdy zaczął latać w odrzutowcach, czuł się w tych nowych maszynach jak tamten w „Lightning'u”, a gdy tam, na Korei, wypływało w rozmowach coraz częstsze „po co?”, on cytował ze śmiechem: „*Pour ne rien refuser des emmerdements de ma génération*”. I tłumacząc to kolegom trochę ordynarnie i obrazowo, był spokojny. Ten list umiał prawie na pamięć i może odegrał on pewną rolę w spotkaniu na Long Island. Pragnął trochę śmiesznego liryzmu, odrobiny kolorów w tym świecie z duralu, w którym nawet kłamstwo i śmierć zatraciły barwę i stały się szarym, masowym „job'em”. Spojrzał na zegarek i przymknął oczy.

Lecz czy to nie wszystko jedno? Całe życie było i będzie zawsze przygotowaniem do jedynego wielkiego lotu, do śmierci. To jedno jest pewne i będzie zawsze pewne. A może właśnie bezbarwna śmierć odebrała kolory życiu? Jaka zależność panowała między nimi? Czy była jakaś różnica pomiędzy tajemniczą obawą, odwiecznym niepokojem pełnym skupienia i odpowiedzialności, a zwierzęcym strachem, do którego sprowadzało się teraz wszystko z nią związane? Czy odbierając jej godność, redukując do zgaszenia żarówki lub milionów żarówek, nie odbierano i życiu jego godności? Myślał coraz szybciej, brnął coraz głębiej w gorączkowe upojenie. Może tkwił w tym odłamek prawdy? Nie znając celu śmierci nie umiało się wytyczyć celu dla życia. A może to odwrót? Nie — w tym liście krył się jednak jakiś błąd. Maszyna, jak wszystko inne, była namiastką. Niewolnikiem jej mógł czuć się tylko człowiek, który nie...

Wstał i ubierał się plącząc się coraz bardziej w łańcuchu nerwowych dociekań; w obronie przed prostym stwierdzeniem, że bez głębokiej wiary w coś, może choćby tylko w Boga, wszystko było bez sensu i wszystko było niewolnictwem, doprowadzał je do absurdu. Gdy otworzył szafę wyjmując ubranie, jej zapach był tu jeszcze mocniejszy. To było pewne. Kochał ją, pragnął jej jeszcze bardziej, ale inaczej niż dotychczas. W sile tego uczucia tęsknota za nią, za ciepłem jej ciała, łączyła się teraz z równie silnym pragnieniem... Czego? Wyrwania? „Zaświecenia wianuszka i na jej czole” — sformułował ironicznie wiążąc krawat.

Wyszedł na ulicę. Było już pusto, ale reklamy neonowe i światła na wystawach jeszcze nie pogasły. „*Siu siajn, mister*” — obskoczyło go kilku obdartych chłopców ze skrzynkami na szczotki do butów. „*Suerte, suerte*” — mówiła dziewczynka, podsuwając losy na loterię. „*No quiere guineos?*” — pytała

inna malutka, przygnieciona koszem bananów trzymanych na głowie. Jej głosik dolatywał jakby już spod ziemi. Przykucnął i dał jej wielką, srebrną monetę. *„Gracias, señor"* i przeżegnała się nią, pocałowała na szczęście. Wszystkim dał po kilka centów. Gdy podchodził do samochodu, usłyszał za sobą *„gringo baboso"* rzucone z lekceważeniem. Danie czegoś za nic było dla nich najwyższą głupotą. Odwrócił się i przyjaźnie kiwnął do nich ręką. *„Gud baj"* odpowiedzieli chórem i wybuchnęli śmiechem.

Na drodze za miastem zamknął okno, bo było chłodno. Księżyc przebłyskiwał spoza chmur i ponad smugą światła reflektorów rysowały się wyraźnie góry i regularne kopce wulkanów podobne do olbrzymich mrowisk. Było pusto i dodał gazu. Droga opadała cały czas w dół, wiła się ostrymi zakrętami. Po trzech kwadransach zatrzymał się, otworzył okna i zdjął marynarkę. Z pięciu tysięcy stóp zjechał na rozległy pas nad brzegiem Pacyfiku, niski i urodzajny tropik. Noc była tu upalna, przesycona parą o stęchłej woni przypominającej zapach powietrza w krytej pływalni. Zapalił papierosa i ruszył dalej.

Zwolnił przed wjazdem do większego miasteczka, stolicy departamentu. Na ulicach było jasno od świateł otwartych „cantinas" i reklam neonowych, a przeładowane i toczące się wolno w kaczym kolebaniu autobusy i ciężarówki nie przygaszały reflektorów i oślepiały. Gdzieniegdzie automatyczny gramofon wylewał przez otwarte drzwi i okna hałaśliwą piosenkę meksykańską, w ciemnych zaułkach wybuchała nagle salwa petard. Pijani ludzie posuwali się skośnym ruchem kul bilardowych obijając się o ściany domów i tocząc się aż do następnego punktu odbicia. Musiał całkiem zwolnić i bardzo uważać, bo niektórzy odbiwszy się o dom po jednej stronie wąskiej ulicy sunęli aż do muru po przeciwnej stronie i wpadali wprost pod koła. Rynsztoki były wypełnione liśćmi kukurydzy, łupinami ananasów, czerepami orzechów kokosowych, błotem najróżniejszych owoców fermentującym w upale, stadami psów.

Potem z głównej szosy wjechał na polną drogę wśród trzciny cukrowej. Obłoki pokryły księżyc, gdzieś daleko bezustanne błyskawice oświetlały pochmurne niebo. Nadchodziły znowu deszcze. Po kwadransie podjeżdżał długą aleją z palm kokosowych, prowadzącą do majątku i zabudowań położonych na łagodnym wzniesieniu. Lubił te palmy. Smukłe pnie, oświetlane kolejno od dołu, pięły się wzwyż i rozpryskiwały wysoko w bukiety wiotkich liści jak ognie sztuczne. Na podwórzu przed domem było jasno od żarówek porozwieszanych na werandzie i od strony „ranchos" robotników dobiegał głuchy łoskot motoru elektrowni. Kilkanaście samochodów stało tu w nieładzie a pomiędzy nimi snuły się cicho dzieci indyjskie przesuwając brudnymi rękami po lśniących zderzakach i błotnikach. Czasem któreś powiedziało coś głośniej, inne przyciszały je i wystraszone przysiadały na chwilę przy ziemi, wybuchając potem wszystkie

razem tłumionym śmiechem. Gwar wewnątrz domu raz zamierał, raz wzmagał się i kiedy wchodził na werandę, szklane dźwięki marimby zagłuszyły wszystko. W głębi podwórza majaczyło w mroku kilka nieruchomych postaci. Indianie z „ranchos" schodzili się popatrzeć i posłuchać zatrzymując się na granicy światła, jak wilki.

W pokojach było duszno, pusto i pachniało kwiatami. Gwar rozmów i dźwięk szkła dolatywały z drugiej strony, z długiej galerii wzdłuż domu i z ogrodu. Bose dziewczęta ubrane odświętnie w barwne, indyjskie stroje, roznosiły ostrożnie tace z kieliszkami szampana. Zjawił się w momencie gdy wszyscy zaproszeni otoczyli Elenę ciasnym kołem i trzymając w jednej ręce kieliszki, intonowali chórem tradycyjne *„happy birthday to you"*. Nie zauważono go.

Stał i przyglądał się jak po odśpiewaniu życzeń z sileniem się na najlepszy akcent, kobiety całowały ją i mężczyźni obejmowali poklepując po plecach w zwyczajowym *„abrazo"*. Podszedł i podając jej pudło z różami, powiedział: *„Felices cumpleaños, señora"*. Zaśmiała się, postawiła kieliszek na stoliku i wyciągnęła ręce. Była szczęśliwa, rozbawiona, w całej postaci miała coś z palmy na wietrze. Mówiła szybko po angielsku. Już myślała, że nie przyjedzie, ale to tak miło z jego strony i *„I'm so glad"*. Przyciskała pudło do piersi. Na pewno był zmęczony, bo słyszała już, że to on odnalazł i *„it's terrible"*. Na pewno zabili się. Jej dalsze słowa zagłuszyła kanonada petard rzuconych przez kogoś, kto właśnie przyjechał; potem gwar wzmógł się bo wszyscy witali się z popularnym młodzieńcem od petard. W upalnym powietrzu unosił się dym o zapachu chlorku. Było *„alegre"*.

Przechodząc szybko, Carlos poklepał go po ramieniu z *„glad to see you"* i podszedł do małego baru przyrządzać whisky bo już kilka głosów domagało się natarczywie „czegoś uczciwego po tej lemoniadzie wdowy Cliquot". Kobiety skupiły się na końcu galerii przy drzwiach do pokoju Eleny i oglądały prezenty, mężczyźni podzielili się na grupki dyskutując przy tacach z zakąskami. Zachodziła możliwość, iż pomimo ostatniej rewolucji dawny kodeks pracy zostanie utrzymany przy życiu i wobec tego obecny prezydent był już takim samym komunistą i *„hijo sin madre"*, jak poprzedni. „Jakaż różnica?" — padało ciągle to samo pytanie wśród chrupania „tostaditas".

Zbliżył się do kobiet. Były tak pochłonięte oglądaniem kolczyków i pierścionka wysadzanych brylantami, że nie zauważyły go. „Dwa tysiące dolarów — na pewno cztery karaty" — mówiła któraś ze znawstwem i z trudno ukrywaną zawiścią w głosie. Podszedł jeszcze bliżej i bez słowa wyjął jej z rąk wykładane aksamitem pudełeczko. Zamilkły i przyglądały mu się z uwagą uśmiechając się znacząco. Elena wyszła właśnie z pokoju z uwieszonym przy kluczykach od samochodu złotym brelokiem w którym miniaturowa pozytywka grała jakąś włoską melodię.

Podniosła rękę i przesuwała ją koło uszu zachwyconych przyjaciółek. Wychylił się i dopiero wtedy zauważyła go. Spojrzała na trzymane przez niego etui i zmieszała się, nie podsunęła już pozytywki i stała przez chwilę z wyciągniętym ramieniem. Potem niemal wydarła mu je z rąk.

— Wspaniałe — powiedział spokojnie.

— Prawda? — rzuciła krótko i spojrzała zatrzymując się na progu.

— Tak. Takie małe i już gra.

Odwróciła się i weszła do pokoju. Usłyszał przyciszony, złośliwy śmiech kobiet. Panował nad sobą ale czuł jak wzbiera w nim wściekłość i równocześnie pasja wygrania jej właśnie teraz, tu, posiadania całej. Odpowiadał na pytania, opowiadał płynnie o odnalezieniu strzaskanej awionetki myśląc cały czas o jej ramionach, o zarysie piersi pod obcisłą, czarną suknią z głębokim wycięciem. Domyślał się kształtów pod nią jakby nigdy ich nie znał, jakby całą postać ujrzał po raz pierwszy w życiu i pragnął jej po raz pierwszy.

Usiadł w trzcinowym fotelu obok kilku *„finqueros"*, właścicieli sklepów, jakiegoś ministra. Pili szybko i wyrażane opinie stawały się coraz to bardziej pewne, nie ulegające żadnej wątpliwości.

Zmechanizować zupełnie, totalnie, i uprawiać samemu jak farmerzy w Stanach Zjednoczonych. Do pomocy paru białych imigrantów. Wtedy złagodnieją, na kolanach będą prosić o pracę i sami wyduszą przywódców syndykatów.

Ktoś zaśmiał się i powiedział:

— A ja wam mówię, że najlepiej kupić kilkadziesiąt starych okrętów, władować na nie wszystkich Indian, wywieźć na morze i utopić. — Kiwnął szklanką w stronę Gilberta: „Wy byliście mądrzejsi. Poczekaliście, aż Colt wynalazł bębenkowiec i wytłukliście ich doszczętnie".

— Tak — i zamiast tego mają Murzynów co wychodzi na to samo.

Zapadło milczenie, bo słuszność uwagi zahamowała na chwilę rozpęd.

— Postęp postępem, a w całym mieście nie ma jednego porządnego burdelu. Jak byłem teraz w Paryżu...

— Jedyne rozwiązanie to imigracja europejska. Włoch, Niemiec — ci potrafią pracować i ci nauczyliby Indian...

— *Hombre* — sprowadzić trochę tych Francuzek to drzwi nie zamykałyby się. One nauczyłyby...

— Carlos — tego bydła nikt niczego nie nauczy. To najstarsza rasa na ziemi, szczątki ludności Atlantydy...

Rozmowa stawała się naukowa.

— Naznaczeni są fatalizmem dziejowym...

— Henrique — przeczytaj Morley'a.

— Morley Morley'em a najlepsza metoda to w pysk i papierosa, w pysk i potem papierosa; wtedy mówią że jesteś *„un*

señor muy delicado". Traktuj po ludzku to jesteś dla nich *„baboso"*.

Wreszcie powitano wybuchem śmiechu jakiś dowcip, którego nikt dobrze nie zrozumiał bo nie był dostatecznie ordynarny i skonstatowano, że *„señoras"* na pewno już się nudzą. Marimba zaczęła właśnie grać coś modnego i wszyscy wstali.

Musiał w jakiś sposób skłonić ją choćby do krótkiej rozmowy. Czuł wyraźnie, że na uczucie do niej nasunęły się teraz jeszcze obcość i niemal nienawiść do nich wszystkich. To oni krzyczeli tu zawsze najgłośniej o pomoc jego kraju aby nie musieć zrezygnować z niczego i ciągnęli z niej dodatkowe zyski, rozdzielali ją między sobą. Szczątki ludności Atlantydy głodowały i milczały. Spoglądał na te młode, bezmyślne twarze i zaciskał pięści. Nie chodziło mu już o Carlosa, niknął teraz w całości i przestał go zajmować. Wzruszył ramionami. Tylko na dnie chichotała ironiczna myśl: *Julien Sorel in yankee edition"*. Uśmiechnął się kwaśno sam do siebie.

Nie chciał pić bo nazajutrz miał latać i powstrzymywanie się od alkoholu wprowadzało go w dodatkowe rozdrażnienie. Zapalił papierosa i czekał. Wszedł ktoś i wszyscy mężczyźni rzucili się na przyjęcie upragnionego skazańca. Zmuszano go teraz z hałasem i z zawsze tymi samymi dowcipami do wypicia wielkiej szklanki czystej whisky żeby „dogonił". „Przegoni" — pomyślał. Podeszła do niego i przyglądając się pojeniu spóźnionego z uśmiechem, powiedziała naśladując świetnie jego amerykański akcent i zjadliwy ton.

— *Ay — que alegre!* A — i cena kawy znowu spadła, *do you know it?*

Westchnęła i rozłożyła ręce. Parsknął śmiechem z ulgą.

— Muszę ci powiedzieć coś bardzo ważnego. Poczekam przy ping-pongu.

Poruszyła głową i ustami w ten sposób, w jaki markuje się pocałunek na odległość i ujmując suknię w końce palców żartobliwie dygnęła mówiąc z powagą: *„Sincerely yours"*.

Śmiał się, śmiał się przepełniony radością. Wepchnął ręce w kieszenie aby nie stracić nad nimi panowania i nie wyciągnąć ich ku niej. Odeszła i oglądnąwszy się świsnęła lekko przez zęby jak gazeciarz. Odwrócił się do ściany i dusił się od śmiechu, ze szczęścia. Wziął z baru szklankę whisky i poszedł w drugi koniec domu gdzie pod specjalnie dobudowanym dachem stał stół ping-pongowy.

Upił kilka łyków i wziąwszy rakietkę i piłkę, odbijał ją o ścianę. Myślał jak jej to powie, starał się dobrać słowa. Wyczuwał całe niebezpieczeństwo szczerości. W tej grze, której on ją nauczył, w której starał się ją wydoskonalić od początku, kilka prostych słów, prawdziwych, mogło zamienić się w niedozwolone uderzenie i przerazić brutalnością. A jednak było mu trudno zdecydować się na co innego.

Przyszła zdyszana zdmuchując z twarzy kosmyki włosów

które opadły jej w tańcu. Zsunęła z nóg pantofelki i podeszła do stołu w pończochach. Wzięła rakietkę i z rozmachem zaserwowała celując w niego piłeczką. Otwierała szeroko oczy i kiwała się lekko udając zabawnie pijaną.

— Dlaczego nie zatańczyłeś ze mną? Chciałeś mi powiedzieć coś ważnego?

Położyła drugą piłeczkę na rakietce i bawiła się nią podbijając w górę kilka razy i łapiąc w rękę. Czuł jak rozdrażnienie w nim rośnie.

— Tak. Coś bardzo ważnego. Słuchaj... mam już tego wszystkiego dosyć. — Przestraszył się własnego głosu. — Albo, albo... Po prostu kocham cię... Zanadto... i naprawdę. Rozumiesz? — na pewno powiedział to za głośno.

Piłeczka spadła jej na ziemię i potoczyła się z celuloidowym pluskiem. Zatrzymała wzrok na niej, opuściła rękę z rakietką i nie podniosła oczu. Przestała się kołysać.

— Czy musiałeś mi powiedzieć o tym właśnie dzisiaj... i tutaj?

Mówiła już zupełnie innym głosem, twardym i bezbarwnym. Miała rację. Gdyby byli sami mógłby ująć ją za ramiona i potrząsnąć, może (na pewno) uderzyć w twarz tak, jak cuci się omdlałych. Ale nie mógł czekać.

— Czy to nie wszystko jedno? — zapytał sucho.

Milczała. Błądziła wzrokiem po ogrodzie, po czubkach palm, po zawieszonych w gałęziach lampionach. Wreszcie podeszła do pantofelków i wsuwała wolno stopy najpierw do jednego, potem do drugiego. Była teraz znowu wyższa.

— Gilbert, przyjadę do ciebie pojutrze i porozmawiamy, dobrze?

W jej tonie był jakby rozkaz, zaczepna pewność siebie. Niedbałym ruchem głowy dała mu do zrozumienia, że lada chwila może ktoś nadejść. Teraz miał naprawdę ochotę ją uderzyć.

— Jeżeli chcesz, możesz przyjechać do hangaru. — Patrzył jej prosto w oczy.

— Już raz tam byłam... — I ona spojrzała teraz wprost i milczała. Przez moment zląkł się, że ugnie się pod tym ciosem. Ale właściwie oczekiwał go, miała prawo. Machnęła ręką, zaczęła z upokarzającą pojednawczością. — Będziesz jutro na obiedzie i z pewnością...

— Nie. Jestem tu ostatni raz — powiedział półgłosem i z wysiłkiem. Zdawał sobie sprawę z teatralności tej odpowiedzi, ale brnął w nią właściwie od początku.

— Gilbert, *por Diós*... Chodźmy stąd. Zatańczmy.

Głos jej zmiękł, prosiła. Odeszła kilka kroków, zatrzymała się i spojrzała czy idzie za nią. Nie ruszył się i tylko ciągle patrzył w jej oczy. Pochyliła głowę, końcem pantofelka zepchnęła jakiś niedopałek papierosa z podłogi na trawnik i po chwili wahania, nie oglądnąwszy się, poszła wolno w głąb domu.

Otarł chustką czoło i twarz. Trwało krótko i nie zastana-

wiał się nad wynikiem. Najważniejsze było dla niego to, że wytrzymał, że nie zszedł ze ścieżki, którą obrał. „Twoja wina" — myślał. Nie wiedział dokąd go doprowadzi i tymczasem nie troszczył się o to. Z ulgą wyciągnął się na leżaku. Starał się nie myśleć, niczego nie rozważać, popadł w otępienie. W ogrodzie klekotała znowu marimba.

Nie wiedział jak długo przeleżał, ale gdy wstał aby pójść pożegnać się, wyminął w galerii grupę już zupełnie pijanych mężczyzn. Siedzieli na podłodze oparci o ścianę i spali. Opodal tańczyło chwiejnie kilka par. Elena stała sama przy barze i od razu spostrzegł, że teraz już nie udawała. Była pijana. Nalewała właśnie „crême de cacao" i dodawszy do tego kilka kropel śmietanki, wpatrywała się w powolny ruch tej mieszaniny kręcącej się wolno w kieliszku i przewijającej się w jasnych i ciemnych pasemkach. Stanął tuż przy niej ale nie odwróciła głowy. Widział tylko jej profil.

— Po co to pijesz?... Dobranoc! — powiedział prawie szeptem.

Wpatrywała się dalej w kieliszek z uporem jak wróżka w szklaną kulę.

— Gilbert, patrz... to tak...

Nie dokończyła i zobaczył, że płacze. Rozumiał ją. Miał ochotę wziąć ją w ramiona i wynieść. Ścisnął tylko jej lewą rękę i szybko wyszedł.

IV

Słyszała przez sen głosy służby, strzępy zdań i śmiechów tych, co będąc zupełnie pijani przespali noc i odjeżdżali za dnia. Potem dalekie, przytłumione pykanie traktorów jadących w pole. Wiatr szumiał w grzywach palm spływając z gór w jednostajnym, równym podmuchu. Czasem dobiegał wyraźniej monotonny warkot silnika samolotu, niknął, chwilami przybliżał się dźwięcząc mocniej i znowu zamierał. Pianie kogutów rozciągało się i odlatywało w dal długie i przenikliwe.

Bolała ją głowa i bała się wstać bo czuła, że zawrót jeszcze nie przeszedł. Uśmiechnęła się. Po co wypiła aż tyle? Myśli obracały się ciężko w miejscu powolnym ruchem młyńskiego koła. Szamotał się w niej jakiś niepokój, uczucie skończenia się czegoś i konieczność męczącego rozpoczynania na nowo. Czego? Przypominała sobie po kolei wszystko. Powiedział, że naprawdę ją kocha. Opadała w głębię z rozkoszą, miała ochotę znowu płakać, utopić w płaczu całą bezradność jaka obudziła się w niej od razu po tym wyznaniu i ciągle trwała. A jednak wyrwał z siebie to słowo, którego dotąd zawsze unikał tak starannie. Myślał, że ona nie widzi. Taki dziwny z tym wszystkim, zupełnie inny. Właściwie oświadczył się, chciał... Najpierw... Przypominała sobie jego mieszkanie, ich pierwsze spotkanie i te następne. Był naprawdę całkiem inny. Przenikał ją jakiś uroczy

wstyd. Najpierw to wszystko i dopiero potem... ,,Mrs. Rocker'' zaśmiała się w głębi i starała to sobie wyobrazić.

Przeciągnęła się, ułożyła poduszkę wyżej i usiadła oparta o poręcz łóżka. Wzięła z nocnego stolika lusterko i wpatrywała się w nie z uwagą przesuwając końcem małego palca po kącikach oczu i po brwiach. Zadzwoniła na służącą i kazała przynieść wielką szklankę soku pomarańczowego. Uśmiechnęła się do lusterka. Zmusi go do przyjścia na obiad. Bawiła ją perspektywa wypróbowania swoich sił teraz. ,,Narzeczona'' — śmiała się prawie na głos.

Odłożyła lusterko i wyjęła z szufladki nocnego stolika pudełko z brylantami. Były naprawdę wspaniałe i nie mogła powstrzymać się od przypięcia kolczyków i wsunięcia pierścionka na palec. To już było jej, w k a ż d y m wypadku... jak posag. Mimowoli zmierzyła nimi obydwóch mężczyzn, ale zlękła się. Carlos stawał się w tym pomiarze potęgą, której siła krępowała ją i napełniała jednocześnie nieznośnym żalem do tamtego. Nauczyła się tej sile ulegać i cenić ją od dziecka. Dlaczego od razu jej nie powiedział? Wyczuwała instynktownie, że wtedy, z początku, kiedy nie przyzwyczaiła się byłoby łatwiej... Znowu wszystko zaczynało się w niej mieszać, szukała jakiegoś punktu zaczepienia. Najpierw spróbuje. Koło południa pojedzie konno na ich lotnisko po drugiej stronie plantacji i zobaczy.

Wypiła w łóżku sok, zapaliła papierosa i po kilku zaciągnięciach się dymem rozdusiła go z niesmakiem w popielniczce. Po zimnym tuszu czuła się lepiej i ubierała się wolno, starannie. Włożyła białą, przeźroczystą bluzkę z dakronu, popielate spodnie do konnej jazdy. Wyszła na werandę trochę niepewnie bo wiatr i słońce odurzyły ją. Chciała, jak zwykle, pójść do kuchni i wydać zarządzenia, doglądnąć, ale na myśl o zapachach kuchennych zrobiło się jej niedobrze. Spojrzała na zegarek i wyciągnęła się w hamaku na werandzie. Brzęk samolotu przedzierał się pod wiatr i gdy zamknęła oczy, mogła dokładnie rozróżnić kiedy wyciągał w górę, robił zwrot i schodził do następnego przejścia. Przybiegł jej pekińczyk i wskoczywszy do hamaka zwinął się obok niej.

Zasnęła. Zbudził ją chrzęst i podzwanianie telefonu. Spod przymkniętych powiek widziała jak Carlos kręci korbką, stara się dostać połączenie, drewniane pudło podskakuje na ścianie uderzane co chwila jego dłonią. Podniosła rękę z zegarkiem i przysunęła do oczu. Dochodziła druga, zaspała.

— Escuintla? Escuintla? — krzyczał Carlos jakby krzykiem można było coś poradzić na te telefony jeszcze z czasów Estrady Cabrera. Złość na siebie o zaspanie wyładowywała teraz w półsennej irytacji na Carlosa.

— Pogotowie ubezpieczalni w Escuintla? — krzyczał dalej Carlos obejmując dłonią tubę przymocowaną do skrzynki i przyciskając do ucha słuchawkę. Pewnie któryś z traktorzys-

tów miał znowu wypadek. To była jednak wygoda z tą ubezpieczalnią. Dawniej musiałaby wstać, przygotować opatrunki, potem zająć się tym śmierdzącym brudasem, transportować samochodem do szpitala (plamili obicia) i trzymać go tam na własny rachunek, jak to jeszcze robiła jej matka. Teraz był święty spokój. Płaciło się za nich miesięczną kwotę i „*adiós*" — sami tego chcieli. Palcem nie kiwnie.

— Pogotowie ubezpieczalni? Señorita, proszę wysłać karetkę na finca „Santa Monica"... „Santa Monica"... Tak. Co? Tak, wypadek. *El piloto de fumigación*... Zerwała się z hamaka wpatrując się chwilę w niego, łudząc się, że źle dosłyszała. Stał odwrócony do niej tyłem i w tym samym momencie przekręcił głowę jakby ukradkiem w jej stronę. Dostrzegła błysk jego oczu i bezgraniczną satysfakcję rysującą się na całej twarzy, skoncentrowaną w uśmiechu grubych, sinawych warg. Zeskoczyła z werandy i biegła przez podwórze z głuchym jękiem. Przy bramie stał koń Carlosa. Odwiązała go, wskoczyła na siodło, uderzyła obcasami.

Pędziła galopem ślepa z przerażenia. Przeleciała wzdłuż pól trzciny cukrowej, przez płytki strumień oddzielający plantację. Stała tu już grupka indyjskich robotników i rozmawiając między sobą narzeczem, pokazywali w stronę gdzie wśród szarawego pola bawełny, zwiewana wiatrem, unosiła się cienka smuga dymu. Zatrzymała się wypatrując w jaki sposób najszybciej dostać się do tego miejsca.

— *Señora — no se meta sin màscara* — krzyczeli teraz podbiegając do niej. Było jej wszystko jedno, z maską czy bez maski. Nie wierzyła, jeszcze ciągle nie mogła i nie chciała uwierzyć. Objechała plantację z boku i na linii dymu wparła konia w prostą aleję krzaków bawełny. Przycisnęła do ust i do nosa chusteczkę, niemal zamknęła oczy starając się ochronić przed trującym pyłem. „*Not to get dizzy*" myślała nagle po angielsku. Wiedziała czym grozi wjechanie w świeżo oprószoną bawełnę. W pobliżu dymu zwolniła, przenikliwy strach kazał jej jakby skradać się do tego miejsca. Otworzyła oczy szerzej. Już piekły.

Liście na krzewach obok niej były pozwijane, opodal wśród kikutów zwęglonych zupełnie drzewek tliły się resztki samolotu i w gmatwaninie stalowych rur dojrzała czarną, bezkształtną masę, coś niezrozumiale małego i jakby skulonego. Chciała krzyczeć, wepchnęła chustkę w usta, dławiła się. Odwróciła głowę, nic nie widzącymi oczyma wpatrywała się przed siebie. W górze kręciła się już wolno karuzela sępów i ich cienie przesuwały się wokół niej. Z głową ciągle zwróconą w bok podjechała jeszcze bliżej. Nie miała odwagi spojrzeć po raz drugi, bała się. W pierwszej chwili nie dostrzegła aparatu uwieszonego w gałązkach i dopiero po kilkunastu sekundach wpatrywania się w czarną skrzyneczkę uprzytomniła sobie, że był to jego filmowy „Kodak". Musiał wylecieć w momencie uderzenia o ziemię. Po-

chyliła się, wyplątała go i wcisnęła do kieszeni. To było wszystko co zostało, co mogła stąd zabrać. W oczach zaczęły jej wirować zielone plamki, czuła, że jeżeli natychmiast nie wydobędzie się stąd, na pewno zemdleje. Przycisnęła mocniej chustkę do ust i do nosa i zawróciła.

Nie mogła myśleć, a jednocześnie ogarnęła ją jakaś niezrozumiała jasność widzenia wszystkiego, każdego szczegółu, jakby mózg działał w zupełnym odłączeniu od uczuć. Nie płakała, była związana i sztywna. Do robotników przyłączyły się teraz kobiety, ludzie schodzili się zewsząd i gromadzili na skraju plantacji gadając i chichocząc. Słyszała jak mówili ze śmiechem *„Chicharrón"* — skwarek. Umilkli na jej widok.

— Czy któryś z was widział? — zapytała głośno nie mogąc zrozumieć jakim sposobem mogła wydobyć z siebie choćby jedno słowo.

— Poszliśmy na obiad o dwunastej Gringo mówił, że musi skończyć. Został tylko don Carlos. Don Carlos wbijał mu chorągiewki.

Ruszyła znowu galopem. Przed domem zeskoczyła z konia i poszła wprost do telefonu. Na werandzie siedział w fotelu Carlos ze szklanką whisky i huśtając się nie spuszczał z niej oczu. Nie zwracała na niego uwagi. Połączyła się z misją lotniczą w ambasadzie amerykańskiej.

— *Mr. Rocker is dead on our finca — yes — accident.*

Dopiero wtedy wybuchnęła płaczem, upuściła słuchawkę i pobiegła do swojego pokoju.

Później wszystko odbywało się na jej oczach ale poza nią. Karetka pogotowia nie przyjechała. Natomiast po dwóch godzinach przyjechał Jim. Był jak zwykle spokojny i metodyczny. Wyjął z samochodu worek z plastyku służący do transportu bananów, zawołał kilku „*mozos*" i razem z Carlosem poszli na piechotę. Przyjechał także komisarz policji i sędzia dystryktu. Wrócili o zachodzie słońca.

Siedziała na werandzie. Jim podszedł do niej i ujął ją niezgrabnie pod łokieć podnosząc z fotela. Spojrzał na nią i po jego wzroku i słowach poznała, że wiedział. Nie chciał aby patrzyła jak będą upychać worek w bagażniku samochodu. Mimowoli odsunęła się od niego poczuwszy swąd spalenizny bijący od jego ubrania. Wyszli razem do ogrodu. Jim chrząknął, jej łzy ciekły po policzkach.

— Czy ktoś widział? — zapytał Jim nieśmiało.

— Nie. Poszli na obiad. Chciał skończyć przed obiadem i został tylko... — kiwnęła głową w stronę werandy.

— Spalił się. Nie mogę zrozumieć... — Jim zamyślił się i machnął ręką. — Nic nie znalazłem.

Przypomniała sobe o aparacie i po chwili wahania wyciągnęła go z kieszeni.

— Znalazłam tylko to.

Podała Jimowi „Kodaka". Wziął go do rąk z uwagą, próbował pokręcić kluczem naciągającym sprężynę.

— Porobił jakieś zdjęcia. Niech pani odda film do wywołania. Na pamiątkę — dodał zwracając aparat i zmieszał się.

Pokiwała głową. Carlos wiedział, Jim wiedział, wszyscy wiedzieli. Zaczęła cicho łkać. Nie mogła być z nim sama nawet teraz. Jim położył jej nieśmiało rękę na ramieniu i popchnął w stronę domu. Wieczorem wzięła flaszkę whisky, zamknęła się w swoim pokoju i wypiła połowę w łóżku.

Nazajutrz rano spakowała drobiazgi i pojechała do miasta, do domu otrzymanego w spadku po matce. Chciała być sama. Swojej starej indyjskiej niańce pilnującej mieszkania, zabroniła wpuszczać kogokolwiek do środka, nie odpowiadać na telefony. Poszła do kościoła, miała zamiar dać na mszę za niego, ale gdy uklękła przed obrazem Matki Boskiej i zapaliła świeczkę, nie mogła się modlić. Brakowało jej tych słów, które dawniej płynęły z taką łatwością, same, bez wysiłku. Wpatrując się w obraz nie modliła się. Zaczynała myśleć.

Przejechała obok jego mieszkania i zatrzymała się opodal. Na pewno było już opieczętowane. Nie wiedziała, czy miał kogoś z rodziny. I nagle zapragnęła by móc wypytać go o jego młodość, o rodziców, o kraje które poznał, o wszystko. Oparła głowę na kierownicy. Potem oddała film do wywołania. Nic po nim nie miała, nawet jego fotografii.

Wiedziała, że była teraz przedmiotem plotek, że w tym małym mieście i w jeszcze mniejszym światku jej towarzystwa mówiono zajadle o nich trojgu. Telefonowali, matka Carlosa chciała się z nią koniecznie zobaczyć, zajeżdżały przyjaciółki. Mijając jej samochód kłaniali się, kiwali ręką i uśmiechali się z udaną życzliwością. Uciekała przed nimi, chowała się w coraz to innym kościele znajdując tu najlepszą kryjówkę. Przesiadywała długie godziny i nachodziły ją myśli wśród których wydawało się jej, że coś z niej opada. Zazdrościła tym bosym ludziom co klękali obok niej i zapaliwszy świeczkę, przedstawiali się na głos ich „Santa Virgen", podawali swój adres, szczegółowo, z wszystkimi zakrętami błotnistych uliczek, i prosili o wszystko. Nie wiedziała co pocznie dalej i tylko czuła, że brak jej sił do myślenia o tym. Narastały w niej jakaś odległość, szła nie mogąc określić do czego.

O tym, że jej mąż — nazywała go teraz w myślach *„mi marido"* jakby mówiła o nim nie do siebie lecz do kogoś innego — wiedział, nie wątpiła. I dlatego nie zjawiał się. Czekał pewnie aż ona sama wróci do niego. Była mu za to wdzięczna i czasem myślała o tym, godziła się na to nie wiedząc, co będzie potem. Któregoś dnia oddano jej rolkę filmu, pożyczono ekran i aparat do wyświetlania. Jej własny został na wsi. Przyjechała do domu niespokojna. Wszystko skończyło się i pozostało jej jeszcze to, jak pożegnanie.

Gdy zamknęła okiennice, zaświeciła światło i ustawiła ekran,

ogarnął ją strach. Drżącymi rękami założyła celuloidowy paseczek i bała się przekręcić kontakt. Nie wiedziała co było na skrawku filmu, co zdołał na nim jeszcze utrwalić. Mimowoli pomyślała o wywoływaniu duchów i sięgnęła po torebkę wyjmując z niej różaniec i owijając go sobie na ręce. Potem nagle zgasiła światło i włączyła projektor.

Trwało, pół minuty, może dłużej i ekran lśnił znowu pusty. Koniec taśmy tłukł się na szpulce a ona siedziała wpatrzona w srebrny prostokąt i wymawiała tępo bezustannie jego imię. Wyrzucony i puszczony w ruch przy gwałtownym uderzeniu samolotu o ziemię, aparat zawisnął na drzewku opodal i zdołał pochwycić tyle, ile mieści się w jednym naciągnięciu sprężyny, kilkanaście stóp filmu.

Żył, mógł żyć. Jeszcze ciągle widziała jak wydobywa się z potrzaskanego samolotu i podnosi się z uśmiechem ścierając krew z twarzy. Za nim Carlos i ręka z rewolwerem drgająca od odrzutów raz za razem. Kilkadziesiąt sekund ciągnących się jak wieczność, przerastających okrucieństwem i podstępną podłością wszystko, co kiedykolwiek mogła sobie wyobrazić. Stała oparta o stół z zamkniętymi oczami. Czuła w sobie te strzały, widziała je bezustannie i kuliła ramiona jakby były wymierzone w nią. Spalił go. „Gilbert, Gilbert"... Ogarnął ją ból i ciemność poza którą dostrzegała obłąkanie. Zsuwając się w nią czepiała się z rozpaczą przebłysków myśli i jak mocno wrośniętego w ścianę przepaści drzewa, uchwyciła się zemsty. W półmroku skoczyła do telefonu starając się przypomnieć sobie numer Jima. Schowała twarz w dłoniach drżąc cała i utrzymując się na granicy przytomności ostatnim wysiłkiem. Poczuła na policzku chłód kuleczek różańca i zaczęła odmawiać go szybko, bezmyślnie, chwytając się teraz własnego szeptu, gorączkowo upychając próżnię masą ciągle takich samych słów. Dlaczego, dlaczego? Na szepcie kładły się obrazy, wspomnienia. Przyłożyła palec do tarczy telefonu. Jego słowa wplatały się w słowa modlitwy, słyszała jego głos gdy pierwszy raz zaczął jej mówić o sobie. Łzy wolno zsuwały się spod powiek, spokojne i ciężkie. Cofnęła rękę ściskając w palcach różaniec coraz mocniej, coraz gwałtowniej. Ponad wszystkim rozrastało się w niej powoli i zakrywało sobą wszystko poczucie winy, jej własnej i wyłącznej winy. Zaczęła się w nie wpatrywać olśniona i prostować pod ciężarem z niezrozumiałą dla niej samej siłą, posuwać naprzód niepewnie, po omacku. Szept przemienił się nagle w głośne, zrozumiałe słowa.

Otworzyła okiennice, zwinęła ekran. Wiedziała, że musi odejść jak najprędzej, biorąc cały ciężar na swoje i tylko na swoje ramiona i stać się pod nim kimś innym. Było jej wszystko jedno gdzie i w jakich warunkach. Przyjmowała wyzwanie.

Andrzej BOBKOWSKI

Wiersze

BUNT WIERSZEM

Urodziłem się tam.
Nie wybierałem miejsca.
Chętnie byłbym się urodził po prostu w trawie.
Trawy rosną wszędzie.
Nie chciałyby mnie tylko pustynie.
Lub mogłem się przecież urodzić
W kłębuszku wiatru,
Gdy oddychają powietrza.
Ale urodziłem się tam.
Przykuli mię gdy jeszcze byłem dzieckiem.
A później z łańcuszkami puścili w świat.
Jestem tutaj. Urodziłem się tam.
Gdybym choć się urodził na morzu!
Żelazo namagnesowane
Co wciąż mię na biegun kierujesz,
Ciężkie jesteś; bez ciebie mi tak lekko,
Że tracę wagę siebie.
Więc noszę te łańcuszki
I potrząsam nimi jak lew grzywą.
A ludzie stamtąd krzyczą:
Wróć!
Wołają: cip, cip, cip.
Proso z kąkolem na wiatr.
Pies do budy.
Ja jestem poeta (trzeba się nazwać).
Język moim łańcuchem.
Słowa obrożą moją.
Urodziłem się tam.
(Chętnie byłbym się urodził po prostu w trawie).

B. CZAYKOWSKI

KLUCZYKI

Oto jest dziwny świat.
Gdzie ja zgubiłem kluczyki?
Wiatr w okiennicę bije.
Oto jest dziwny wiatr
Otwierający szpary w mroku
Dla swoich niewidocznych chłodnych oczu.
A ja?
Z której strony drzwi stoję ja?
W pokój patrzę czy na dwór przez okno?
Oto jest dziwny deszcz,
W którym topole i fotele mokną.
A ja?
W czyim salonie jestem?
Malarz jakiś używał wodnych farb na ścianach.
Gwiazdozbiorem kopuła spięta.
Orion w dłoni krzyż południa trzyma.
A ja?
Po której stronie gwiazd ja jestem?
Niebo mam pod nogami, czy nad oczyma?
Dziwne niebo. Dziwolężne.
Gdzie ja podziałem kluczyki?
Nić wije się jak w bajce.
Lecz wątek kłębkiem w noc się potoczył,
I spadł cicho na łąkę w trawy bujne.
Ale trawy nie moje.
Nie depcz traw — mówi księżyc.
On jeden mówi: zimno, blado.
Mówi nie.

Brałbym, brałbym w usta rosę chyląc się.

Nie bierz w usta rosy — nie widzisz,
Że ja ją zapalam: rozpalam w szklanych kręglach rosy
Ogień: pozwalam grzać się mikrobom.
Mój jest ogień w wodzie — mówi sierp
Księżyca koszący światłem łąkę.
Moja jest trawa — mówi koń
I cwałuje ku księżycowi przez trawy.
Gdzie ja jestem patrzący na walkę
Księżyca z koniem? Grzywę konia
Chwyta srebrnymi zębami księżyc.
Koń staje dęba w niebo, rżąc.
I gwiazdy biegną truchcikiem patrzeć,
Mrużą oczy z wrażenia.
Gdzie ja zgubiłem kluczyki?
Gdzie ja podziałem ścieżkę?
Z twoich oczu zielonych

Zrobiłem ci kolczyki.
I teraz oczy nosisz w uszach.
Co nimi widzisz?
Nic mi nie mów. Twe usta
Ukryłem w morzu szmaragdów.
Rybak wyłowił korale.
Uciekł mi na wyspy dalekie.
Rozdzielają nas fale
Unosząc dziwny sen.
Gdzie ja podziałem łódkę?
Czy była papierowa?
Czy ją rozmoczył deszcz?
Ach, znalazłem kluczyki.
Ale żaden z nich do żadnych drzwi nie pasuje.

B. CZAYKOWSKI



KIEDY PADA ŚNIEG...

Kiedy pada śnieg,
wtedy latarnie
są jak choinki, a noc pada na nie
bardzo czarnymi płatkami — jak śnieg.

Kiedy pada śnieg,
jasna cisza
wiruje w lekkim tańcu oczekiwania
i ślubną suknię kładzie
białym spokojem zakochanej.

Kiedy śnieg pada,
skrzypią miękko sandały anioła,
który w nim szuka pióra ze swych skrzydeł.
Kiedy śnieg pada,
łagodnieją gzymsy,
a kamienie są jak białe puszyste króliki
chrupiące srebrne łopuchy.

Gdy księżyc idzie po śniegu,
na liściach leżą gwiazdy.

A noc jest jak poemat
pisany białym wierszem.

B. CZAYKOWSKI

WAKACJE NAD MORZEM

*Pociąg przekreślał w poprzek
dymiące niedopałki ulic
i cienie wieczornych domów.*

*Światła reklam
słupy telegraficzne
drzewa światła drzewa
ciemność.*

*Gdy wreszcie ostatnia zwrotnica
zgrzytnęła za nami,
otworzyliśmy drzwi
w ciszę wilgotnej nocy.*

*Nie pytani o bilety
poszliśmy wzdłuż nasypu
pobrzękując blaszanymi wiaderkami;
w bose pięty wrzynał nam się żwir.*

*I tak błądziliśmy po zboczach gór
trzymając się nawzajem
za rękawy rozdartych koszul.*

*Przed nami wschodziły i zachodziły
słońca i gwiazdy
(Jurek powiedział,
że napisze o tym list do gazety,
że zostanie bogaty i sławny).*

*Nagle słony wiatr orzeźwił zakurzone
myśli, suche stopy
wyczuły giętkość morskiego piasku,
a na gardle usiadł zimny skurcz.*

*Tam, w mglistym świetle księżyca
rozpryskiwały się czyste fale
obmywając zaśmiecony brzeg;*

*i słony ten wiatr
schwycił lepki papierek
po czekoladowych lodach
i przywiał go nam do stóp.*

Adam CZERNIAWSKI

PRZYPOWIEŚĆ O ARCHANIOŁACH

Ważne najważniejsze
aby koty miały co jeść.
Usta szminką malować
można zawsze i codziennie
a przepisy na eleganckie potrawy
można dostać w każdym kiosku.
Dlatego też początek
jest zawsze taki sam
a ty i ja jesteśmy sprawiedliwi.
Na drugą stronę jezdni
przejść trzeba
i tam nie szukać twarzy
które zostały za nami.
Piórkiem zakreślić ciało
i w ramki oprawić
a potem zanieść na wystawę
wyczekiwać pochwał
a może głodu.
Ani ty ani ja talentem
nie szastamy
po prostu za ladą stoimy
i miarka po miarce co dzień
wymierzamy
co się komu należy.

Archanioł mieszkał pod mostem
i co dzień skrzydeł próbował
a kiedy była burza
nastawiał radio
i została mu tylko jedna para skrzydeł
ale za to nosił kożuch.
Jedni krzyczeli że skrzydła ma liche
Żeby miejsca ustąpił pod mostem
a drudzy kiwali głowami.

Ale ty i ja jesteśmy sprawiedliwi.

Ewa DIETRICH



ZŁOTY KUBEK

Wyrzeźbiłem aniołki czarnym rylcem
by mi się u warg śmiały gdy piję,
wygładziłem brzeg czary palcem miękkim
by wargi mi wargi złote całowały
gdy piję

i winogron krzak zasadziłem pod murem
gdzie się słońce nad ścianą pochyla
by słodka ciemna toń kielicha była
rosa poranna latem przemieniona
w czerwony blask wina

i odstawiłem puchar ten na półkę
gdzie kurz na złocie osiada
jak much cichy tłum
i czarne posnęły aniołki
bo usta me — ławice soli
i z wina krew — na stosie się pali.

10. 9. 1955

Janusz A. IHNATOWICZ



SMUTEK WIEDZY

wasz świat

zna tajemnice atomu
ale nie zna tajemnic życia

wasz świat

ma stalowe ramiona
ale dusze z papier-maché

wasz świat

wrył się w ziemię dorodną
ale nie zna nieba nad głową

wasz świat

ma sprawiedliwość paragrafów
ale nie zna sensu Narodzin

dlatego odrzucam świat
w którym zabrakło miejsca na miłość
dlatego odrzucam świat
gdzie sprawiedliwość jest zbrodnią

wolę karmić moją bezradność
krzykiem wiatru w gałęziach pinii
wolę łowić srebrne ryby przyjaźni
na szczerą przynętę serca

taką jest prawda moja
o resztę Bóg mnie zapyta

Londyn, wrzesień 1955.

Zygmunt ŁAWRYNOWICZ



NA NOWY ROK 55

Na odemkniętej dłoni Gulliwera
egzotyczne tańce, sceny miłosne śmiałe
i tkliwe zarazem,
deklamacja trudnych poezji,
sztuczne
ognie sztuczne i festyn
w Hyde Parku.

Bawi się lud,
bawi się dwór
królestwa Lilliputu
na odemkniętej dłoni Gulliwera.

I zerka lud,
i zerka dwór
na uśmiechnięte Gulliwera wargi.
Ciekawi są
ile dobrych manier zyskał
Gulliwer ze złej bajki.

Z. Ł.



„Szare Strofy"

„GREEN LANTERN"

Green Lantern... Corner Brook... Nowa Funlandia...
wysyłamy tam kakao i czekoladę.
To jest... — widziałem na mapie —
w maleńkiej schowane zatoczce
i świeci we mgle Conradem
i obija się o brzegi zimną wodą
— jak ludzkie sprawy — o śliskie kamienie

czarne, obojętne i gładkie...
pachnie smołą i rozpyloną mgłą
jak wszystkie kąty świata,
i dzwoni godzinami okrętów
i zagubionych myśli.

Wysyłamy tam kakao i czekoladę.
Kakao z zielonych dżungli krzyczących kolorami papug...
Tam je będą pili
z tytoniem i morką
we mgle — „pod zieloną latarnią".

Pójdę do domu.
Popłynę przez neony i twarze
swobodą chłodu nocy...
i będziemy z żoną żeglować zielonym atlasem
w kręgu busoli lampy.
Zawijać do najmniejszych, schowanych,
— jak wstydliwe pamiątki uczuć —
portów w zatokach,
i szukać pereł, opalowych pereł...
pereł jutrzejszego poranka.

Andrzej MANTEUFFEL



WARIACJA PIERWSZA
(Z cyklu „Trzy wariacje z motywem „Miłość")

D o n i

trzy kroki ma uliczka
trzy kroki kamienne

chropawe oczy muru
zwężone przez zieleń pnączy

samotność pokrzyw pod murem
związanych spojrzeniem w bukiet

na ziemi histeria siana
na niebie chmury grząskie
i zapach Normandii

wszystko się plącze
wikła
wydłuża w tętno skroni

chórem pasikoników
smutkiem much lepkich kradzieżą

szumem morza
(czy morza?)
oddycha wąska uliczka

nikła radość
gryzie zazoto trawy
w zamyśleniu
południ
w wianku pokrzyw
odchodzi pod rękę z śmiesznie podrygującym
laskonogim pasikonikiem

Jerzy S. SITO



MADRYGAL DLA ZAKOCHANYCH

Doni

Twoje oczy zadziwiają mnie.

Tyle w nich Tataraku,
tyle Trzcin rozchwiałem
i zaciągnąłem Rzęsą,
że wezbrały.

Już są rzeką, a za chwilę będą Pacyfikiem.

Jeżeli założymy, że miłość może być falochronem,
to kocham cię i jestem słoneczny.
Ach!
Tak zaplątaliśmy Pejzaż, że już naprawdę nie wiem
gdzie się kończy spojrzenie

i mam niekłamaną ochotę wykąpać się w twoich oczach,

albo zarzucić sieć,

lub najlepiej zaśpiewać z zanurzoną głową,
choć wiem, że głos będzie się wydobywał bańkami
uśmiechniętymi tobą jak mydlane bomby,

i że żurawie, które jak mówię,
karmią na moich rękach swoje młode,
postarają się przekłuć je żarłocznością swoich dziobów
tuż, tuż pod powierzchnią

oczu twoich —

boć o nich piszę.

Jerzy S. SITO



„ O PIĄTEJ PO POŁUDNIU"

Niepokój zasiałaś swoimi rzęsami
głęboko w mojej duszy.

Na wieść-mozaikę z rubinów twoich ust
o nadziei padłej na skały
szalony zapragnąłem sięgnąć za palisadę.

O mącicielko krwi!
Spopielam się na każdy ruch kibici
oczy kłuje zapach twoich włosów i piersi
i każdy gest śle wodospad dreszczu po mięśniach.

Po coś mnie obnażonego wypędziła w buchający żar słońca
żeby gawiedź napasła się okrzykami
umazanymi w mej posoce.

Niech umizg trąbki rozpęta ostatni akt
skoro nie mam już kroczyć śladami pastuszych ligawek.

A ty
nie igraj ze mną dłużej
lecz spoza mantylli warg
obnaż szpadę
i w moim wstydzie
zaryj ją po rękojeść.

Florian ŚMIEJA

Przekłady

RUMBA

*Czarna dziewczyna
wytryska z piany
splątanych falbanek
falbanek splątanych,
we krwi czarnej dziewczyny
rum szumi,
szaleje
i pali.*

*To huragan, to cyklon,
pępek czarnej dziewczyny
to pępek jest huraganem,
a krągły brzuch to cyklon —
I biodra okryte szalem!
Ach, ten pępek dziewczyny
wychylił się z piany — o!
i patrzy jak oko, jak oko pijane
na Chłopca, co zwie się Changó.*

Emilian BALLAGAS (Kuba)

•

SPRZEDAWCZYNI RYB

*Jaka szczuplutka
ta dziewuszka
sprzedająca ryby...
Idzie brudna
i brzydki zapach mają
gałganki jej ciała,
chwieje się, chwieje,
upada i chwieje
jakby z głodu już upaść miała.*

*Jakaż musi być chorowita
o takiej bladej twarzy!*

Oczy ma takie smutne
i są tak niebieskie te oczy
jak ciemne czaple chyba.

Aj, dziewczynka, dziewczynka,
dziewczynka,

sprzedająca ryby...

Constantino SUASNAVAR (Honduras)



WIDOK W GÓRZE

Słońce jechało na koniu,
księżyc na leniwej oślicy.
Koń zjadał maki z pola,
popijała miętę oślica.
Gdzie tylko stąpnął koń
wyrastał polny kwiat
i żyzna rosa otulała trawę.

A pod nogami oślicy
chciały się uśpić wody,
bo senny cień księżyca
zsyłał pachnące łoże.
Sierść oślicy świeciła
świetlistą, przestrzenną rzeką,
kiedy pędził ją księżyc
roniła niebieskie mleko.

Złoty koniu, czekam cię tutaj,
jestem chory srebrny księżycu,
mam srebrną kroplę w ustach
i srebrny cień na licu.

Juvencio VALLE (Chile)

(Przełożyła Józefa RADZYMIŃSKA)

Kraj

Literatura pracy

Obecna odwilżowa sytuacja w literaturze krajowej wygląda mniej więcej tak : po fazie nieśmiałości i pierwszych burzach nastąpiło dreptanie w miejscu, zrozumiałe tam gdzie dyskusje rozpełzają się wskutek niedomówień. Krytyka, jakiej poddano dotychczasową doktrynę realizmu socjalistycznego, wytworzyła pewną próżnię. Partia nie jest zadowolona z literatów. Oskarża ich o ,,chaos ideologiczny'' i zachęca swoje organy do zajęcia się pisarzami, którzy powinni być ,,włączeni'' do pracy nad realizacją nowej pięciolatki. Niektóre utwory opublikowane w ostatnim okresie uznane zostały za zdecydowanie szkodliwe.

Zamknięcie literackiego środowiska budzi w kołach partyjnych niepokój. ,,Trzeba by dziś niemałej śmiałości — stwierdził w ,,Nowej Kulturze'' A. Ścibor-Rylski — by napisać książkę o człowieku przy pracy : Paryż naszej kultury, leżący w trójkącie kawiarń SPAT i F — Dziennikarze — Związek Literatów przyjąłby książkę z niesmakiem''.

Środowisko oddane swoim towarzyskim intrygom i obrzędom samo już w sobie byłoby niewyczerpanym terenem badań dla pisarza-socjologa, ta jednak tematyka brana z własnego kółka wymagałaby innych środków i innego oddechu. Trudno natomiast żyć wyjazdami zagranicę i pisaniem o Paryżu czy New Yorku według nowej metody, która zaleca mieszać pochwały i nagany tak, żeby te ostatnie wypadły bardziej prawdopodobnie. Koniecznością więc wydaje się zwrócić uwagę na życie milionów ludzi w kraju.

Środowisko ma na ogół dobre warunki egzystencji. Trudno właściwie zrozumieć dlaczego pisząc o ,,zdrajcach'' zarzuca im wygodnictwo i wspomina o swoich cierpieniach. Uciążliwości towarzyszące forsownej budowie ciężkiego przemysłu w słabym stopniu dotykają pisarzy. Przeraziliby się oni, gdyby wiedzieli ile trudu wymaga na Zachodzie wyrobienie piórem miesięcznych dochodów równych dochodom szewca czy kowala. Należy się więc domyślać, że podkreślając z dumą swoje cierpienia i swoją

łączność z narodem, uciekają się do symbolów. Zapewne chcą przez to wyrazić ciężar ,,siarkowej'' atmosfery, którą wytwarza ciągła wzajemna obserwacja kupy ludzi w ciasnym pokoju.

Ani względny dobrobyt ani fakt, że ten dobrobyt jest minimum znośnych warunków, podczas kiedy masy żyją poniżej minimum, nie skłania do kontaktów z ludźmi ciężkiej fizycznej pracy, raczej ogranicza kontakty do sfer nowej biurokracji. Dołącza się tu sama codzienna rutyna, która ostatecznie decyduje o obyczajach zawodu: krąży się pomiędzy pewną liczbą punktów jak dom wydawniczy, redakcja, kawiarnia, księgarnie.

Partia chce, żeby literatura pokazywała ,,człowieka pracy''. Jednym z głównych zjawisk odwilży był bunt przeciwko ,,produkcyjniakom'' to jest powieściom o wykonywaniu planu przez fabryki. Jakie z tego starcia życzeń jest wyjście?



Zważywszy, że wszystkie niemal otaczające nas przedmioty są wyrazem ludzkiego wysiłku, brak książek o pracy — wyjątki w jakimkolwiek języku można policzyć na palcach — jest zdumiewający. Istnieją po temu liczne przyczyny. Pisarze na ogół nie rekrutują się spośród pracowników fizycznych a nawet najczęściej dzieli ich od tego rodzaju zajęć przynajmniej jedno pokolenie. Sztuka jest objawem pewnego wyrafinowania i schemat patrycjańskiej rodziny, wydającej u schyłku swojej świetności pomyleńców — schemat który znajdujemy u Tomasza Manna — ma pewnie zasięg szerszy niż mieszczańskie Niemcy. W każdym razie pisarze są niejako już przygotowani przez niepokój społeczny ich rodziców. Nie widać, żeby zaszły w Polsce w tej dziedzinie większe zmiany. Wszystkie niemal nazwiska które coś znaczą można umieścić na tle mniej czy bardziej ,,inteligentnych'' rodzin, a nawet rodzin, które lubiły zapach farby drukarskiej. Wielki organizator literatury zaraz po wojnie, Jerzy Borejsza, pochodził z redaktorów. W miarę stabilizacji ustroju powstaje coś jak dziedziczna hierarchia. W szkołach warszawskich uczniowie lubią posługiwać się argumentem, że ich tata jest ministrem, pisarzem czy wybitnym działaczem partyjnym. I spośród nich przede wszystkim wyjdą przyszli architekci, uczeni, filmowcy, literaci. Tak zwany awans społeczny wynosi synów robotniczych na różne stanowiska. Są to jednak głównie stanowiska w aparacie administracji, bo samo wychowanie państwowe z jego formułkami nie przezwycięży surowizny pierwszego pokolenia zyskującego dostęp do kultury.

Niektóre zawody zostały utrwalone w literaturze światowej. Marynarzami byli Melville, Conrad, Teodor Plievier i pisali o swoim fachu. Dość obszerna jest też literatura o rzemiośle zniszczenia czyli o wojnie. Bardziej codzienne zajęcia miały mniej szczęścia. W rolniczym kraju jak Polska nie ma ani jednej książki o pracy chłopa — nie o weselach, chrzcinach, zabawach

i kłótniach o miedzę, ale o samym procesie walki i równocześnie współpracy z naturą. Zajmowali się tym częściowo Skandynawowie. Stany Zjednoczone wydały w pierwszej ćwierci naszego stulecia szereg powieści o warunkach pracy (Upton Sinclair czy przedstawiciel jedynej grupy emigrantów, jaka tworzyła w Stanach literaturę w swoim języku — Szwed Rolväag), skażonych jednak przez naturalizm. Polowanie i rybołóstwo tutaj wyłączymy, jako nieco romantyczne — pociągały one wielu autorów.

Mówmy o pracy, której główną cechą jest monotonia wysiłku. Ma ona to do siebie, że po jej ukończeniu zapomina się o tym czym się było, dążąc przez cały dzień do drobnych celów: jeszcze tyle, jeszcze to, jeżeli dojdę do takiej ilości wyprodukowanych sztuk, pozwolę sobie na sekundę odetchnąć, jeszcze godzina, jeszcze pół do fajrantu. Pomiędzy wolą odtworzenia w pamięci dnia pracy i samą jej naturą zachodzi sprzeczność. Jeżeli jakiś pisarz był czy jest robotnikiem, odsuwa raczej od siebie wspomnienie tych chwil, które stanowią lukę w pamięci, utrwalają się tylko w zarobku albo w przewadze nad współzawodnikami.

Monotonna praca jest prawdziwym przekleństwem Adama. Nie znały jej prymitywne społeczeństwa. Karaibowie, zapędzeni do robót na plantacjach przez Hiszpanów, popełniali masowo samobójstwa. Na miejsce plantacji i pańszczyźnianych dworów przyszły potem fabryki, spychając znaczny procent ludności do rzędu niewolników. Prawdopodobnie zmierzamy do całkowitego niemal usunięcia pracy mechanicznej o czym świadczy rozpoczynająca się automatyzacja fabryk kontrolowanych przez mózgi elektroniczne. Nie nastąpi to jednak prędko. Tymczasem, nie ma co ukrywać, jest zasadą, że kto może ucieka od pracy fizycznej. W Polsce kto żyw próbuje wcisnąć się w szeregi biurokracji i być tym co liczy, nadzoruje, wypełnia formularze, ale nie tym co męczy się nad maszyną. Awans chłopów zmieniających się w miejski proletariat w dużym stopniu polega na tym, że w mieście jest nadzieja na wyjście z fizycznej kategorii. Ustrój w którym stać się nie-fizycznym pracownikiem można tylko przez polityczną ortodoksję i tylko dzięki Partii ma już przez to mocne podstawy.

Niezależnie od rozmnożenia się funkcji kontroli i policji w stopniu, jakiego nie znał żaden z dotychczasowych ustrojów, plany są wykonywane przez miliony czarnych rąk. Partia, wzywając literatów do opiewania tych mas, powołuje się na argument, że literaci powinni być wdzięczni tym, co ich utrzymują. Pragnie ona dostarczyć masom pewnej kompensaty za niską stopę życiową i za najmniej widoczną rolę w dziele budowy przemysłu. Doświadczenie jednak wykazuje, że literatura, której tematem miała być praca, zmienia się w literaturę o organizacji pracy. Bohaterem staje się nie robotnik, a inżynier, technik, sekretarz ZMP czy sekretarz komórki partyjnej, czyli kadra managerów. Przyczynia się do tego i nieznajomość sprawy

wskutek nadrzędnego społecznie miejsca pisarzy i nieuchwytność samego aktu pracy („ależ to byłoby piekielnie nudne!"). Decydująca jest jednak przyszłościowa wizja według której traci wagę to co jest, a ważne jest tylko to, co będzie. Sam los robotnika schodzi na drugi plan — nie dla niego, dla tych co liczą w dziesiątkach, jeżeli nie w setkach, lat — stąd autora interesuje nie sama praca a jej wydajność.

Pedagogiczna literatura gloryfikująca pewne *zachowanie się*, a więc poza pasją zrozumienia, analizy, współczucia, jest dotknięta fałszem. „Produkcyjniaki", zwykle na poziomie gorszych czy lepszych książek dla młodzieży, miały tę wadę, że ludzie ich nie chcieli czytać. Niemal wszystko co powstało w ciągu ubiegłych dziesięciu lat o zakładach przemysłowych można zaliczyć do podręczników dla niższych kół administracji i te może znajdowały tam wzory obchodzenia się z podwładnymi, ale życie przedstawiało znacznie więcej komplikacji niż pozwalał na to „lakier".

A przecie nie ma chyba rzeczy bardziej fascynującej dla pisarza niż przeniknięcie w sferę dotychczas nietkniętą, wymykającą się pisarskim technikom. Kto chciałby dać prawdziwy obraz fabryki, musiałby jednak spojrzeć na nią od zupełnej innej strony: zastanowić się nad *wewnętrznym stanem* ludzi w ramach codziennych ośmiu godzin. Musiałby przeskoczyć dwa progi. Pierwszy to próg obiegowego języka. Ma on mało wspólnego z rzeczywistymi uczuciami, służy tak jak szczudło kalece, i to we wszystkich społeczeństwach. Drugi próg to próg świadomości. Szczęście i nieszczęście jakie daje praca nie są nigdy w pełni uświadomione. Ten mechanizm polega na usuwaniu pod powierzchnię urazów i poniżeń tak, że ból daje o sobie znać, ale nie umie się go zlokalizować. Dopiero po rozbiciu ośmiu godzin na minuty i zbadaniu w każdej minucie podwójnego stosunku : człowieka do czynności jaką wykonuje i człowieka do innych ludzi (majster, koledzy pracujący obok) można by było szukać odpowiedzi na pytanie. Metoda mikroskopowa, ale co oglądane gołymi oczami przedstawia się prosto, nie jest proste (ani nudne) pod mikroskopem. Metoda niezbyt łatwa, bo pisarz musiałby przynajmniej na sześć miesięcy stanąć za tokarką, żyć z tego co zarobi rękami. W przeciwnym razie nie odczytałby spojrzeń i drobnych odruchów albo odczytałby błędnie.

Kilka miesięcy temu zwiedzałem pewną fabrykę z dziennikarzem jednego z zachodnio-europejskich krajów. Oglądał on niedawno wiele fabryk w Polsce, Czechosłowacji i na Węgrzech. Zapytałem go gdzie jego zdaniem pracować lżej — tu czy tam. Po zastanowieniu odpowiedział, że chyba tam i wymienił dwa powody : 1) więcej bałaganu ; 2) często przerywa się dopływ prądu. Z perspektywy wydajności to są wady. Ale literat, który chciałby opisać zakład przemysłowy nie powinien być dyrektorem ani Mincem. W słowie „bałagan" kryje się wiele znaczeń — od pomyślnych dla robotnika luzów do dzikiej walki wszyst-

kich ze wszystkimi o lżejszą robotę, z natychmiastowym podziałem na ,,tych z plecami'' i ,,tych bez pleców''. Powstaje tu mnóstwo pytań. W jakim stopniu dano robotnikowi świadomość sensu tego co wykonuje, nie w hasłach, ale w zastosowaniu do konkretnej śrubki? Czy robotnik odczuwa dyscyplinę pracy jako ucisk czy jako racjonalną konieczność? Jakie formy przybiera faworytyzm (w dawaniu roboty i obliczaniu norm)? Jak wpływa na współżycie załogi wyścig pracy (ci co nadążają i ci co nie nadążają, zawiści, nienawiści, wzajemna pomoc i jej motywy)? Jak gra element polityczny i jakie środki terroru zapewnia kolegom wobec kolegów (w fabryce jest teraz kilka idących na krzyż hierarchii i wszystkie są polityczne)?

Pisarz, który by podjął się takiego zadania musiałby być i socjologiem pracy i artystą. Odrzuciłby heroizm, odrzuciłby podział na białe, czarne i wahające się charaktery. Hasła, mające podniecać do wykonania planu, traktowałby zgodnie ze swoim celem, to jest zastanawiałby się, czy czynią one dzień pracy łatwiejszym przez świadomość społecznej dumy czy przeciwnie, a więc ręce i umysł człowieka przy maszynie byłyby dla niego punktem wyjścia, troską — szczęście tych co budują, nie budowla.

Wątpliwe jest, czy tego oczekuje się od literatów. Przeszkody w zrealizowaniu takiego dzieła są duże, jest to ,,brud życia'' a precedensów brak. W Rosji, o ile się nie mylę, bohaterem powieści jest zwykle inżynier, agronom, przewodniczący kołchozu. Nie ma nawet instrumentów analizy jakie byłyby potrzebne.

Więcej przemawia za tym, że podobne przedsięwzięcie udałoby się ,,Kulturze'' gdyby zwróciła się do swoich czytelników, których znaczny procent zarabia fizyczną pracą w Anglii, Kanadzie, Stanach, Szwecji i Francji i w tuzinie innych krajów. Rzucam tutaj myśl.

Jeżeli nie praca ,,od dna'', to co? Pozostaje łatwiejsza do obserwacji, bardziej poddająca się modelacji według idej działalność kadr, co ma tę zaletę, że przebywa się bądź co bądź w swoim świecie. Pozostaje też robotnik poza samym aktem pracy, oglądany z zewnątrz, nawet gdyby powieść miała za tło hale czy warsztat (*). Niewykluczone, że nad literaturą pracy ciąży jakieś fatum, jak kiedyś, kiedy pasterze w ,,Bukolikach'' byli czyści i odzywali się wytworną łaciną.

Czesław MIŁOSZ

(*) Na pewno da się przytoczyć szereg takich książek, tak samo jak w przeszłości można powołać się na tradycję Emila Zoli. Mnie chodzi jednak o co innego. Po polsku wgląd w to dają niektóre strony ,,Pamiętników emigrantów'' wydanych przed wojną (dwa tomy: Francja i Ameryka Południowa) choć jest to jedynie surowy materiał.

Sposobności i okazje

Artykuł dra Jordana o sytuacji filozofii i filozofów w Polsce (Filozofia wyroczni i dekretu — „Kultura'' Nr 12/98), przynosi bardzo ważny materiał informacyjny, wnikliwie naświetlający skomplikowany splot rzeczywistości. Można sądzić, że autor nie miał zamiaru przedstawić nam zgromadzonych przez siebie danych tylko po to abyśmy przyjęli je do wiadomości jako po prostu jeszcze jeden przyczynek do uzasadniania naszych opinii politycznych, ale jako podstawę do rozważań i dyskusji, które mogłyby prowadzić do konkretnych wniosków, decyzji i działań. To przekonanie upoważnia do podjęcia tematu i dodania nowych wątków rozważań.

Z artykułu wspomnianego wynika, że nauka filozofii w Polsce znajduje się pod ciężkim obstrzałem materializmu dialektycznego, stanowiącego oficjalną doktrynę filozoficzną reżymu. Uczeni nasi, reprezentujący odmienne kierunki myśli filozoficznej, choć nie poddani bezpośrednim gwałtom osobistym, mają działalność naukową zahamowaną bardzo skutecznie, a działalność pedagogiczną w zakresie filozoficznym całkowicie uniemożliwioną. Jedyny wyjątek stanowi logika formalna, która jest tolerowana, ale i jej pozycja nie wydaje się pewna. Informacje dra Jordana można by w tym punkcie rozszerzyć, dodając, że jedyne czasopismo naukowe poświęcone logice formalnej, „Studia Logica'', ukazuje się tylko raz na rok i ma bardzo ograniczoną pojemność i poczytność. Tegoroczny (trzeci) tom tego wydawnictwa zawiera tylko sześć rozpraw i przyczynków. Jeżeli miałby to być istotnie roczny dorobek pracowników naukowych z siedmiu uniwersytetów, to nie wygląda on imponująco. Poza tym, mimo ze „Studia Logica'' są niewątpliwie publikowane w dużym stopniu na eksport zagranicę, na co wskazuje wyraźnie fakt, że z sześciu rozpraw dwie są drukowane w języku angielskim, a dwie inne z pełnym przekładem (nie streszczeniem, jak pozostałe) rosyjskim — całkowity nakład pisma wynosi zaledwie 745 egzemplarzy (poza obowiązkowymi egzemplarzami urzędowymi. W kraju, gdzie normalne nakłady wydawnictw naukowych i filozoficznych są wielotysięczne (*) jest to wyraźną wskazówką, że zainteresowanie logiką formalną jest nikłe, a oficjalne czynniki naukowe (np. uniwersyteckie) nie dbają o jego ożywienie.

(*) Wydawca „Studia Logica", Państwowe Wydawnictwo Naukowe (Warszawa) ogłosiło np. tłumaczenie zbiorowej pracy Instytutu Filozofii Akademii Nauk Z.S.R.R. pt. „Zagadnienia Materializmu Dialektycznego" w nakładzie 5.000 egzemplarzy.

Próbowałem zreferować na łamach „Kultury" rozwój nowszych poglądów na decydującą rolę filozofii w postępie nauk ścisłych i humanistycznych oraz, ujawniający się w związku z tym, głęboki i żywy prąd zainteresowania zagadnieniami filozoficznymi w całym wolnym świecie (Współczesny klimat intelektualny — „Kultura" Nr 4/90). Na tym tle sytuacja filozofii w Kraju nabiera bardziej jaskrawego wyrazu i bardziej naglącego znaczenia. Dotyczy ona bowiem nie jednej wyłącznie dyscypliny, ale całego obszaru wiedzy naukowej, ba całego zakresu działalności intelektualnej. Gdyby to była sprawa o znaczeniu tylko naukowym, to poza akcją informowania ogółu społeczeństwa o sytuacji należałoby zagadnienie akcji zaradczej pozostawić uczonym. W tym jednak wypadku sprawa przedstawia się inaczej — można i należy od całego społeczeństwa spodziewać się rozważań, decyzji i akcji.

Co jednak zwykły, inteligentny laik, zaabsorbowany konkretną pracą zawodową (lub tylko zarobkową) i kłopotami z nią związanymi, dla którego filozofia jest, przeważnie, przedmiotem nużącym (jeżeli nie po prostu nudnym przelewaniem z pustego w próżne) może w tej sprawie uczynić? Jaka jest racja żądać odeń wysiłku intelektualnego zajęcia się filozofią — czy jest mu to potrzebne do szczęścia lub zbawienia?

Nie jest to bynajmniej sztuczne, teoretycznie wykoncypowane sformułowanie pytania. Nie można go też pominąć wzruszeniem ramion, bo dotyka ono najbardziej istotnego i podstawowego zagadnienia każdego człowieka. Oczywista, filozofia nie jest niezbędna ani do szczęścia ani do zbawienia. Na pewno było (i jest) wielu szczęśliwych i wielu godnych zbawienia wśród tych, co nawet nie podejrzewali istnienia filozofii. Ale dróg wiodących do szczęścia i zbawienia jest zalecanych i propagowanych wiele a rozbieżnych. Jeżeli ktoś ma dokonać wyboru drogi (a wieluż jest takich przed którymi nigdy ten problemat nie stawał?) to istnieje tylko jeden sposób: wysiłek intelektu, który aby był zadowalający musi się wesprzeć na filozofii. Dlatego też sprawa filozofii obchodzi nie tylko uczonych, ale każdego myślącego człowieka. Czy poziom, kierunek i sprawność naszej filozofii jest najlepszy z możliwych — to zagadnienie bardziej istotne i ważne dla każdego niż, na przykład, sprawa poziomu, kierunku i sprawności naszej wiedzy medycznej. Kiedy jednak sprawa medycyny musi być pozostawiona wyłącznie uczonym i fachowcom, a laicy mogą przyczyniać się do postępu w tej dziedzinie tylko pośrednio, to w zakresie filozofii każdy wysiłek indywidualny może być cenny, odkrywczy, nawet decydujący. Filozofia jest jedną z nielicznych dziedzin, w których owocna, na najwyższym nawet poziomie naukowym działalność nie jest uzależniona od dostępu do bogatych laboratoriów i kosztownych instrumentów naukowych, możliwego tylko dla osób zatrudnionych na stanowiskach akademickich. Działalność naukowa i twórcza w zakresie filozofii jest dostępna dla każdego, kto

zdecydowany jest poświęcić tym sprawom rzetelny wysiłek umysłowy. Jak indywidualne wysiłki w tym zakresie mogłyby być zorganizowane i usprawnione — to jest zagadnienie, które nie powinno by przedstawiać nierozwiązalnych trudności dla tak licznej, jak polska, grupy emigracyjnej.

Sytuacja filozofii w Polsce przedstawia się, w istocie, nawet jeszcze smutniej, niżby to z artykułu dra Jordana wynikało, gdyż powszechne zainteresowania filozoficzne są celowo hamowane i wykoszlawione. Mimo to nie jest to sytuacja zupełnie beznadziejna, przede wszystkim dlatego, że istnieją możliwości wywierania na nią wpływu przez Polskę emigracyjną.

Przedstawiciele innych kierunków niż oficjalna doktryna filozoficzna nie tylko nie mają w Kraju terenu do precyzowania i rozwijania swych poglądów, do czego niezbędna jest ,,szkoła'', to znaczy zespół rozważający i dyskusyjnie pogłębiający sformułowania i zastosowania poglądów. Co więcej, tych kierunków jest i ubóstwo wielkie i wszystkie one należą do jednego pnia: monizmu materialistycznego. Dlaczego tak jest — dużo by na ten temat można mówić. Jedną z przyczyn na pewno jest, że nigdy nie uprawialiśmy w dostatecznym stopniu nauk ścisłych, na co już dawno prof. Bujak kassandrowym głosem zwracał uwagę. Chociaż w rozlicznych poglądach filozoficznych należących do monizmu materialistycznego, poszczególne grupy zagadnień, czy postaw mogą być rozwinięte i opracowane subtelniej, precyzyjnej czy głębiej niż w materialiźmie dialektycznym, to nie ulega wątpliwości iż można z bardzo mocnym uzasadnieniem dowodzić, że materializm dialektyczny jest jedyną doktrynalną postacią monizmu rozwiniętą uniwersalnie, to znaczy obejmującą w jednolitym, konsekwentnym systemie całkowity zakres wiedzy ludzkiej. W istocie, wszystkie dziedziny nauk ścisłych, empirycznych i stosowanych, opierają się wyłącznie na filozofii monistycznej, o której można wykazać, że w gruncie rzeczy jest materializmem dialektycznym. Mowa jest tu, naturalnie, nie tylko o nauce w krajach ,,demokracji ludowych'', gdzie ta podstawa filozoficzna nauki jest świadomie i celowo uwypuklana, ale ogólnie o nowoczesnej nauce na całym świecie.

Naturalnie, tak szeroko stosowany monizm materialistyczny ujawnia pewne grupy trudności, paradoksów itd., które mogą być atakowane w różny sposób. Z tych właśnie usiłowań wyeliminowania paradoksów, ujawniających się szczególnie w szczytowych punktach nauk empirycznych, wywodzą się wszystkie prawie nowoczesne ,,kierunki'' filozoficzne, zarówno w zakresie filozofii spekulatywnej (której inna a tradycyjna nazwa ,,metafizyka'' jest często, głównie przez marksistów używana w szczególnym i uwłaczającym sensie), jak poglądów epistemologicznych. Wszystkie te próby, jakkolwiek rozwiązują one pewne szczegółowe punkty trudności teoretycznych monizmu materialistycznego, nie dają się rozwinąć w pełniejszy system filozoficzny bez prowadzenia do szerszych jeszcze trudności i sprzecz-

ności, niż te, które wynikają z materializmu dialektycznego typu „ortodoksyjnego''. Stąd też te próby monistycznych, częściowych systemów są atakowane i odrzucane przez „dialektyków" ze szczególną gwałtownością jako niedopuszczalne próby kontaminacji pełnego i konsekwentnego systemu, dającego wciąż jeszcze, z ich punktu widzenia, zadowalające wyniki na terenie naukowym, a więc ipso facto, zapewne również na terenach innych, jak etyczny, społeczny, gospodarczy itd.

Nie ulega jednak wątpliwości, że adekwatność systemu materializmu dialektycznego nie jest, nawet dla jego zwolenników, absolutna. Można wskazać przypadki, w których pewne osiągnięcia innych „szkół'' monistycznych są inkorporowane do materializmu dialektycznego, choć lękliwie. Do takich należy właśnie, na przykład, logika formalna, która może być traktowana jako poddział semantycyzmu, wywodzącego się ze szkoły logicznego pozytywizmu. Naturalnie, marksizm, adoptując logikę formalną, traktuje ją jako poddział dialektyki (rozumianej tu jako *metoda* materializmu dialektycznego), ale i to wymagało trudnego procesu odwrócenia („reinterpretacji'') opinii Lenina (**). Podobna tendencja zdaje się obecnie powstawać w stosunku do pewnych zakresów „operacjonizmu''. (Tak przynajmniej można by wnosić z rozprawy Przełęckiego w „Studia Logica'', 1955). Inne przykłady tego typu dotyczą drobniejszych i bardziej technicznych szczegółów, aby je można rozwijać tutaj. Wszystko to wskazuje że nawet ortodoksyjny kierunek materializmu dialektycznego nie jest całkowicie opancerzonym systemem, dopuszczającym tylko egzegezę i interpretację klasyków marksizmu, jakby to można wnosić z artykułu dra Jordana. Pewne możliwości reinterpretacji, a więc ewolucji systemu istnieją i należy się spodziewać, że będą one wzrastać z każdym nowym pokoleniem filozofów, wchodzących w życie. Ewolucja ta może być zapewne wydatnie przyspieszona i w tym rola emigracji mogłaby być czynnikiem decydującym. Czynnikiem zbawiennym dla rozwoju polskiej myśli filozoficznej.

Jest to, oczywista, sytuacja otwierająca możliwości tylko przed długoplanową polityką kulturalną, ale to nie znaczy, że należałoby te możliwości zlekceważyć, nawet gdyby ktoś potrafił wykazać że inne, szybsze metody działania przedstawiają realne perspektywy powodzenia. Wpływów materializmu dialektycznego nie da się przeciąć akcją polityczną, choćby triumfalną — trzeba je przezwyciężać intelektualnie.

Materializm dialektyczny (jak w ogóle monizm, materialistyczny, „realistyczny'', czy idealistyczny) w zastosowaniach do dziedziny nauki prowadzi do wielu paradoksów i „ślepych zaułków'', z których rzekomym (i tylko tymczasowym) wyjściem jest konstruowanie „ad hoc'' hipotez i koncepcji teoretycznych,

(**) Zagadnienie to było tematem obszernej, przeszło rocznej dyskusji filozofów sowieckich na łamach czasopisma „Woprosy Filosofii'', 1950-51.

a więc sytuacja zasadniczo sprzeczna z podstawowymi założeniami. Gruntowna filozoficzna analiza tych właśnie punktów, przeprowadzona z *punktu widzenia* materializmu dialektycznego przez myślicieli emigracyjnych nie mogłaby być dyskusyjnie nie podjęta przez filozofów krajowych. Dyskusja zaś taka musiałaby się przyczynić do ożywienia i pogłębienia myśli filozoficznej w Polsce, a zatem stać się czynnikiem akceleracji jej ewolucji.

Rozpoczynania analiz takich właśnie „gorących" punktów systemu filozoficznego jest w Kraju oczywiście wysoce utrudnione — nie tylko dlatego, że nie każda inicjatywa filozoficzna byłaby tam „dobrze widziana", ale że bieżące zainteresowania i zadania filozofów są tam wyznaczane potrzebami reżymu. Niektóre z tych potrzeb można stworzyć stąd.

Nie byłoby, rzecz jasna, ani konieczne ani właściwe ograniczanie się wyłącznie do prac na gruncie materializmu dialektycznego, choć to byłoby w istocie przeniesieniem akcji na teren przeciwnika, a więc przejściem od defensywy intelektualnej do ofensywy. Do zakresu działania powinnyby również należeć szersze próby rozwinięcia i zastosowań teoretycznych w zakresie nauk ścisłych innych systemów filozoficznych, niż monizm materialistyczny.

Czy i w jakim zakresie zadania takie mogłyby być podjęte w sposób zorganizowany — oto zagadnienie na które tylko szersza dyskusja mogłaby wskazać odpowiedź. Jeżeli jednak miałoby się okazać, że społeczeństwo emigracyjne nie zdolne jest to wyłonienia inicjatywy i działalności filozoficznej, to stałoby się jasne, że nie potrzebuje ono niczego więcej niż filozofii wyroczni i dekretu.

J. HORZELSKI

Spowiedź dziecięcia... Polski Ludowej

Gdyby w Kraju mógł istnieć i swobodnie pracować instytut socjologii, jedną z najciekawszych ankiet jaką mógłby przeprowadzić byłaby konfrontacja marzenia o Polsce Ludowej, takiej jaką sobie wyobrażała w 1945 młodzież powojenna (ta która w nią uwierzyła), z rzeczywistością roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego piątego.

Najbardziej by mię ciekawiły odpowiedzi trzech pisarzy, benjaminków reżymu, Kazimierza Brandysa, Bohdana Czeszki i Wiktora Woroszylskiego. Są to młodzi pisarze, których nazwiska nie kojarzą mi się nigdy z pojęciem oportunizmu. Chciałbym móc posłuchać opowieści o ICH dziesięcioleciu 45-55, chciałbym móc zestawić, jak w stereoskopie, dwie fotografie, które noszą w sobie — jedną, w imię której poszli z rządem i Partią, lat temu dziesięć i drugą, dzisiejszą, której ostry, wstrząśnięty zarys, dostrzegam aż tu, na Emigracji.

Ostatnie wypowiedzi Kazimierza Brandysa w prasie krajowej spełniają częściowo me pragnienie. Są to oczywiście szczerości *uformowane,* jest to spowiedź dziecięcia ludowej republiki klękającego u konfesjonału w blasku i trzasku magnezji. Ale jednak.

Styczniowy numer „Twórczości" przynosi „opowiadanie" Brandysa pt. *Obrona „Grenady".* Nie jest to zwykłe opowiadanie, lecz ideowy szkic dziesięciolecia, przyodziany tu i ówdzie fabułą.

Kilku młodych komunistów zakłada „rewolucyjny teatr", mający za zadanie walczyć ze zwolennikami „łagodnej rewolucji". Są idealistami chcącymi dać swój wkład w to co nadeszło, chcą — jak mówi jeden z nich — „kopać w brzuch drobnomieszczanina".

Na pierwszy ogień ma pójść „Łaźnia" Majakowskiego. Odbywają się płomienne próby, ale po wizycie-kontroli starszych rewolucjonistów z administracji, sztukę „zdjęto z prób". „Doktor Faul", uosobienie mądrości partyjnej w bezosobowej nieomal postaci, przyjmuje wzburzonych młodzieńców i mówi :

„...Czy macie całkowitą pewność, co na obecnym etapie sprzyja interesom mas ? My mamy całkowitą pewność. Klasa robotnicza nie zawsze uświadamia sobie własne interesy dostatecznie jasno — my je widzimy o każdej porze. Masom należy dziś podsuwać obrazy budowania, lud musi pokochać produkcję, dzieło własnych rąk. Wszystko, co temu nie pomaga, staje się nieużyteczne. Nieużyteczne jest naszym wrogiem".

„Z gabinetu Doktora", pisze dalej Brandys, „wyszli po godzinie : bladzi, milczący i przekonani". I zaraz dodaje : „Jeśli mówię ʻprzekonani', rozumiem przez to szczególne poczucie wewnętrznego osłabienia w zetknięciu z *wyższą racją".* (Podkr. autora, M.P.)

Nie mamy wątpliwości, narrator-Brandys jest po stronie młodych. Jest z nimi, kiedy po wyjściu od „Doktora", złamani, siedzą na ławce w Łazienkach. I takie snuje za nich myśli :

„Wymagał od nich ofiar, na to ich stać. Ale wymagał od nich najcięższej ofiary : muszą sami, własnymi rękoma, *zniszczyć swoje marzenia;* muszą sami rozebrać jeden gmach, a na jego miejscu wznieść drugi, i sami, własnymi rękoma, zaryglować w nim wyjścia". (podkr. moje, M.P.)

Cóż to za smutna i zawiedziona symbolika? Odczytajmy

uważnie ten ustęp, a zdamy sobie sprawę, że Brandys wyraża się tak, jakby pisał o bezsensownej pracy więźniów Berezy! Straciwszy marzenia, budują i burzą, co wybudowali, a wszystko na rozkaz. I na domiar, muszą ,,sami, własnymi rękoma, zaryglować... wyjścia''. To już chyba wpływ lektury Orwella, albo — o co łatwiej na miejscu — wpływ rzeczywistości.

Ale to jeszcze nie wszystko. Jeszcze mocniej brzmi oskarżenie Jacka Wojnara, jednego z trzech założycieli ,,Grenady'' :

,,Doprowadziliście do tego, że boję się myśleć. Skoro zaczynam myśleć, dochodzę do wniosku, że nie mogę myśleć prawidłowo, bo jestem synem adwokata''.

,,Był to czas twardej obróbki'' pisze Brandys.

,,Byli bezlitośni w stawianiu owych pytań. Dręczyli się nimi nawzajem. W większości pytania te nie chybiają celu... Mniej uczciwym dość łatwo udawało się wykręcać : kłamali; mniej odważni proszą o wyrozumiałość. Ale są też przeklęcie sumienni, których każdy zarzut przyprawia o mękę odkrywania w sobie występnych i niedozwolonych pragnień. Nie ma błędów, których przyczyny nie dałoby się wykryć w ludziach, ale też nie ma błędów, o które uczciwy człowiek nie byłby gotów się posądzić''.

Przecieram oczy. Zaraz, gdzie to dzieją się takie, i tak oczywiste dla autora rzeczy? I odpowiadam : w pierwszym dziesięcioleciu Polski Ludowej.

I w tym miejscu chcę zapytać Kazimierza Brandysa, a Ty? Dziś pałasz słusznym gniewem i smagasz ironią. Ale wtenczas, WTENCZAS? Oto jak mówią bohaterowie Brandysa o tamtym czasie : ,,Są prawdy... żeby ich dowieść trzeba ofiar. Wolałem o tym nie myśleć''. Gdzie indziej : ,,Siedziałem cicho, głosowałem z większością... Patrzyłem *jak* się to dzieje. Wtedy bym ci tego nie powiedział, wolałem milczeć'' i dalej : ,,Ja? Ja byłem inny, przynajmniej od pewnego momentu dręczył mnie niepokój, że idziemy w złą stronę; ale milczałem, ponieważ zamknięto mi usta...''

Oczywiście nie mamy prawa utożsamiać wypowiedzi bohaterów opowiadania z autorem. A jednak.

Sam Brandys nie milczał. Brandys mówił i pisał — i to dużo. Oto co pisał w roku 1954:

,,Partia jest najwyższym wyrazem świadomości i woli narodu, najlepiej i najjaśniej widzi kierunek jego rozwoju, najszerzej musi ogarniać niezmierzony zakres zjawisk i treści społecznych... Partia musi sygnalizować grożące niebezpieczeństwa, zarysowujące się skazy i skrzywienia, aby nie dać im wyrosnąć...''

Nie oskarżam o nic Brandysa. Nie wiem jakbym postąpił, gdybym był na jego miejscu, w czasie owej ,,twardej obróbki'', w czasie kiedy szpicel i lizus paśli się na strachu tych, których Brandys nazywa : ,,przeklęcie sumiennymi''; może bym postąpił

tak jak on, może bym płacił więzieniem jak Hołuj, a może byłoby mię wówczas stać na milczenie... Powtarzam, nie zarzucam utalentowanemu pisarzowi, że dopiero dziś zaczyna robić rachunek sumienia, w roku 1956-ym. Nie jest bynajmniej pierwszym...

Zarzucam mu, że, popadłszy w odwilżową depresję ideologiczną, zamiast wyciągnąć wnioski ze słusznie (i obficie!) wyliczonych przesłanek, zgrzyta zębami, obrzucając wyzwiskami tych, którzy nie wzięli udziału w terroryzowaniu Kraju. Według Brandysa ci, jak ich z ironią nazywa, ,,niesplamieni'', to banda bikiniarzy i kawiarnianych snobów, co noszą bródki i pasiaste skarpetki na *złość* ,,ludowej władzy''.

Oj, źle się bawi pisarz, kiedy, stając do pokazowej rozprawy w obronie rewolucji, umniejsza przeciwnika, szukając go na marginesie młodzieży, pośród niebieskich ptaków ludowej Polski.

Czyżby nasz myśliwy nie posiadał broni cięższego kalibru, że za najgroźniejszego zwierza uważa kaczki?

Czyż tylko kawiarniani ,,bezeci'' byli tymi, którzy milczeli? Brandys wie dobrze że milczeli *przede wszystkim* inni. Milczeli pisarze i plastycy średniego i starszego pokolenia. Milczeli, siedząc w płaszczach w nieopalanych pokojach. Nie pisali ,,produkcyjniaków'', więc mówiono o nich: ,,to pisarze *marginesowi...''* A jeśli zwracano się do nich to per ,,reakcjonista'', albo per ,,drobnomieszczanin''. Nie dla nich były nagrody. Nie dla nich ,,Sztandar Pracy'' pierwszej i drugiej klasy.

Ale Kraj widział ich, i my, tu na Emigracji, wiedzieliśmy o nich. I braterski szacunek otaczał i otacza ich imiona w naszej pamięci. To oni są i pozostaną ,,niesplamionymi'', wyspami godności pośród mętnych wód oportunizmu.

Był to czas, kiedy można było, albo *mówić za,* albo *milczeć przeciw*. Jak wiemy wszyscy, milczenie nie było płatne, wprost przeciwnie: kosztowało. Za to złoto ludowe hojną strugą płynęło w stronę tych co *mówili za,* w stronę, jak mówi Brandys, ,,kontrahentów milczącej umowy''. Nie milczącej, brzęczącej.

Zarzucam Brandysowi, że czując się współwinnym i przyznając się, że ,,ponosi odpowiedzialność za wyrządzone zło'', zastrzega sobie jeszcze wyłączność w osądzaniu tych wydarzeń. Coś tu nie pasuje. Winny, chce odegrać akt żalu, ale twierdzi, że niewinni są gorsi od niego. Nie, tak nie można. Nie można naraz nosić togi i pokutniczego wora.

Czytelnik emigracyjny ciekaw jest na pewno czym kończy się ,,Obrona Grenady''? Koniec jest typowy, aż schematyczny. Młodzi aktorzy przychodzą do ,,Doktora Faula'' z żądaniem rachunku. 1955 to nie 1950. Oto co im odpowiada: ,,Nie usprawiedliwiam błędów, tylko je wyjaśniam. Nie wybielam siebie... Czy ponoszę odpowiedzialność za wyrządzone zło? Tak jest, ponoszę odpowiedzialność. Nie sądźcie jednak, że wy jej nie ponosicie. To, co wam przekazałem, przekazywaliście innym''.

,,Podobnie jak przed pięciu laty'' — pisze Brandys — ,,umilkli''. A jeden z nich rzekł: ,,Nie mamy czasu — prawda

jest teraz *przed* nami". I jak gdyby nigdy nic zespół rozpoczyna próby zakazanej przed pięciu laty „Łaźni" Majakowskiego.

A Brandys? Brandys zapomniał o młodych. Chociaż nie, pamięta o nich. Oto co pisze: „Zespół *Grenady* złożył ofiarę rewolucji. Ilu z nich przetrwało? Dziesięciu, siedmiu, czy trzech?"

To nie przeraża Brandysa: „I jeśli z tych trzech ocali się jeden, znowu rozpocznie próby. Bo wiedzą, że po największych stratach zawsze zostaje rzecz większa od każdego z nich".

Okazuje się że Saturn jest dobrym ojcem, i że dobroć nie pozwoli mu nigdy zjeść wszystkich swoich dzieci. Zawsze któreś z nich przeżyje, aby świadczyć o micie ojcowskiej miłości.

M. PANKOWSKI

Wydawnictwa krajowe

KSIĄŻKI DLA DZIECI DO LAT 7 (WIERSZE I WIERSZOWANE POWIASTKI)

BRZECHWA (Jan). *Kaczka-dziwaczka,* ilustr. Henryk Tomaszewski, str. 46. (Czytelnik, 1953).

BRZECHWA (Jan). *Pan Doremi i jego siedem córek;* ilustr. J.M. Szancer. (Nasza Księgarnia, 1955, zł. 33).

BRONIEWSKA (Janina). *Historia gałgankowej Balbisi,* ilustr. K.M. Sopoćko, stron 70. (Czytelnik, 1955, zł. 2.40).

HERTZ (Benedykt). *Taś-Taś,* il. Józef Czerwiński, str. 30. (Nasza Księgarnia, 1954, zł. 8).

KONOPNICKA (Maria). *Co słonko widziało,* ilustr. Bogdan Zieleniec, str. 128. (Nasza Księgarnia, 1954, zł. 18).

KONOPNICKA (Maria). *Na jagody,* ilustr. Bogdan Zieleniec, str. 30. (Nasza Księgarnia, 1954, zł. 2,60).

KONOPNICKA (Maria). *O krasnoludkach i sierotce Marysi,* il. J.M. Szancer. (Nasza Księgarnia, 1954, zł. 20).

KONOPNICKA (Maria). *Szkolne przygody Pimpusia Sadełko,* il. Józef Czerwiński, str. 32. (Nasza Księgarnia, 1954, zł. 10).

KOWNACKA (M.). *Kwiatki Małgorzatki,* ilustr. Anna Seifertowa. str. 32. (Nasza Księgarnia, 1954, zł. 5,40).

KRZEMIENIECKA (Lucyna). *Słomkowy łańcuszek,* ilustr. Anna Kopczyńska, str. 50. (Czytelnik, 1954, zł. 8,50).

PORAZIŃSKA (Janina). *Smyku smyku na patyku,* ilustr. Ha-Ga, str. 62. (Nasza Księgarnia, 1953, zł. 14,50).

SZELBURG - ZAREMBINA (Ewa). *Wesołe Historie,* ilustr. Jerzy Srokowski, str. 46. (Nasza Księgarnia, 1955, zł. 8,40).

TUWIM (Julian). *Zosia-Samosia,* ilustr. Ha-Ga, str. 38. (Nasza Księgarnia, 1954, zł. 5).

TUWIM (Julian). *Słoń Trąbalski,* ilustr. Ignacy Witz, stron 38. (Nasza Księgarnia 1954, zł. 5,25)

TUWIM (Julian). *Lokomotywa,* il. J.M. Szancer. (Nasza Księgarnia, 1954, zł. 6).

TUWIM (Julian). *Cuda i dziwy,* ilustr. Ha-Ga, str. 24 (Nasza Księgarnia, 1954, zł. 5,25).

Materiały do refleksji

W polskich instytucjach w Londynie wiszą mapy Polski z 1939 roku. Nasi publicyści i pisarze jeszcze ciągle mówią o ,,dwóch kamieniach młyńskich'' (Rosja i Niemcy) — tak jakby w geopolitycznej dyspozycji Europy nic się nie zmieniło od czasów Wilsona.

Ale tak jest tylko na emigracji. W Kraju kolaboracja podjęta na olbrzymią skalę jest dowodem, że sytuację ocenia się inaczej. W okresie okupacji niemieckiej nie wydaliśmy Quislinga ponieważ większość Polaków wierzyła, że Niemcy zostaną pobite w stosunkowo krótkim czasie. Kolaborację typu masowego jaką obserwujemy dziś w Polsce można wytłumaczyć jedynie tym, że większość Polaków w Kraju ocenia, iż okupacja Europy wschodniej trwać będzie bardzo długo.

Równocześnie rozbudowuje się stopniowo orientację rosyjską jako nie tylko komunistyczną ale jedyną realną polską koncepcję polityczną. W propagowaniu tej koncepcji odgrywają zasadniczą rolę trzy elementy: 1. nienawiść do Niemców; 2. niewiara w Zachód; 3. teoria ,,ewolucjonizmu''.

Kilka słów wyjaśnienia wymaga punkt trzeci. Teorię ewolucjonizmu propagują kolaboranci wysokiego stopnia wtajemniczenia, postępowi katolicy i pewien procent intelektualistów. Ze zrozumiałych względów najmniej na ten temat mówią partyjni komuniści.

Ewolucjoniści wskazują na stałe stopniowe poszerzanie się sfery wolności w ZSSR. Twierdzą również, że o ile pierwsze pokolenie komunistów rosyjskich do dziś dnia hołduje poglądowi, że pewne minimum terroru jest nieodzownym warunkiem utrzymania spoistości Związku Sowieckiego — o tyle młode pokolenie urodzone i uformowane w państwie komunistycznym — uważa, że decydującym czynnikiem jest planowanie i organizacja produkcji. Młodzi technokraci sowieccy wypowiadają rzekomo pogląd, że w gruncie rzeczy jest całkowicie obojętne według jakich literackich recept pisze się powieści w Warszawie i w Bu-

dapeszcie, dopóki tak w Polsce jak i na Węgrzech planowanie i organizacja produkcji są właściwe. Młodzi technokraci rosyjscy są zdania, że jak planowanie ekonomiczne i organizacja produkcji (przemysł i rolnictwo) będą właściwe to w konsekwencji i wszystko inne będzie właściwe z literaturą włącznie.

Kolaboranci wysokiego stopnia wtajemniczenia sądzą, że w przyszłości, im system socjalistycznej gospodarki będzie doskonalszy, tym nacisk na ,,sektor'' kulturalny będzie mniejszy. Z chwilą gdy proces całkowitego ujednolicenia gospodarstw państw satelickich i włączenia ich w system wielko-sowiecki zostanie ukończony — wiele nacisków i ograniczeń w innych dziedzinach okaże się zbędnymi.

Jak się komuś zwiąże ręce, żandarma strzegącego pod drzwiami można odwołać. Ale właśnie ów żandarm żywi nastroje anty-rosyjskie. Wtajemniczeni kolaboranci wierzą, że pokolenie (polskie) wychowane w państwie o ustroju komunistycznym — gospodarki socjalistycznej i funkcjonalnej zależności od Sowietów nie będzie traktowało za okupację czy niewolę, tym bardziej, gdy żandarm rosyjski w swych różnorodnych wcieleniach zniknie ze sceny.

Niezależnie od ,,ewolucjonizmu'' działa również wymowa siły. Teoria o ,,kolosie na glinianych nogach'', którą nasi wodzowie i uczeni ,,sowietolodzy'' tak nas ośmieszyli w oczach Zachodu — w wydatnej mierze ułatwia rolę sowieckiej propagandzie.

Wodą na młyn Moskwy są również oficjalne wypowiedzi zachodnich mężów stanu. Wysocy urzędnicy amerykańscy a wśród nich minister Dulles (mowa z dnia 10. 10. 1955) cyfry statystyk sowieckich biorą za podstawę opinii, które noszą stempel oficjalnych wypowiedzi.

Propagandyści reżimowi zamiast cytować statystyki sowieckie cytują oficjalne amerykańskie źródła stwierdzające, że ogólna produkcja sowiecka wyraża się dziś globalną kwotą 135 bilionów dolarów rocznie. Jest to cyfra — mówiąc oględnie — jaskrawo przesadna. Jeżeli jednak takie oceny padają z ust zachodnich mężów stanu, Polacy w Kraju skłonni są przyjąć je za dobrą monetę. W ten sposób ,,ewolucjoniści'' zyskują potężny argument dla swej tezy, która głosi, iż statut światowego mocarstwa Rosji jest elementem stałym i wymagającym od Polaków re-orientacji ich tradycyjnego sposobu myślenia politycznego.

Za kilkanaście lat cyfry produkcji sowieckiej zbliżą się do poziomu produkcji Stanów Zjednoczonych — mówią ,,ewolucjoniści'' — i Rosja stanie się drugą Ameryką. I stąd wyciągają wniosek : jak Kanada nie może być anty-amerykańska tak Polska, w swoim własnym interesie, nie może być anty-rosyjska.

Orientację pro-rosyjską buduje się niezależnie od propagandy komunistycznej. W tej sprawie chodzi przede wszystkim o to by opozycjonizm ideologiczny nie był równoznaczny z opozycjonizmem politycznym. Innymi słowy daje się do zrozumienia, że

nawet przekonany anty-marksista winien być zwolennikiem pro-rosyjskiej orientacji ponieważ leży to w oczywistym interesie Polski.

Dalszy zespół pro-rosyjskich argumentów to sprawa ,,Ziem Odzyskanych'' i niewiara w Zachód — ściślej w realizm polityki wyzwolenia.

Niedawno rozmawiałem z Polakiem, który jeszcze kilka miesięcy temu był w Polsce. Mój rozmówca nie jest, i nigdy nie był, komunistą. Według jego opinii Polacy nie cierpią Rosjan ale nastroje anty-rosyjskie w społeczeństwie wyraźnie słabną. Nie może być porównania w nasileniu tych nastrojów sprzed pięciu lat i obecnie.

Kluczową rolę w tym kompleksie zagadnień odgrywają ziemie nad Odrą i Nisą. Większość polityków i publicystów na emigracji jest zdania, że tego tematu nie należy poruszać. Podejmowanie jakichkolwiek rozmów z Niemcami jest niedopuszczalne ponieważ krok taki zmobilizowałby opinię całego Kraju przeciwko emigracji.

Jaki jest wynik netto tej polityki?

Istotnie nie mobilizujemy opinii Kraju przeciwko emigracji lecz równocześnie dostarczamy argumentu zwolennikom pro-rosyjskiej orientacji.

Słuchając naszych wypowiedzi Polak w Kraju logicznie wnioskuje: Emigracja jest anty-komunistyczna i anty-rosyjska jednak w tej sprawie przyjęła pro-rosyjski punkt widzenia i koncepcje. Stąd dalszy wniosek, że innej koncepcji nie ma — względnie, że wszystkie inne koncepcje nawet według emigracyjnych ocen są całkowicie nierealne.

W odniesieniu do tego zagadnienia są możliwe tylko dwie postawy: albo przyjmuje się, że gwarantem obecnego układu jest de facto Rosja — albo przyjmuje się pogląd (pod którym osobiście ja się podpisuję), że jedyną trwałą gwarancją sytuacji na Ziemiach Odzyskanych może być tylko dobrowolny układ zawarty między Polakami a Niemcami.

Nie posiadamy żadnej koncepcji politycznej a tak zwane ,,sfery oficjalne'' ograniczają się do deklaratywnych oświadczeń i protestów. W rezultacie jesteśmy nie tylko wyizolowani ale i uwikłani w sprzecznościach.

W zasadzie jesteśmy zwolennikami orientacji zachodniej. Równocześnie jednak stoimy na stanowisku nienaruszalności granicy na Odrze i Nisie mimo, że nienaruszalność tej granicy nie jest uznana ani przez Anglię ani przez Stany Zjednoczone tylko przez Rosję. Gdybyśmy od Anglosasów uzyskali zapewnienie, że w chwili uwolnienia uznają linię Odry-Nisy za ostateczną granicę polsko-niemiecką — wówczas Polakom w Kraju moglibyśmy powiedzieć, że po pierwsze — nie musimy rozmawiać z Niemcami, bo sprawę granicy załatwiliśmy w ,,wyższej'' instancji — a po drugie, iż w ramach orientacji zachodniej dys-

ponujemy potężniejszą gwarancją niż ci Polacy, którzy swe nadzieje wiążą z Rosją.

Wiadomo jednak, że ani gwarancji ani zapewnień — nie posiadamy.

Polak orientacji rosyjskiej (mamy takich i na emigracji) może powiedzieć: ,,Jestem przeciwnikiem rozmów z Niemcami — nie wierzę, by w sporze polsko-niemieckim Zachód przyjął przychylne dla nas stanowisko — mam natomiast podstawy do twierdzenia, że Rosja nie dopuści do rewizji tej granicy''.

Ten sam Polak może nam zadać następujące pytanie:

,,Jesteście przeciwnikami rozmów z Niemcami — nie dysponujecie żadnymi zapewnieniami mocarstw zachodnich — wyłączacie jakąkolwiek formę porozumienia z Rosją — *na jakiej* więc *podstawie* opieracie waszą politykę w sprawie ziem nad Odrą i Nisą?''

Uczciwa odpowiedź na powyższe pytanie jest tylko jedna: Fundamentem naszej polityki w stosunku do Ziem Odzyskanych — są frazesy i pobożne życzenia.

Odrzucając porozumienie z Niemcami nie mamy możliwości wypracowania koncepcji polityki polskiej zachodniej i anty-rosyjskiej. Bez tego porozumienia jesteśmy skazani na izolację w niezmiernie ważnym punkcie naszego programu.

Nasi emigracyjni mężowie stanu tchórzliwie uciekają przed tym zagadnieniem. Dopóki politykę zastępują frazesy i slogany — logiką i konsekwencjami nie potrzeba się kłopotać. Ale co myślą o tej sprawie wodzowie, którzy jutro przystąpiliby do odbudowy polskiej armii w ramach NATO gdyby otrzymali pozwolenie od Amerykanów i Anglików? Sądzę, że z entuzjazmem przystąpiliby do dzieła mimo, że nie mamy żadnej pewności czy nasi zachodni sojusznicy w chwili wspólnego zwycięstwa nie każą nam oddać Niemcom jednej trzeciej naszego terytorium.

Ktoś może powie: po co mamy rozmawiać z Niemcami dziś? Będziemy mieli mocniejszą pozycję w momencie zaostrzenia sytuacji międzynarodowej.

W chwili gwałtownego zaostrzenia sytuacji międzynarodowej nikt z nami nie będzie negocjował i nikt nie udzieli nam gwarancji. Zachodni mężowie stanu powiedzą nam, że w grę wchodzą nieco poważniejsze problemy niż granica na Odrze i Nisie i wszystkie spory terytorialne i inne należy odłożyć do chwili zwycięstwa czy zażegnania konfliktu. I tak postępując zachodni politycy mieliby stuprocentową rację. W momencie kryzysu o skali światowej nie rozważa się jednego z trzydziestu sporów terytorialnych na kontynencie Europy. W takiej chwili wszystko i wszyscy muszą być bezwarunkowo i ,,bezgwarancyjnie'' podpodrządkowani celom obrony.

Resztę łatwo sobie dośpiewać. Nasi wodzowie i mężowie stanu prześcigaliby się w zapale pisania orędzi o tym, że ...wybiła godzina dziejowa. Zawrzałby bój o etaty i posady, a gdyby jeszcze obie strony walczące taktownie powstrzymały się od

bombardowań atomowych — wszystko potoczyłoby się według dobrze znanej nam melodii.

Ktoś powie — na wojnę się nie zanosi. Jeden z brytyjskich polityków powiedział niedawno, że kto wie czy wojna koreańska nie przejdzie do historii jako ostatnia w dziejach ludzkości wojna ,,gorąca''.

Słowa ,,zawsze'' i ,,nigdy'' mogą mieć pewien sens w życiu i języku jednostek. Polityka nie zna tego typu określeń. Jest możliwe, że już nigdy nie będzie wojny — ale równocześnie nie można wyłączyć możliwości, iż wojna wybuchnie za dwa lata. W polityce operujemy tylko względnymi stopniami prawdopodobieństwa — nigdy pewnością.

Ale ufając, że do wojny nie dojdzie nie tracimy przecież nadziei, że wyzwolenie krajów Europy wschodniej zostanie zrealizowane na innej drodze. Nie ulega wątpliwości, że problem wyzwolenia i zjednoczenia Niemiec jest funkcjonalnie związany z zagadnieniem granicy Odra-Nisa. Tylko wówczas gdyby zjednoczenie odbyło się w ramach koncepcji sowieckiej — sprawa ,,Ziem Odzyskanych'' nie wypłynęłaby na powierzchnię. Zjednoczenie tego typu oznaczałoby bowiem rozszerzenie administracji komunistycznej wschodnio-niemieckiej na całe Niemcy. Mimo, że reżym wschodnio-niemiecki uznaje w pełni granicę na Odrze i Nisie — nie leży w naszym interesie by zjednoczenie Niemiec odbyło się pod egidą sowiecką. Przeciwnie, w naszym interesie leży by zjednoczenie Niemiec odbyło się w ramach polityki Zachodu — mimo, że zjednoczenie ,,zachodnie'' z całą pewnością zaktualizowałoby i zaostrzyło problem granicy na Odrze i Nisie.

Są i tacy, którzy uważają, że jedynym politykiem zdolnym do utrzymania Niemiec w orbicie Zachodu jest kanclerz Adenauer. W chwili gdy go zabraknie zwolennicy porozumienia i rozmów z Sowietami dojdą do steru.

Tą samą pocztą dostałem jak zawsze doskonałe ,,Ostatnie Wiadomości'' i ,,The Listener''. Tak Anglik Terrence Prittie jak i Polak St. Czechanowski — są wybitnymi znawcami współczesnych Niemiec. Osobiście cenię wysoko obu tych autorów.

Czechanowski pisze, że... ,,nacjonalizm gotuje się do nowego odwetu w złudnym mniemaniu, że bezpośredni kontakt z Moskwą, że porozumienie z Sowietami, przywrócić może Niemcom utraconą pozycję mocarstwową''.

Prittie zajmuje stanowisko wręcz odwrotne. Wyjaśnia angielskiemu czytelnikowi (dość przekonywująco) dlaczego komunizm i pro-rosyjskość nie zdobyły gruntu w Federacyjnej Republice.

Interesującym choć niezamierzonym komentarzem do wyżej zacytowanego dwugłosu był list jaki otrzymałem niedawno od jednego z moich niemieckich kolegów po fachu. List ten zawiera między innymi następujące zdanie: ,,Jeżeli wy z nami nie chcecie dyskutować to może Rosjanie zechcą?''

Wystrzegam się uogólnień i twierdzę, że pewne koła opinii

niemieckiej pragną dyskusji z nami. Twierdzę również, że odmowa z naszej strony może być tylko wodą na młyny tych, którzy chcą porozumieć się — ponad naszymi głowami — z Rosją.



Rozważając ten cykl zagadnień myślę o Rosji. W gruncie rzeczy to jest artykuł poświęcony analizie naszego stosunku do Rosji nie do Niemiec.

Przyjęliśmy pogląd (może nie wszyscy szczerze...) że w obecnej atomowej epoce, wojny nawet wyzwoleńczej nie należy pragnąć. Jesteśmy zgodni w przekonaniu, że wyzwolenie winno być urzeczywistnione środkami pokojowymi.

Cokolwiek powiedziałoby się o koncepcji ,,pokojowego wyzwolenia'' jedno należy przyjąć za pewnik: *nie jest rzeczą możliwą środkami pokojowymi pozbawić Rosję statutu światowego mocarstwa.*

Przyjmijmy jak najbardziej optymistyczny punkt widzenia. Załóżmy, że Stanom Zjednoczonym cierpliwą i konsekwentną polityką powiedzie się nie tylko wyzwolić pokojowo Europę wschodnią lecz również nakłonić Rosję do przyjęcia pewnych form kontroli atomowej. To byłby ów kres marzeń! Najwięksi optymiści niczego więcej nie mogą oczekiwać.

Gdyby to się powiodło, amerykańscy mężowie stanu mogliby dosłownie spocząć na laurach. Narody ujarzmione odzyskałyby wolność a mieszkańcy nowego świata w spokoju korzystaliby z dobrodziejstw ich wspaniałej cywilizacji wiedząc, że chmura o kształtach wielkiego grzyba nigdy nie przysłoni nieba nad Nowym Jorkiem czy Waszyngtonem.

Ten rajski obraz przełożony na język realnej polskiej polityki traci nieco na karmelkowej słodyczy. Bylibyśmy wolni ale w dalszym ciągu graniczylibyśmy z Rosją drugim z kolei mocarstwem świata o olbrzymim potencjale przemysłowym i wojskowym.

Dla nas — niestety nie ma łatwej ucieczki przed problemem rosyjskim.

Mówiąc brutalnie — jeżeli wyłącza się wojnę uwieńczoną totalnym zwycięstwem — trzeba wypracować polską koncepcję polityczną, która brałaby w rachubę mocarstwowy statut Rosji jako czynnik *stały* w naszej geopolitycznej sytuacji.

Na tym tle należy rozważać problem stosunków polsko-niemieckich. Osobiście nie jestem pro-niemiecki. Jestem tylko anty-rosyjski.

Zagadnienie stosunków polsko-niemieckich jest w znacznym stopniu sprawą tradycji i psychologii. Jesteśmy anty-niemieccy z nawyku, z tradycji, z bliskich — niestety — doświadczeń.

Musimy jednak zdobyć się na rewizję naszych poglądów i nastrojów ponieważ nie możemy w praktyce być równocześnie anty-niemieccy i anty-rosyjscy. Niebezpieczeństwo rosyjskie na

dziś, na jutro i na pojutrze — jest tak straszliwe w skali i w wymiarze — że musimy szukać porozumienia z wszystkimi narodami o polityce anty-rosyjskiej a w szczególności z naszymi bezpośrednimi sąsiadami.

Te pisma polskie na emigracji, które specjalizują się w systematycznym podsycaniu nastrojów anty-niemieckich w gruncie rzeczy pracują na rzecz pro-rosyjskiej orientacji. Jeżeli chcemy bowiem być anty-niemieccy za wszelką cenę, sojuszników nie mamy co szukać na Zachodzie bo ich nie znajdziemy.

Politycy i pisma, którzy w sloganowym delirium są równocześnie anty-rosyjscy, anty-niemieccy i anty-ukraińscy — politykę emigracyjną sprowadzają do błazenady. To ci panowie i te pisma pracują na rzecz przyszłych repatriacji. Ci panowie bowiem są odpowiedzialni za tych, którzy stracili wiarę w celowość i sens pobytu na emigracji. Wracają przede wszystkim złamani i zniechęceni i jest ich wśród nas znacznie większy procent niż się przypuszcza.

W niniejszym artykule używam celowo terminu Rosja a nie Sowiety. Chciałbym bowiem by Czytelnicy zdali sobie sprawę z faktu, że sąsiadujemy z olbrzymim państwem, które pozostanie światowym mocarstwem bez względu na ustrój. (Jeżeli wyłączamy wojnę ewentualna zmiana ustroju nie zlikwiduje przemysłu!). Adwent wielkiej Rosji jest faktem politycznym z którym musimy się realistycznie pogodzić.

Najbardziej nieustępliwi krytycy Sekretarza Stanu Dullesa, który — jak wspomniałem — zaryzykował twierdzenie, że ogólna produkcja Sowietów wynosi dziś jedną trzecią produkcji amerykańskiej — oceniają, że tak zwany G.N.P. (gross national produkt) Rosji jest dziś równy G.N.P. Ameryki z roku 1918. Innymi słowy w świetle najbardziej krytycznych opinii dzisiejsza Rosja w sensie produkcji przemysłowej jest Ameryką z końcowego okresu pierwszej wojny światowej.

Patrzymy przez całkowicie fałszywie dobrane szkła na naszych sąsiadów. Rosja jest ciągle dla nas kolosem na glinianych nogach a Niemcy groźną militarystyczną potęgą. W rzeczywistości Rosja ma wszelkie szanse pozostania światowym mocarstwem a Niemcy nie mają żadnych szans stania się światowym mocarstwem.

Rosja jest dla nas groźna bez względu na ustrój. Jest groźna swym ogromem, potencjałem przemysłów, historyczno-politycznymi perspektywami — różnicami i podobieństwami. Groźna jest geniuszem swej sztuki i siłą fascynacji, której ulegają wszystkie słowiańskie narody z polskim włącznie.

Musimy zdać sobie sprawę, że równowaga sił w Europie wschodniej w relacji do Rosji jest w tradycyjnych formach nie do odbudowania. Jeżeli nie powiedzie się stworzyć związku federacyjnego wschodnio i środkowo europejskiego — nawet po uwolnieniu, wpływy rosyjskie będą dominowały w Warszawie, w Pradze, w Bukareszcie. Polska — największy kraj w Euro-

pie wschodniej — nie ma żadnej możliwości odbudowania proporcji potencjałów Warszawa : Moskwa z roku 1939. Rosja w czasokresie bieżącego stulecia może osiągnąć wytwórczość przemysłową zbliżoną do obecnego poziomu Stanów Zjednoczonych. Jakież są nasze możliwości w porównaniu z tą perspektywą ?

Ci, którzy liczą pobożnie na to, że... komunizm nie jest wieczny powinni pamiętać o tym, że jeżeli Rosja zrezygnowałaby z rewolucji światowej i stworzyła u siebie pozory demokracji (choćby na wzór jugosłowiański) poszerzyłaby wybitnie możliwości rozwojowe swego przemysłu. Skończyłaby się „zimna wojna" (Free Europe, Voice of America itp.), skończyłyby się wszystkie ograniczenia wymiany handlowej między Wschodem i Zachodem i Rosja mogłaby korzystać oburącz z wszelkich kredytów międzynarodowych, pomocy technicznej itd.

Osobiście rozwój po tej lini uważam za możliwy. Wpierw jednak musi wymrzeć pokolenie bolszewików starej daty. Nie uważam za wykluczone, że gdy młoda generacja technokratów sowieckich dojdzie do steru, punkt ciężkości walki o pozycję Rosji w świecie przesunięty zostanie z płaszczyzny politycznej na płaszczyznę rywalizacji gospodarczej.

Tak czy inaczej Amerykanie mają wszelkie możliwości utrzymania bezpiecznego „balance of power" między Stanami Zjednoczonymi a Rosją. Ale my ? — Choćbyśmy uprzemysłowili każdy centymetr powierzchni Polski — to jeżeli proces uprzemysłowienia Rosji będzie postępował — różnica między potencjałami polskim a rosyjskim stale będzie rosła na naszą niekorzyść. Dlaczego ? Dlatego, bo ich tempo to są biliony dolarów a nasze tempo to są miliony dolarów.

Epoka atomowa faworyzuje wielko-obszarowe mocarstwa deklasując zarówno małe jak i średnie narody.

Powtarzamy jak papugi dykteryjkę o... dwóch kamieniach młyńskich. Niemcy utraciły nieodwołalnie „statut" kamienia młyńskiego. Przed narodami wschodniej Europy piętrzy się tylko jeden gigantyczny problem — Rosja. Podnoszenie w tym rejonie Europy innego zagadnienia do rangi politycznej „kwadratury koła" jest luksusem na który nas nie stać.

Winniśmy nie tracić nigdy z oczu trzech następujących punktów : 1) Środkami pokojowymi — być może — Zachód zdoła (przy sprzyjających okolicznościach) przywrócić narodom wschodniej Europy wolność. Środkami pokojowymi nikt jednak nie zwycięży Rosji ; 2) Narody wschodniej i środkowej Europy w obliczu masywu rosyjskiego albo scalą się w związku federacyjnym by choć częściowo odbudować zwichniętą równowagę sił — albo... 3) Rosja wygrywać będzie te narody, jeden przeciwko drugiemu, doprowadzając do zupełnej bałkanizacji tego obszaru.

Jeżeli osobiście nie uważam koncepcji „wyzwolenia środkami pokojowymi" za całkowitą mrzonkę to między innymi i z tej

przyczyny, że jestem przekonany, iż Rosja wycofując się z Europy wschodniej w konsekwencji takiej czy innej pokojowej operacji — traktować to będzie za manewr taktyczny. I dlatego — być może — w danym momencie się wycofa. Politycy w Moskwie będą pewni że wrócą jeżeli nie drzwiami frontowymi to drzwiami od kuchni. Nim ostatni żołnierz rosyjski opuści wschodnią Europę politycy i dyplomaci w Moskwie przystąpią do opracowywania planu powrotu. I wówczas spór wschodnioeuropejski Nr 1 — granica Odry-Nisy otrzyma najwyższą rosyjską „priority".

Dalsze losy koncepcji wyzwolenia środkami pokojowymi mogą w znacznej mierze zależeć od tego czy zdołamy wypracować choćby ramowy projekt porozumienia polsko-niemieckiego — czy potrafimy na drodze rozmów i akcji prasowej zbliżyć punkty widzenia polski i niemiecki.

W jednym z następnych artykułów przedstawię Czytelnikom „Kultury" zarys emigracyjnych możliwości w tej sprawie. Nie możemy zawrzeć żadnego układu, ale możemy w pewnej mierze *zmienić klimat* i uzgodnić główne linie wytyczne.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

FAŁSZERSTWO

W „Orle Białym" z dnia 11. 2. 1956 ukazał się artykuł pt. „Kultura chce popierać Gomułkę". Autor artykułu, R. P. (ze spisu treści numeru dowiadujemy się że jest to p. Ryszard Piestrzyński), w walce przeciwko „Kulturze" nie cofa się przed fałszem.

Muszę wyznać, że p. Arski, dziennikarz komunistyczny, autor broszur zohydzających Emigrację, który równie namiętnie jak „Orzeł Biały" zwalcza „Kulturę" — nie posunął się tak daleko.

Pan R. P. w cytowanym artykule pisze dosłownie:

> „P. Mieroszewski proponuje nam odróżnienie „wyzwolenia częściowego" od „wyzwolenia całkowitego". Sam wypowiada się za „wyzwoleniem częściowym", choćby (jak pisze) nie było ono równoznaczne z likwidacją Partii Komunistycznej".

Jak wyglądają odnośne cytaty w kontekście mojego artykułu w styczniowym numerze ‚Kultury" ?

Oto one:

> „Jesteśmy za pełnym wyzwoleniem, niepodległością i rzetelną demokracją — nie odrzucamy jednak rozwiązań połowicznych jak np. neutralizm. W imię pełnej wolności nie odrzucamy pół-wolności w imieniu tych, którzy od lat 16-tu pozbawieni są w ogóle wolności".

Oraz cytat następny:

> „Nie ulega wątpliwości, że Polacy w Kraju pragną wyzwolenia choćby częściowego — choćby nie było ono równoznaczne z likwidacją partii komunistycznej czy wyjęciem jej spod prawa".

Twierdzenie, w oparciu o powyższe cytaty, iż „p. Mieroszewski *sam* wypowiada się za wyzwoleniem częściowym" jest *fałszerstwem* i nie cofnę tego zarzutu dopóki pan R. P. nie udowodni cytatem z mojego artykułu, że tak powiedziałem.

Czytelnik „Orła Białego" będzie sądził na podstawie relacji p. R. P., że w moim artykule, choć wprawdzie odróżniam „wyzwolenie całkowite" od „wyzwolenia częściowego", *sam* jednak wypowiadam się bez reszty za „wyzwoleniem częściowym".

Co to znaczy „wypowiadać się za czymś"? W języku polskim wypowiadać się za czymś oznacza wybierać. (Np. X wypowiada się za wojną — Y wypowiada się za pokojem). Innymi słowy p. R. P. informuje swoich czytelników, że publicysta „Kultury" z dwóch możliwych form wyzwolenia *sam* wypowiada się za wyzwoleniem, które nie byłoby równoznaczne z likwidacją partii komunistycznej.

Takie przedstawienie poglądów jest świadomym fałszerstwem, którego celem jest rzucenie potwarzy już nie tylko na „Kulturę", ale na mnie osobiście z wymienieniem mojego nazwiska. Powyższe metody kolidują wprawdzie z brytyjskimi przepisami o ochronie czci i dobrego imienia — widać nie stoją jednak w sprzeczności z etyką dziennikarską, obowiązującą w redakcji „Orła Białego".

Zdaje sobie w pełni sprawę z wagi zarzutu jaki publicznie wysuwam pod adresem p. R. P. niemniej gotów jestem powtórzyć ten zarzut przed każdym sądem — z koleżeńskim sądem dziennikarskim włącznie.

Lista sfałszowań pana R. P. nie jest bynajmniej wyczerpana.

Oto przykład następny. Pan R. P. pisze dosłownie:

> „Odrzucenie przez „Kulturę" założeń obozu niepodległościowego jest zrozumiałe i logiczne, skoro pismo to swą politykę zamierza prowadzić w ramach obecnego ustroju w Polsce, który, jak wiemy, jest ustrojem komunistycznym".

W styczniowym artykule poglądy Grupy „Kultury" w stosunku do Kraju ująłem w dwa punkty. Oto punkt główny:

> ,,Reprezentujemy pogląd, że przedmiotem polityki na Kraj jest nie tylko cel kardynalny to jest niepodległość, lecz również bieżąca sytuacja w Polsce. Nie jesteśmy zwolennikami poglądu — któremu więcej hołduje polityków niż się sądzi, że... im gorzej tym lepiej".

Dla Grupy ,,Kultury" kardynalnym celem polskiej polityki jest niepodległość — ale panu R.P. to nie odpowiada i fabrykuje nowe fałszerstwo o odrzuceniu przez ,,Kulturę" założeń obozu niepodległościowego.

Niewątpliwie szczytem wszystkiego jest twierdzenie p. R. P. że:

> ,,pismo to (*to jest ,,Kultura" — przypisek mój*) swą politykę zamierza prowadzić w ramach obecnego ustroju w Polsce który, jak wiemy jest ustrojem komunistycznym. By móc prowadzić jakąś politykę w ramach jakiegoś systemu trzeba uznać i przyjąć ten właśnie system".

Nieszczęsny czytelnik ,,Orła Białego" na podstawie tych relacji będzie wnioskował, że ,,Kultura" — primo odrzuciła politykę niepodległościową a secundo uznała i przyjęła system komunistyczny.

Według pana R. P. dążenie do poprawy sytuacji w Polsce w ramach obecnego ustroju jest równoznaczne z zaakceptowaniem komunizmu. Gdybyśmy stanęli na tym stanowisku to wszystkich, którzy wysyłają paczki do Kraju i dążą w ten sposób do poprawy sytuacji musielibyśmy uznać za komunistów. Radio ,,Free Europe" czy ,,Voice of America" dążą na innym polu do poprawy sytuacji w Polsce w ramach obecnego ustroju. Czy to oznacza, że kierownicy i współpracownicy tych instytucji uznali i przyjęli system komunistyczny?

Seria nie jest wyczerpana ale wydaje mi się, że nie ma powodu jej przedłużać.

Tego dawniej nie było. Grupa ,,Orła Białego" stanowi pewne novum w naszym życiu politycznym. Pan R. P. w walce politycznej nie cofa się przed kłamstwem, fałszem, insynuacją. W tym samym artykule oskarża nas o odrzucenie polityki niepodległościowej, o zaakceptowanie systemu komunistycznego, o titoizm, o trockizm i o jałtańczykostwo. Aż dziw, że nie przypisał nam winy za sprawę Bergu.

Pan R. P. nie zdaje sobie widać sprawy, że tego rodzaju piramida całkowicie absurdalnych oskarżeń wywołuje efekt równie tragi-komiczny jak mowy prokuratorów na ,,procesach" Slanskiego, Clementisa czy Raika. Na demokratycznym Zachodzie żaden prenumerator ,,Orła Białego" popisów w tym guście nie może brać poważnie. Pan R. P. wyraźnie niedocenia zmysłu humoru swych czytelników.

U dna tych zapienionych oskarżeń pełga bezsilność. ,,Kultura" jest dziś zbyt silna by ją można było zniszczyć prokuratorskimi oskarżeniami z generalskiej kazalnicy. Radzę panu R. P. by w ostatnich piętnastu numerach ,,Kultury" przeczytał sobie w spokoju ducha spisy nazwisk i kwot wpłaconych dobrowolnie przez Czytelników i Przyjaciół na dom ,,Kultury" i porównał z rezultatami licznych apelów swych pracodawców.

,,Kultura" reprezentuje pewien nurt myślowy o wielkim zapleczu. Od

nikogo nie wymagamy by myślał identycznie jak my. Ale wiemy i mamy na to dowody, że bardzo wielu myśli podobnie jak my i to nam wystarcza.

AMUNICJA

W czasie obrad Walnego Zjazdu Dziennikarzy R.P., który się odbył kilka tygodni temu w Londynie — jeden z kolegów wygłosił referat poświęcony problemowi repatriacji. W dyskusji po tym programowym referacie zabierali głos przedstawiciele kierunków politycznych zrzeszonych w TRJN.

Może nie od rzeczy będzie stwierdzić na wstępie, że samo zagadnienie jest całkowicie urojone. Na szczęście na emigracji nie ma żadnego problemu repatriacyjnego. Ludzi, którzy na przestrzeni ubiegłego roku wyjechali z Anglii do Polski można policzyć dosłownie na palcach jednej ręki. W tym samym czasie kilkanaście osób przyjechało z Polski w celu połączenia się z rodzinami. Per saldo — skłonny jestem przypuszczać — że w omawianym okresie Emigracja liczbowo raczej wzrosła a nie zmalała.

Mimo to, byłoby błędem sądzić, że reżymowa akcja repatriacyjna nie przyniosła żadnych rezultatów. Przyniosła pewne rezultaty, tylko na innym odcinku.

Wszyscy bez wyjątku, którzy zabierali głos nad referatem „repatriacyjnym" nawoływali i apelowali do wszystkich i do każdego z osobna... by w tym trudnym okresie nie dostarczać amunicji propagandzie reżymowej. Każdy z mówców deklarował się jako przeciwnik kagańca i cenzury ale zaraz w następnym zdaniu nawoływał o nałożenie kagańca by... nie dostarczać żeru propagandzie reżymowej.

Powoływano się gęsto na biuletyn „Kraj" i inne reżymowe materiały propagandowe, które roją się od cytatów z prasy emigracyjnej. Mówcy domagali się od nas, emigracyjnych dziennikarzy, odpowiedzialności za każde słowo... by nie dostarczać propagandzie itd., itd.

Co należy rozumieć przez „odpowiedzialność" w tym szczególniejszym wypadku? O ile dobrze zrozumiałem intencje mówców, sądzą oni, że w obecnym okresie należy wstrzymać się od zarzutów i krytyk, które mogłaby podchwycić i zużytkować propaganda reżymowa.

Załóżmy, że wszyscy jak jeden mąż ślubujemy zastosować się do powyższych wskazań. Przestajemy krytykować TRJN, milczymy zarówno o Bergu jak i o ślimaczej jego komisji, nie ujawniamy żadnych nieporządków, zaniedbań czy nadużyć, nie domagamy się wyborów ani demokratyzacji Skarbu — wszystko w imię niedostarczania amunicji propagandzie reżymowej.

Jaki byłby rezultat netto takiej operacji?

Rezultat łatwo jest przewidzieć. My przestalibyśmy być demokratami a reżymowcy *nie* przestaliby być komunistami.

W mojej opinii cena jest za wysoka. Lepiej jest dostarczać amunicji propagandzie reżymowej a zachować na Zachodzie wolną i niczym nieskrępowaną polską prasę — niż przyjąć dobrowolnie kaganiec w celach wątpliwego zubożenia propagandy reżymowej. Jest przecież jasne, że choć byśmy wprowadzili cenzurę prewencyjną (z jakimż entuzjazmem powitałyby ją pewne czynniki!) — to i tak propaganda reżymowa znalazłaby amunicję. Gdyby cała polska prasa emigracyjna była równie szara i bezbarwna jak

biuletyn Egzekutywy to przecież i tak byłoby możliwe wyrwać z niej taki czy inny cytat, takie czy inne sformułowanie.

Ci, którzy pod wpływem typowego polskiego kompleksu — kagańca, człowieka silnej ręki, wodza itp. — doradzają przyjęcie dobrowolnych ograniczeń, nie zdają sobie sprawy z faktu, że im prasa jest mniej wolna, mniej krytyczna, mniej demokratyczna — tym jest bardziej bezbronna wobec ataków totalitarnej propagandy. Co za sztuka jest wykpić moskiewską „Prawdę" ? Na Zachodzie prasy sowieckiej nikt nie wykpiwa bo to jest tak łatwe, że przestało być dowcipne. Trudno jest wykpić czy podjąć polemikę z „Manchester Guardian". Czoło atakom komunistycznym może stawiać tylko prasa wolna, krytyczna, niczym nie krępowana.

Owe „kagańcowe" apele są charakterystyczne z dwóch względów.

Po pierwsze ilustrują naszą niewiarę w demokrację. Jesteśmy zwolennikami jedności à la BBWR — jedności i solidarności opartej na zakazach, nakazach i cenzurze.

Po drugie — choć nie każda nasza „władza" wywodzi się z woli ludu — każda nasza „władza", bez wyjątku, stara się bieżącą sytuację interpretować jako „stan wyjątkowy" z czego wysuwa olśniewający nakaz : „obecnie nie jest czas na krytykę !"

Od roku 1918 po rok 1956 nie mieliśmy władzy, która by uważała, że nadszedł czas na krytykę. Oczywiście nikt u nas nie jest przeciwnikiem krytyki (konstruktywnej, konstruktywnej !) tak się natomiast fatalnie składa, że na przestrzeni ostatnich 40 lat nie było tygodnia, który byłby odpowiednim momentem dla krytyki.

Wprawdzie ludzie siedzą spokojnie i do Kraju nikt się nie wybiera ale dlaczegóżby problemu repatriacji nie wykorzystać zgodnie z tradycją ? Jest świetna okazja by krytyków i zwolenników nieskrępowanej wolności słowa przedstawić jako dywersantów, którzy dostarczają amunicji wrogiej propagandzie.

Juliusz MIEROSZEWSKI (Londyńczyk)

Polonia zagraniczna

Fakt, że co najmniej jedna piąta część narodu polskiego pozostaje obecnie poza granicami zniewolonego przez komunizm kraju, przydaje nowego znaczenia tzw. Polonii zagranicznej.

Mniej więcej 6 milionów wolnych Polaków, aczkolwiek przynależnych do różnych państw, stanowi dostatecznie duży potencjał sił, aby móc przysłużyć się dobru sprawy polskiej w świecie.

Realistyczna ocena obecnego położenia politycznego nie może wykluczyć przypuszczenia, że Polonii zagranicznej przypaść może w udziale pełnienie zadania obrony praw narodu polskiego do niepodległości przez czas dłuższy. Tym bardziej więc wydaje się aktualne bliższe zastanowienie się nad istotą stosunku tej Polonii do spraw polskich i wypływającymi z niego wskazaniami dla praktycznej akcji na rzecz sprawy polskiej.

Zasadniczymi regulatorami tego stosunku są przede wszystkim dwa czynniki. Z jednej strony wszyscy Polacy, zaliczający się do Polonii zagranicznej, to jest rebus sic stantibus stale w pewnym państwie osiadli i jego obywatelami będący (włącznie z całą obecną młodzieżą, wychowaną już w okresie wojennym, względnie powojennym), mają swe własne życie, integralnie z całością danego społeczeństwa związane i normalnej w nim koniunkturze rozwojowej podległe.

Z drugiej strony wszyscy ci Polacy, na niektórych terenach już trzecie czy czwarte pokolenie, mam na względzie oczywiście tych, którzy się nie wynarodowili, zachowują duchowo głębokie uczucie łączności kulturalnej z Macierzą i, acz swoistego nieraz typu, poczucie patriotyzmu polskiego.

Wszelka inicjatywa wprzągnięcia całości żywiołu polskiego zagranicą do służby sprawie polskiej w okresie niewoli państwowej, liczyć się winna z istnieniem powyższych dwu czynników.

Dlatego w odniesieniu do pierwszego z nich, to jest tego, który nazwaliśmy własnym życiem Polonii zagranicznej, winna być we wszelkiej akcji zachowana zasada zupełnej jego nienaruszalności, tak, aby ani pełna lojalność obywatelska w stosunku do państw zamieszkania, ani normalna linia rozwoju danej Polonii i jej członków nie była na najmniejszy nawet szwank narażona.

Dlatego też w stosunku do drugiego czynnika, to jest postawy duchowej Polonii zagranicznej, a w szczególności w dyskontowaniu tej postawy na rzecz sprawy polskiej, winny być zachowane właściwe drogi i sposoby, dostosowane do psychiki Polonii zagranicznej.

Tym ostatnim zagadnieniem zajmiemy się nieco bardziej szczegółowo, jako że posiada ono dla powodzenia wszelkiej akcji decydujące znaczenie.

Na wstępie należy zaznaczyć, że wskrzeszenie niepodległego państwa polskiego w 1918 roku było olśnieniem dla dawnej emigracji zarobkowej i ożywiło jej stosunek do „starego kraju".

Z biegiem lat, w miarę rozwoju i wzmacniania się państwa polskiego, zaczęło się rozwijać i stale rosło poczucie dumy z polskiego pochodzenia i z osiągnięć odrodzonej Rzeczypospolitej.

Równocześnie i na tym samym tle, Polonia zagraniczna odczuła jak gdyby wzrost własnego znaczenia i zmianę na korzyść w odnoszeniu się do niej miejscowych społeczeństw. W następstwie tego zjawiska oraz w instynktownym zrozumieniu własnego interesu, zaczęła w sobie wyrabiać dbałość o dobre imię Polski i troskę, aby wszystko, co z Polski szło, przyczyniało się do umocnienia tej nowej sytuacji.

Stąd powstała i wyrobiła się chęć przyjmowania i transmitowania w obce społeczeństwa przede wszystkim tego, co było w Polsce pozytywne a z drugiej strony tendencja do ignorowania, czy wprost niechęć do tego, co wydawało się negatywne.

Można było taką postawę uważać za kierowaną pobożnymi życzeniami lub zgoła złudzeniami, ale nie można było negować tak faktu zaistnienia jak i głębszych racji tego zjawiska, jak też nie można było nie liczyć się z nim, gdy szło o nawiązywanie nici porozumienia i współpracy z Polonią. W praktyce oznaczało to gwarancję powodzenia przede wszystkim dla inicjatyw, odpowiadających temu nastawieniu Polonii i reprezentujących niejako dobro Polski jako całości. Przykładem takich inicjatyw może być Powszechna Wystawa Krajowa w 1929 roku, Fundusz Obrony Narodowej w dziesięć lat później, odbudowa wojska polskiego na obczyźnie w czasie drugiej wojny światowej, pomoc dla kraju (Relief) po obu wojnach światowych, lub wreszcie początkowa faza akcji zmierzającej do zjednoczenia politycznego wolnych Polaków na gruncie demokratycznym. W stosunku do wszystkich tych inicjatyw objawił się niemal bez wyjątku, całkowicie solidarny front Polonii zagranicznej.

Lata wojny i nieszczęścia, jakie dotknęły Polskę i Polaków, wpłynęły kapitalnie na pogłębienie zainteresowania się sprawą polską przez szersze masy Polonii i zwiększyły względnie uintensywniły potencjał sympatii i poczucie wspólnoty kulturalnej i narodowej. W tym stanie rzeczy atmosfera dla aktywniejszego udziału Polonii w pracy dla dobra sprawy polskiej jest obecnie niewątpliwie korzystniejsza. Kanonami tego udziału pozostają jednakowoż te same dwie zasady, nienaruszalności własnego życia Polonii i skoncentrowania jej roli do obrony zasadniczego dobra sprawy polskiej, pojętej jako całości, bez zróżniczkowań społecznych i politycznych.

Przykład stosunku Polonii do tak zwanej idei zjednoczenia może stanowić dobry sprawdzian rzeczywistości tych uwag. Póki mogło się wydawać, że zanosi się na stworzenie takiego układu rzeczy, który by, zachowując koncepcję ciągłości państwowej, umożliwiał zbliżony (choćby z daleka) do wzorów demokratycznych udział ogółu w procesie „rządzenia", póty stosunek Polonii do tej idei był jak najchętniejszy i nacechowany gotowością do poparcia. Gdy się jednak okazało, że miejsce hasła, mogącego w oczach Polonii reprezentować całość dobra sprawy polskiej, zajęły apele ugrupowań, które znalazły się z sobą w konflikcie, stosunek Polonii, automatycznie niemal i bez nastawiania z niczyjej strony, cofnął się do postawy wyczekującej.

Uchwały szeregu polonijnych organizacji centralnych na najważniejszych terenach, sformalizowały to stanowisko, stwierdzając, że Polonia nie może, nie chce i w interesie sprawy polskiej — nie powinna, być stroną w konfliktach wewnętrznych i nie pozwoli, trafnym instynktem wiedziona, na roz-

szczepianie swego uczucia dla Polski jako całości, na węższe tory różnic politycznych, czy zgoła personalnych.

Tak więc w obecnej chwili, jak już poprzednio zauważyliśmy, zarysowała się z jednej strony atmosfera sprzyjająca aktywniejszemu włączeniu się Polonii w nurt pracy dla sprawy polskiej, z drugiej strony obecna sytuacja narzuciła Polonii, wbrew jej najlepszym chęciom, bierność i wyczekiwanie.

Jasne jest, że stan taki za długo trwać nie może!

Tadeusz BRZEZIŃSKI
Montreal, 1 lutego 1956.

Pierwszy portret Ziuka

Kiedyś, grzebiąc w papierach Instytutu Badań Najnowszej Historii Polski w Warszawie — zniszczonych przez bombę we wrześniu roku 1939 — trafiłem na list Sulkiewicza do Jodki. Sulkiewicz nie posiadał się z zachwytu. Jak wspaniale „Nego" — pisał — odmalował postać Ziuka ! Po prostu jak żywy ! (nie mam notatki, więc cytuję tylko z pamięci). „Nego" — Gustaw Daniłowski, ogłosił właśnie pierwszą większą powieść „Z minionych dni". Wzbudziła ona zachwyt w kołach młodzieży. A bohaterem jej był konspirator — niepodległościowy socjalista — Wiktor.

Czytałem ją we Lwowie jako sztubak. A potem gadaliśmy o losach Wiktora, o przeżyciach jego żony, której w chwili największej rozpaczy widok rozkładającego się psiego ścierwa narzuca nagle niepowrotną nicość śmierci. Gadaliśmy o owym doktorze Postańskim, weteranie powstań i rewolucji, z blizną po ranie zadanej mu na barykadzie komuny. O tym tajemniczym starcu, co wrócił po stracie wszelkiej nadziei, wydzielił z posiadłości kawałek ziemi — tyle co by mu z równego podziału przypadło — i żył z pracy własnych rąk. Nie chciał korzystać z wyzysku ni z przywilejów posiadania. Ileż w tym było z Tołstoja !

Oczywiście, że tylko śród wtajemniczonych wiedziano, kto posłużył za model na bohatera powieści. Do tych wtajemniczonych należałem i ja — ze względów rodzinnych. Wiedziałem również tak samo jak Daniłowski, że w życiu podziemnym Piłsudski nosił pseudonim „Wiktor".



„Nego" siedział wtedy w Krakowie. Chadzał w straszliwie wytartym, a jeszcze bardziej wyplamionym mundurze rosyjskie-

---

Materiały zamieszczane w tym dziale drukowane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

go studenta. Wątły, jakiś połamany, o piersi zapadłej; o głowie niby z deski wypiłowanej. Zdawał się mieć tylko sam profil o wydatnych, zmysłowych ustach, przykrytych ciemnym, rzadkim zarostem. Wodził sennym wzrokiem po kamienicach, latarniach — z rzadka po ludziach — jakby szukał czegoś w roztargnieniu. Oto — już coś pochwycił — ożywił się nieco i — zgubił. Bez żalu. Aż znalazł coś innego. Wpatrywał się na plantach w jakiś liść, jakby badał jego pochylenie. Patrzył długo, z wysiłkiem. Chwytał jedno po drugim migawkowe zdjęcia tego liścia i odrzucał z niechęcią wszystko, co było niedoskonałe, co okradało go z blasku lub barwy. Potem, śród tego, co zostało w pamięci, przebierał, układał ciągłość. Może zgadywał znaczenie. I szedł dalej — rozpamiętując.

Czasem wlazł do kawiarni. Podchodził do znajomych, podawał rękę zimną, zwiotczałą i siadał. Słuchał rozmowy, wodząc oczami po sali, po smugach dymu. Słuchał. I znów poszukiwał — czego? Może odpowiedzi na jakieś pytania, których chyba sam jeszcze nie ułożył. A gdy ułowił coś, nagle wstawał i tak samo obojętnie jak przyszedł — odchodził. Tylko jakby z pośpiechem. Unosił to na wędrówkę po plantach, albo do domu.

Aż spotkał Ziuka...



A o Ziuku głośno było w Polsce podówczas. Przed rokiem mniej więcej został on aresztowany w Łodzi. W jego mieszkaniu żandarmeria zupełnie niespodzianie wykryła nielegalną drukarnię, na której od lat odbijano ,,Robotnika''. Ustanowił on rekord, mówiąc językiem sportowym, zupełnie niebywały. Ukazywał się mniej więcej regularnie i osiągnął liczbę 35 numerów. Dotąd nigdy żadne pismo nielegalne nie zdołało przetrwać poza 12 numerów. Sprowadzało to gromy z Petersburga na organy policji w Kongresówce, która nie mogła trafić na ślad wydawnictwa, którego najstraszniejszym wrogiem była może nie tyle ,,Ochrana'', co najpospolitsza nędza, chroniczny brak środków. Józef Piłsudski pracował nieraz o głodzie, bez zimowego ubrania. A kupienie potrzebnego papieru, czy farby drukarskiej — to była sprawa zbierania, pożyczania, naciągania, wyjazdów nieraz aż do Petersburga. A kilkaset rubli na pedałówkę, na czcionki — to już było prawie coś nad-możliwego, dla czego trzeba się było odwoływać i do Dłuskiego w Zakopanem i do pani Skłodowskiej-Curie w Paryżu i do banku Liliena we Lwowie, do mecenasów i inżynierów... Było ich trochę w Polsce, ale nie zawsze znajomości konspiratorów tam docierały.

A ów ,,Robotnik'' ówczesny — pożal się Boże! Świstek, na który dziś trudno patrzeć bez politowania. Ot — kilka stroniczek szarego, lichego papieru. A przecież o tym świstku wiedziano szeroko. Wiedziała o nim nie tylko ,,ochrana''.



Pierwszy raz ujrzałem „Robotnika" nie w Warszawie, nie we Lwowie — ale na głuchej wsi w gubernii Twerskiej Miałem wtedy lat osiem czy dziewięć. Pamiętam jak Ojciec siedział przy biurku, cośkolwiek bokiem i trzymał w ręku jakieś niepozorne kartki. Podszedłem i odcyfrowałem na głos półkolem wybity tytuł: „R O B O T N I K". Ojciec odłożył pismo, pociągnął mnie ku sobie i powiedział bardzo poważnie, że o istnieniu tego papierka nikt nie powinien wiedzieć. Nikt! To musi pozostać tajemnicą. Za taki papierek można być wysłany na Sybir. I w jednej chwili zrozumiałem — nie, nie zasady socjalizmu, ani program PPS — nie, tylko fakt, mus, konieczność udziału w jakiejś tajemnicy. Udział ten spadał jako przeznaczenie, obowiązek. Zaszczytny? Nie, to przyszło o wiele później.

Fakt ten utkwił mi w pamięci. Po kilku latach, gdy już dobrze wiedziałem, co to jest ów „Robotnik", pytałem Ojca, w jaki sposób tam, w tym Pokrowskim, odległym od najbliższej stacji kolejowej o kilometrów blisko siedemdziesiąt, zdołał otrzymywać tę nielegalszczyznę? Dowiedziałem się, że przysyłali ją z Warszawy Jan Ludwik Popławski lub Mieczysław Brzeziński. Obaj byli mi już tam, w Pokrowskim znani. Jeden napisał książeczkę „Z dziedziny przyrody i przemysłu", w której rozczytywałem się z zapałem. Popławski zaś był autorem książki o jakichś „dzikich i nagich narodach" tak pełnej współczucia dla ich krzywdy, tak przejmującej, zwłaszcza w opowiadaniu o tępieniu Australczyków i Tasmańczyków, że od razu i bez reszty pozyskał mnie do obozu antykolonialistów.

◆

Tajemnica była nakazana. A jednak... jednak widziałem, jak Ojciec pokazywał z dumą ten świstek sąsiadowi i kuzynowi Pulikowskiemu, który piastował stanowisko ziemskiego naczelnika. Pokazywał oczywiście i memu Dziadkowi. A potem wynurzył się ów „Robotnik", gdy do dziadka w odwiedziny przyjechał prezes sądu gubernialnego — Raczkiewicz, ojciec późniejszego Prezydenta Rzplitej. Ten wysoki, bardzo przystojny pan brał do ręki egzemplarz z jakimś dziwnym wzruszeniem. I więcej, pokazywał go Dziadek w czasie gorącego sporu jeszcze komuś innemu, wicemarszałkowi szlachty gubernialnej, Azanczewskiemu, późniejszemu gubernatorowi Irkucka. Azanczewski, „retrograd", „mrakobiesiec" — był nieomal przerażony:

— Ale skąd że pan to ma, ekscelencjo? — pytał zaskoczony.

Dziadek nasrożył się. Aż mu się długa, biała broda najeżyła:

— A wam kakoje dieło? — warknął, patrząc w oczy gościa.

Tamten się zmieszał — poczerwieniał. Począł przepraszać...

Wiele czasu ubiegło zanim zrozumiałem treść owej sceny. Azanczewskij był oczywiście z natury wrogiem wszelkiej niele-

gałszczyzny. Ale owo „co panu do tego?" zdawało się podsuwać mu coś w rodzaju myśli o donosie. Nie! tego by nie popełnił!

Mniejsza o niego. Przytaczam to wszystko, by dać pojęcie o zasięgu tego „świstka", o tym, jak wieść o nim rozchodziła się nie tylko w Polsce. Jak stawał się on argumentem hen, daleko na Wschodzie. Argumentem, dowodem tego, że istnieją jakieś siły podziemne, których nie mogą poskromić ani milionowa armia, ani nieprzeliczone zastępy biurokracji.

Czym było trzydzieści pięć numerów „Robotnika" czuło społeczeństwo ówczesne. Ale fakt, że w miesiąc po aresztowaniu Ziuka „Robotnik" znów się ukazał — stało się po prostu wstrząsem. A w rok po aresztowaniu Piłsudski ucieka! Partia zdołała zorganizować ucieczkę z samej stolicy carów, z Petersburga. Nie dziw, że Gustaw Daniłowski wpatrywał się teraz w Ziuka nieco inaczej niż w pochylenie liścia kasztanu na plantach.



Po ucieczce zjawił się Ziuk we Lwowie. Prawie jednocześnie przyjechali tam dr Władysław Mazurkiewicz, ów lekarz-psychiatra, który wyprowadził go ze szpitala (nie osobiście), i organizator całej akcji, istny geniusz konspiracji, Michał Sulkiewicz. Piłsudski zamieszkał u Jodki.

Oto parę słów o Jodce.

Witold Jodko-Narkiewicz nie jest należycie oceniony. Był to inicjator naprawdę dużej miary. W rozwoju ideologii PPSowskiej odegrał rolę o wiele poważniejszą, niż wynikałoby to z ogłoszonych dotąd opracowań. Złożyło się na to wiele przyczyn, których nie czas tu rozważać. Piszę o „Jowiszu" takim, jakim był wtedy. A wtedy już myśl jego wybiegała może dalej, niż któregokolwiek z działaczy pepesowskich. On szukał nie tylko teoretycznych rozwiązań, ale naprawdę usiłował znaleźć dla Polski miejsce w ówczesnych warunkach politycznych. On to popychał Gumplowicza w kierunku badań geograficzno-gospodarczych. On podsuwał Leonowi Wasilewskiemu materiały do oceny sił narodów uciemiężonych przez Rosję, usiłował nawiązać stosunki z ich przedstawicielami. On pobudził młodego dra Michała Wyrostka do studiów nad federalizmem szwajcarskim, w którym widział wiele rzeczy przydatnych dla konstytucji Rzeczypospolitej. On z drugiej strony wyciągał od Józefa Uziembły, i innych, wspomnienia o początkach ruchu socjalistycznego w Polsce. U niego później powstają plany organizacji wojskowej. Pod jego to wpływem Ignacy Sadowski i Marian Kukiel tworzyć poczną wkrótce pierwszy zalążek kształcenia militarnego młodzieży w spisku „Nieprzejednanych", z którego wyłoniły się kółka milicyjne i Związek Walki Czynnej. Jodko próbował i innych rzeczy.

Pamiętam, jak tuż przed maturą, zaprosił mię kiedyś do

siebie. Zastrzegłszy najgłębszą tajemnicę, zaproponował mi wstąpienie do szkoły wojskowej w Wiedniu. Musimy mieć sztab fachowców — dowodził. — Sami ich nie wykształcimy. Samouctwo nie wystarczy. Nie ukrywał niebezpieczeństwa. Nie ukrywał, że na lata całe trzeba będzie zerwać stosunki z całym środowiskiem, wyrzec się zainteresowań. Słabość — to wykolejenie. Nieostrożność — to skręcić kark. A kariera — może ześwinić. „A jeżeli pójdziecie, to musicie robić karierę..." Nie zdecydowałem się na ten walenrodyzm...



Jodko zajmował piękne mieszkanie przy ulicy Mickiewicza. Przed jego oknami kołysały się potężne konary drzew Jezuickiego Ogrodu. Siedział majestatycznie w głębokim fotelu na tle piętrzących się półek z książkami — młody, szatyn z miedzianym odcieniem, o głowie filozofa, ozdobionej wspaniałą brodą, spadającą mu do pół piersi. Była pewna dysharmonia między tą głową o mocno sklepionym czole i władczym wyrazie twarzy — a wątłą postacią, za drobną jak na Jowisza. Przyjmował gości w bibliotece. Czasem przerywała rozmowę mała, śliczna Marysia, wbiegając, aby szepnąć coś Tatusiowi na ucho. Strzygła figlarnie oczkami w kierunku przybysza. Nieraz weszła i zabawiła dłużej pani Maria Jodkowa, o posągowej urodzie Junony, o niskim kontralto, który grał dzwonem głębokim, wymierzony, opanowany w najobojętniejszej nawet rozmowie.

Nieraz trzeba było wstąpić do Jodki. Jego wspaniała biblioteka stanowiła niewyczerpaną kopalnię; były w niej dzieła w kilku językach, były i wydawnictwa stuleci minionych, i białe kruki ze zbiorów rodzinnych i inne, odnalezione w antykwarni Igla lub u bukinistów nadsekwańskich. Były materiały dotyczące naszej wielkiej emigracji (temat doktorskiej pracy Jodki) i przesławnej Komisji Edukacyjnej. Jodko spoglądał na swoje półki i kiedy trzeba było, wyciągał jakiś tom czy broszurę, albo i rocznik oprawny.

Jodko był wtedy, powiedzmy, czymś w rodzaju ambasadora PPS we Lwowie. Usiłował zdobyć obywatelstwo austriackie — kupił nawet dla tego jakąś kamieniczkę, Na Bajkach, by mieć taki sobie spokojny tytulik „właściciela realności". Właśnie dla tego nie afiszował się. A sytuacja jego bynajmniej nie była łatwa.

PPSD galicyjska po szeregu dotkliwych klęsk poniesionych na polu konspiracji, zdecydowała oprzeć ruch na podstawach legalnych, wykorzystując możliwości, jakie otwierała konstytucja. Rozpoczęła się organizacja związków zawodowych i na ich gruncie prowadzono pracę agitacyjną i oświatowo-kulturalną. W praktyce jednak, jak świadczy w swych pamiętnikach Ignacy Daszyński, robota ta sprowadzała się do „załatwiania spraw" nielicznych stosunkowo, proletariuszy lwowskich. Znaczna ich część przybywała ze wsi — zahukana, wygłodzona, nie umieją-

ca poradzić sobie ani z umową o pracę, ani z ustaleniem komornego. Błąkali się ci ludzie w labiryncie ,,wielkomiejskiego'' życia lwowskiego — obcego, a więc wrogiego. Pracowali przy budowach, w cegielniach, w drobnych fabryczkach ledwie zasługujących na tę nazwę. Związki ich, dopiero wyrabiały sobie pierwszych przywódców, którzy wciągali do wspólnej organizacji krawców, rękawiczników, czy kapeluszników, zatrudnionych w dziesiątkach pracowni. A każda z nich stanowiła osobny świat — patriarchalnego wyzysku, zależny od majstra-kacyka. Niedorozwinięty przemysł — niedorozwinięci ludzie. A jakżeż to szybko dojrzewało! Ale nie wybiegajmy naprzód.

Ciężko było sklecić organizację i strzec ją przed niechętną władzą. Najpopularniejsi jej przedstawiciele jak Hudec, Kozakiewicz spoglądali z pewną podejrzliwością na konspiratorów z Królestwa, co gotowi byli zaszczepić tu jakieś tamtejsze spiskowe metody. Herman Diamand, człowiek o szerszych horyzontach, jeszcze studiował i ważył szale. Wschodziła nowa gwiazda, istotnie świetna. Był nią młody architekt, Kazimierz Mokłowski, który wystąpił właśnie z rewelacyjną książką o sztuce ludowej. Ogromny materiał zachwycał bogactwem i logiką doboru. Doskonały mówca, umiał porywać i w wykładach z własnej dziedziny i na wiecach, gdzie jego dzwoniący tenor pokrywał zgiełk ulicznego ruchu. Niestety, powaliła go gruźlica kości. Stracił nogę, którą musiano mu amputować. W parę lat potem choroba wróciła. Piękny ten człowiek, artysta, uczony, polityk, zmarł tuż po wyłamaniu bram u gmachu sławy. Był to wielki cios dla Jodki.

Na innych polach usiłowania jego dały jednak wyniki zupełnie konkretne. Zdołał przeniknąć w koła młodzieży uniwersyteckiej, przede wszystkim zakordonowej. Z jego to inicjatywy kółko gromadzące się wokoło braci Siedleckich (Ludwika, późniejszego głośnego pisarza ukraińskiego i Stanisława, senatora Rzplitej) rozpoczęło wydawnictwo miesięcznika młodzieży postępowej ,,Promień''. Skupiła się spora gromadka, a więc bracia Wieleżyńscy, Aleksander i Marian, Stanisław Kachnikiewicz, Leon Weinfeld i inni. Jodko zdołał ściągnąć na redaktora Feliksa Perla. ,,Promień'' odegrał bardzo poważną rolę w rozwoju myśli niepodległościowej.

Po roku 1900-ym sytuacja Jodki stała się mimo wszystko jeszcze trudniejsza. Secesja SDKPiL z Różą Luxenburg zachwiała poważnie organizacją PPS w zaborze pruskim, zdecydowała bowiem o zerwaniu z Socjalną Demokracją niemiecką. Wprowadziła ona rozdwojenie i w marksistowskie koła młodzieży. Druga secesja, Ludwika Kulczyckiego, który powołał do życia ,,PPS Proletariat'' pociągnęła znaczną grupę zwolenników metody terroru politycznego. Rozłamy te odbiły się i w Galicji, a Zygmunt Żuławski, który wyrabiał się na poważnego przywódcę związków zawodowych, począł skupiać coraz znaczniejsze siły przeciwników polityki niepodległościowej. A przecie

w tym właśnie okresie odchodzili w różnych kierunkach i inni ludzie, utalentowani istotnie, w których młody ruch socjalistyczny pokładał duże nadzieje.

Ludwik Krzywicki coraz bardziej pogrążał się w studiach naukowych. Za nim, na innych polach, szli Stanisław Brzozowski i Edward Abramowski.

Jan Kasprowicz i Stanisław Przybyszewski porzucili politykę i odeszli do literatury, musieli starać się o szersze łamy. Władysław Studnicki i Stanisław Grabski poszukiwali innych dróg politycznych i skłaniali się coraz bardziej na prawo, ku nacjonalizmowi.

O tym wszystkim wiedziano, a Jodko wbrew temu dowodził, że PPS rośnie, że ma prawo reprezentować ruch robotniczy w Królestwie. Powoływał się na stałe wydawnictwo „Przedświtu" i „Światła"... w Londynie, no i na „Robotnika". To było zjawisko istotnie jedyne.

Na gruncie lwowskim najbliższym może sprzymierzeńcem, bezwzględnie chyba oddanym, był Mikołaj Hankiewicz, Ukrainiec, Rusin, jak wtedy mówiono, i jak on sam siebie nazywał. Głęboki patriota ukraiński, jeden z założycieli ukraińskiej socjalnej demokracji, mówca obdarzony pięknym, pełnobrzmiącym barytonem, Hankiewicz był przesiąknięty kulturą polską a solidarność polsko-ukraińska stanowiła dlań nie tylko akt wiary, ale najserdeczniejsze umiłowanie.

A po przeciwnej stronie? Jan Ludwik Popławski coraz mocniej krystalizował w swym „Przeglądzie Wszechpolskim" ideologię nacjonalistyczną. Balicki już ma gotową pracę o „Egoizmie narodowym". Wysuwa się Roman Dmowski z „Myślami nowoczesnego Polaka". Za nimi stoi przepyszny odłam romantyzmu przemysłowego Stanisława Szczepanowskiego. Jednocześnie Bolesław Wysłouch obejmuje ostatecznie „Kurier Lwowski", organ o dużym wpływie. Po paru latach pocznie z nim skutecznie rywalizować „Słowo Polskie".

◆

Jodko nie miał tych środków. Zdołał on jednak przeniknąć (bez trudu zresztą) do różnych ośrodków życia towarzyskiego — między innymi do „salonu" państwa Poznańskich, który odegrał pewną rolę w kształtowaniu się opinii lwowskiej.

Zygmunt Poznański ze względów politycznych — bliżej ich nie znam — opuścił zabór rosyjski, zdołał naturalizować się we Lwowie i urządzić znośnie w administracji Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. Dawało mu to szerokie stosunki w świecie wydawniczym i literacko-naukowym. Jego żona, pani Zofia z Kodziów, była osobą kulturalną, oczytaną. Przyjaźniła się z panią Marią Wysłouchową i pisywała zarówno do jej ‚Zorzy", pisma dla kobiet wiejskich, jak i do „Tygodnia", literackiego dodatku „Kuriera Lwowskiego". Sonety jej brzmiały łagodnym, gładkim tonem pozytywistycznej eklektyki i wywoływały z wie-

łu stron poklask. Wysoko stawiała je i Maria Konopnicka, która, gdy przyjeżdżała do Lwowa, zatrzymywała się zawsze w gościnnym domu pp. Poznańskich.

Otóż, jak się rzekło, pani Zofia otworzyła coś w rodzaju salonu, zrazu przy ulicy Zyblikiewicza, potem przy Mochnackiego. Na wtorkowych przyjęciach bywało tam sporo ludzi interesujących. Przychodził Wysłouch z żoną, i Jan Ludwik Popławski, poważny, milczący pan również z żoną i córką Janką. Ta wraz ze swym bratem Witkiem należała już do młodzieżowego towarzystwa. Stałym gościem był ostatni z żyjących członków Rządu Narodowego za czasów powstania — Bronisław Szwarce z córkami Manią i Andzią oraz synem, Józkiem. A to był już ktoś z prawdziwą przeszłością. Wysoki, prosty o mocno posiwiałej brodzie i dziarskim, dobrym spojrzeniu, nosił zawsze czarną czamarę, spiętą koralem pod szyją.

Po powrocie z Sybiru Szwarce dostał we Lwowie posadkę w monopolu solnym. Pracował jako podrzędny urzędniczyna. Zarabiał mało. Podnajmował pokoik u kolegi-powstańca, Czaplickiego. Tam Józek Szwarce odrabiał łacinę, a Ojciec pisał wspomnienia, w których lśniły najwspanialsze klejnoty humoru. Zajmował się też numizmatyką i z pasją odrysowywał jakieś znaleziska. Córki wychowywały się w klasztorze i tylko na wakacje lub święta opuszczały internat. Opiekowała się nimi wtedy pani Poznańska.

Bywał tam również i profesor Benedykt Dybowski — stary Sybirak, zupełnie już siwy podówczas. Niemały dorobek naukowy przywiózł on ze swego wygnania. Charakter miał kryształowy, umysł żywy, nigdy nie spoczywający. Dla młodzieży, która go znała, był wyrocznią moralną.

Ale cóż robić? Czasem śmiesznostki przeplatają najwznioślejszy patos. Profesor przestał bywać w tym domu. A oto przyczyny: Był on zagorzałym antyalkoholikiem. Sam zbyt wiele miał roboty naukowej i pedagogicznej, by bezpośrednio podejmować akcję organizacyjną. Wyszukał więc pomocnika w osobie Kazimierza Giedroycia, człowieka o średniej inteligencji, ojca dwóch synów, którzy odznaczali się naprawdę niedźwiedzią siłą fizyczną. Jeden potem wyjechał jako atleta do Ameryki i zrobił tam pewną karierę. Otóż ów Giedroyć założył stowarzyszenie wstrzemięźliwości pod nazwą, wybraną przez Profesora: „Eleuteria" i rozesłał zaproszenia do zapisywania się na członków do bardziej znanych obywateli miasta Lwowa. Miał nieostrożność wystosować tego rodzaju pismo (odręczne, bo maszyn wtedy nie było) — do Kasprowicza. Ten przyjął to jako kapitalny dowcip — włożył list do kieszeni i demonstrował go coraz przy kieliszku. A spotkawszy słynnego fabrykanta wódek Baczewskiego,, zaproponował mu, by najnowszy gatunek swej żytniówki nazwał właśnie „Eleuteria". — Musimy spopularyzować rzecz — dowodził filozoficznie. Wniosek poparł obecny przy tym Bronisław Szwarce, który za kołnierz nigdy nie wylewał.

Baczewski propozycję przyjął z entuzjazmem i niebawem w „Kurierze Lwowskim", to jest właśnie tam, gdzie umieszczała swe komunikaty „Eleuteria", ukazało się ogłoszenie o żytniówce tej samej nazwy. Bomba pękła.

Dybowski tak się rozgniewał, że chciał napisać oświadczenie. Wyperswadował mu to Wysłouch. Ale Profesor oświadczył kategorycznie, że noga jego nie postanie tam, gdzie bywa Kasprowicz. Oczywiście zmartwiło to mocno oboje państwa Poznańskich — ale nic poradzić nie mogli. Zresztą Kasprowicz był tak nieocenionym gawędziarzem, tyle wnosił serdecznego humoru ! A do tego sięgał już szczytu swej sławy. W „Towarzystwie Literackim" na jednym z wieczorów odczytano jego „Salome", która wywarła olbrzymie wrażenie. W Uniwersytecie Ludowym deklamacja Adwentowicza „Święty Boże" urzekała zebraną publiczność. Gdy zapowiedziano powtórzenie — miejsca już na tydzień naprzód zostały wykupione.

Salon państwa Poznańskich gościł i innych ludzi. Tu spotkał młody Władysław Orkan tłumaczkę swych Komorników i Juzyny na język rosyjski, panią dr. Katarzynę Uziemblinę. Tu ukazywali się przyjezdni z zagranicy — Björnson z Danii, prof. Kariejew z Rosji i sporo innych.

Mówiono tu o „Młodej Polsce", oczywiście z wielkimi zastrzeżeniami, bo Kasprowicz wyrażał się o kawiarniach krakowskich z najbardziej szyderczym przekąsem. Jego żona — Hanka — o olbrzymich błękitnych oczach, przysłuchiwała się temu z melancholijnym uśmiechem. Jej świeży, jasny głos budził jednak żywsze echo raczej wtedy, gdy nie podnosił się w obronie „Życia". Bo gdy dotknęła tego przedmiotu spotykała się protestem pozytywistycznie nastrojonej większości, a Orkan z wyraźnym szyderstwem powtarzał, że stolik p. Przybyszewskiego u Michalika na losach literatury polskiej nie zaważy. Niezrozumiałej histerii warszawianek przypisywano powodzenie „Złotego Runa". Sporo uwagi poświęcano za to Bernsteinowi i jego rewizjonistycznym zapędom. Z zachwytem omawiano genialne poczynania w teatrze Tadeusza Pawlikowskiego, który urastał w tych rozmowach do rozmiarów tytana-reformatora. Entuzjazm wywoływały badania Jana Gwalberta Pawlikowskiego nad Słowackim. Zachwycano się poza tym głosami Myszugi, Korolewiczówny, Bandrowskiego, Kruszelnickiej no — i grą Chmielińskiego oraz Solskiego.

Pani Wysłouchowa obnosiła oczywiście wszędzie postacie posłów ludowych Bojki i Stapińskiego. To było coś nowego.



Właśnie w tę atmosferę uderza wieść o ucieczce Piłsudskiego.

Opinia publiczna została wstrząśnięta. I „Naprzód" socjalistyczny i konserwatywny „Czas" w Krakowie, i „Kurier Lwowski", i „Słowo Polskie" podały na ten temat obszerne

wiadomości. Poświęcił temu uwagę i miesięcznik „Przegląd Wszechpolski". Prasa demokratyczna i konserwatywna — wszystko przypominało, że Piłsudski redagował od lat podziemnego „Robotnika", że ucieczka jego to dowód zdumiewającej sprawności organizacji. Sprawę otoczyła aureola legendy, aureola powszechnego podziwu. Jak zaznaczyłem zjechali do Lwowa Michał Sulkiewicz, właściwy organizator akcji i dr Władysław Mazurkiewicz, jej wykonawca — czarujący mężczyzna — człowiek z którego każdego słowa, każdego spojrzenia płynęła istotna głęboka, mądra dobroć. Zamieszkał on na pewien czas u nas. Niebawem był już i sam Józef Piłsudski — Ziuk, i pani Maria Piłsudska. Mówiono, że jest zmęczony, wymizerowany. Stanął u Jodki. Ojciec, który tam go poznał, był po prostu zachwycony żywością, wspaniałym humorem tego człowieka. Ale jednocześnie wyrażał poważne obawy, co do jego zdrowia. Więzienie — a potem udawanie obłąkania... To straszliwie wyczerpało nerwy. Ziuk nieraz po dłuższej rozmowie opadał z sił. Oczy mu zapadały, twarz się wydłużała, i nagle wstawał osowiały i odchodził, jakimś dziwnym, nieomal chwiejnym krokiem. Były momenty, kiedy tracił panowanie nad sobą, popadał w zdenerwowanie, ale do jakichś drastycznych objawów nie dochodziło. Zdarzało się to zresztą tylko w domu przy ulicy Kraszewskiego, gdzie bywało bardzo szczupłe grono.

Tak czy inaczej Jodko decyduje pokazać owego Piłsudskiego właśnie u państwa Poznańskich. Pokazać ten atut — tego człowieka, który naprawdę obok inteligencji, otaczającej go już legendy, reprezentował i ogromne zalety towarzyskie — jest nieporównanym *causeur*'em, osobistością naprawdę o niepospolitym uroku.



Lato już nadciągało. Wtorki zimowe mniej dopisywały. Na szczęście państwo Poznańscy mieli willę z ogrodem w Brzuchowicach, po lewej stronie toru, a więc w lesie, tuż naprzeciw szerokiej dukty, która niby wspaniała aleja uciekała w dal sprzed ich okien. Niedzielna wycieczka tam, to coś niby piknik, na który zamówionymi powozami zjadą państwo Piłsudscy z Jodką, Józefem Uziembłą i kilkoma innymi osobami. Reszta zaś towarzystwa — jak kto chce — spacerkiem lub koleją. Powrót zapewniony, połączenie kolejowe wygodne aż do późnych godzin wieczornych.

Kilka powozów wyruszyło — hen, ku Jabłonowskiej rogatce i dalej. Już wieś. Krzyżują się dowcipy, obsady powozów przerzucają wykrzykniki i zdania. Pani Maria Piłsudska rozpoczyna śpiew:

Którędy Jasiu, którędy Jasiu
Pojedzies — pojedzies...

Głos świeży, mocny zadzwonił. A z drugiej dorożki już Ziuk odpowiada:

Cy bez dolinę, cy bez wirzbinę,
Cy bez wieś, cy bez wieś...

Ale reszta jakoś nie śpiewająca. To wszystko nie są urodzone lwowiaki, których ledwie garstka się zbierze a już chór gotowy. To ludzie z różnych stron... Ale, że pani Maria Piłsudska się tak łatwo nie podda. Nie chcecie — to ja sama! I sama coraz nową śpiewkę zaczyna — przy pomocy męża. Poczęła ona już wtedy nieco przybierać na wadze. Duża, hoża, rumiana o niewyczerpanym zasobie wesołości i humoru chciałaby brać w jassyr całe towarzystwo — choć żartobliwy pseudonim PP bez S, czyli skrót : Piękna Pani już raczej mówił o przeszłości.

Na sporej werendzie willi państwa Poznańskich w Brzuchowicach było ludno. Ziuk z tą swoją czupryną najeżoną w kilku kierunkach, w stojącym sztywnym kołnierzyku, nieco może za wysokim, trochę pochylony stoi przy paniach. Opowiada jakieś przygody sybirskie. Mocny akcent wschodni nanosi coś, jakby zapach puszcz litewskich. Jego strój jest taki sobie, zupełnie zwykły, a przecie bije od tej postaci czar wykwintu, który trudno by było umiejscowić. To zespół sharmonizowanej indywidualności, swobodnej i pewnej siebie. Władczej? Raczej nie — tylko opanowującej naprawdę wszystko swoim czarem.

Pan Zygmunt Poznański wygląda na drogę. Przed chwilą łoskot kół oznajmił, że pociąg ze Lwowa już przyszedł. Ha! Już widzi — wzdłuż płotów ścieżką ktoś podąża : „Pan Szwarce!" rzuca dyskretnie. Tak, w furtce ukazuje się postać wysoka, mocna, o długiej, więcej niż szpakowatej brodzie. Gospodarz pokwapił się na spotkanie. Ziuk przeprasza panie i śpieszy za nim. Wraz z panem Bronisławem przyjechał Kasprowicz. O głowę od niego niższy, kwadratowej postawy śmieje się szeroko nad spiczastą bródką. Poznański wita szybko pana Bronisława, uroczyściej niż zwykle, podaje rękę Kasprowiczowi i usuwa się, by przedstawić gościa. Mówi z pewną ostentacją, kładąc nacisk na tytuł :

— Pan redaktor Józef Piłsudski — pan Bronisław Szwarce.

Pan Bronisław wyciąga rękę ruchem szerokim, serdecznym: „Znamy się już, ale wtedy jeszcze nie wiedziałem jaką personę spotykam".

Piłsudski z pewnym pośpiechem, skwapliwie ujmuje podaną dłoń. Jest widocznie wzruszony. Pochyla się w długim, niskim — nieomal poddańczym ukłonie.

Patrzyłem z daleka. W tej chwili uczułem dla tego Ziuka coś więcej niż sympatię, niż podziw. Uczułem jakiś węzeł pokrewieństwa. Ten ukłon głęboki był to hołd wiernego poddanego dla członka władzy, członka rządu Niepodległej Rzeczypospolitej. Piłsudski opromieniony legendą walki schylał się przed tym symbolem, jak przed najistotniejszą rzeczywistością. On wierzył. Ba, on wiedział, że to symbol żyje, że trwa...

Odwróciłem się. Jodko stał w drzwiach werandy. Spoglądał na scenę jakby sprawdzał, czy odbywa się według protokółu. Uśmiechał się z zadowoleniem. I nagle, przypadkowo rzucił wzrok na mnie — niby badał wrażenie i — kiwnął przytakująco z porozumieniem. Dziwna to była rozmowa oczami. A dla mnie olśniewająca, niespodziana. Ba cóż właściwie mogło przyrównać tego dojrzałego, pewnego siebie działacza — ze mną — czwartoklasistą?

A grupa witających się jeszcze stała na ścieżce. Już tam Kasprowicz musiał coś palnąć, bo śmiali się wszyscy przerzucając się jakimiś zdaniami. Piłsudski, Szwarce, Kasprowicz nigdy nie potrzebowali szukać słowa za pazuchą — gadali jeden przez drugiego aż i sam Poznański, człowiek spokojny na ogół, pokładał się ze śmiechu. Wreszcie panie się zbuntowały:

— Panie Bronisławie, zabrał nam pan towarzystwo!

Pani Poznańska, nieco mniejsza od pani Piłsudskiej, nieco szpakowata, popchnęła okno:

— Pan Józef jest niegrzeczny! Opuścił nas. Pozwólcie i nam się pośmiać.

— Kiedy to z kawałów pana Jana! Nie dla pań! — odrzucił ze ścieżki pan Poznański.

Ale pan Józef już wraca. Przy drzwiach puszcza przodem pana Szwarce, prowadzi spór o pierwszeństwo z Kasprowiczem, który ogarnia potężnym ramieniem jego smukłą postać i popycha naprzód. Chwila powitań i Ziuk znowu przy grupie siedzących pań stoi pochylony i poczyna coś opowiadać.

Szwarce podchodzi do Józefa Uziembły, siedzącego w głębi.

— No i cóż, panie Bronisławie?

— Czarodziej! Że czarodziej to czarodziej. Ależ i szlachcic! Takiego jeszcze nie widziałem. Cha-cha!

W tej chwili zbliżył się Kasprowicz. Trząsł ręką Ojca przez chwilę. Śmiał się szeroko:

— Udał się wam ten Piłsudski. Ależ to szlachcic. Panie! Takiego w „Kole polskim" szukać. Chciałem już już powiedzieć: szlachetka, ale to do niego nie pasuje!

Szwarce aż zatoczył się ze śmiechu:

— No, nie mówiłem? Toż właśnie to samo powiedziałem panu Józefowi...

— No, panie Józefie — pochwycił Kasprowicz — bez obrazy. Ale tyle przynajmniej, że dziś nareszcie uda mi się wtreścić w pana kielonek jarzębiaku i to głębszy! Bo za zdrowie takiego bohatera jak ten Piłsudski to i pan nie odmówi.

— Dobrze, już dobrze, ale!.

— Ale nie za szlachcica — drwi Kasprowicz.

A Szwarce też atak podejmuje:

— A co pan sam jesteś? A panu co brakuje? Patrzcie! Zebrali się czerwieńcy, sami najczerwieńsi — a kto? Piłsudski Uziembło, Jodko — na pergaminach siedzą, a nas ot — Kasprowicza i Szwarcego chcą uczyć demokracji!

— My to prawdziwy lud! — rechotał Kasprowicz.

— Lud! lud! a nie ruszyłby się, gdyby do was nie przyszedł Wysłouch.

— Patrzcie go, jak o honor swojego stanu wojuje! — zaśmiewał się Kasprowicz. — Niby to taki i siaki (jak to oni z ruska gadają) a niech no kto powie, że nie są solą ziemi!

— Drugi głębszy będziemy pili za szlachtę — zawyrokował Szwarce.

Gorszyłem się. Wstyd mi było słuchać. A Piłsudski stał dalej, nieco schylony, pochylony. Psuł mi trochę wrażenie jego za wysoki kołnierzyk. Ale przemagała to wszystko wysoka piękna, prawdziwa kultura. A rozmowa tam przybierała jakieś inne tony.

Pani Poznańska rzuciła zdanie, że ten idealizm, który prowadzi człowieka walki, socjalizm w dniu powszednim zamienia na drobne — na sprawy żołądka, polepszenia płac.

— Ale gdzież tam! — żachnęła się pani Piłsudska...

— Te pięć, czy dziesięć kopiejek podwyżki to nie byle co, tego nie można lekceważyć! zaoponował Piłsudski, przerywając żonie.

Jodko siedział spokojnie. Bębnił lekko palcami po poręczy fotela.

— Ale przecie nie wszystko! — opierała się pani Poznańska.

— Ale początek! Początek, początek, proszę pani! — Piłsudski wymawiał proszę, jakby w naciskowej głosce było coś z u. — Początek tego, co się nazywa godnością człowieka!

— Oj, jak pan przesadza!

— Nie! Nie przesadzam. Tylko trzeba wszystko rozłożyć w czasie i w psychice, czy w duszy człowieka. Toż, proszę pani, cała niewola i poniewierka niewoli — to wszystko razem... to nie tylko sama przemoc i przewaga fizyczna przemocy. To poddawanie się tej przemocy, to bierność żyjąca w nas samych. To brak woli oporu! Brak świadomości bojowej. Tam, gdzie gwałt napotyka opór — opór stanowczy, tam słabnie. Jeżeli napotyka tylko na podłe tchórzostwo — rozwielmożnia się!

— Dobrze, ale co do tego mają owe dziesięć kopiejek?

— Proszę pani, proszę mi wierzyć, że zdobycie siłą, solidarnością jednego grosza, daje człowiekowi kawałek ufności — ufności w siebie, w towarzyszy, w solidarność towarzyszy... I to jedno. A drugie — życie w głodzie, chodzenie w łachmanach degraduje człowieka. Spogląda on na innych i wstydzi się. Wstydzi się łachmanów, słabości! Wstydzi się co dzień, co godzinę. Czuje się po ludzku tylko w fabryce albo w szynku, gdzie są tacy sami nędzarze. A kiedy wyjdzie na Piotrkowską lub na Marszałkowską, przemyka się jak zbity pies, bo czuje na sobie te pogardliwe spojrzenia sytych, upasionych, wyelegantowanych. Aby miał godność musi wyglądać tak jak inni. Nie nosić hańbiącego piętna nędzy. Niech pani porówna, jak nosi

się Francuz, Niemiec, a jak Polak. Te pięć kopiejek — to zaprawa bojowa — to początek walki o godność. A póki człowiek nie poczuje, że może o nią walczyć, nie będzie umiał walczyć i będzie wiecznie skazany na chodzenie w łachmanach i brodzenie w bagnie podłoty. A póki my nie zbudzimy poczucia godności w ludziach, to i wy, inteligencja musicie pełzać i przemykać się w tym bagnie niewoli. Bo niewola — to bagno. Te pięć kopiejek — to sprawa i waszej godności! To i wasza zdolność bojowa.

Szwarce patrzał ciekawie na tego młodego człowieka, któremu zapaliły się oczy. Kasprowicz pochylił głowę i szepnął coś z uznaniem Józefowi Uziemble. Jodko w dalszym ciągu bębnił palcami po poręczy fotela, wodząc ukradkiem oczyma po twarzach obecnych.

Takiego to Piłsudskiego ujrzał w parę tygodni potem Gustaw Daniłowski. I znalazł w nim bohatera dla nowej swojej powieści: „Z minionych dni". A oto, jak ten bohater wygląda, w porównaniu ze swoim wyimaginowanym bratem. Cytuję:

Ignacy był znacznie starszy od brata i, gdy się żenił, Wiktor w świeżutkim, studenckim mundurku, zatańcowywał na śmierć jego żonę, którą z punktu przezwał Belladonką.

Pomimo różnicy wieku, usposobienia i temperamentu, bracia kochali się wyjątkowo serdecznie, przy czym refleksyjny flegmatyk, Ignacy, dawał się wodzić za nos młodszemu bratu, który był wcieleniem entuzjazmu i kipiącego życia.

W ogóle nikt w Klonowie nie mógł się oprzeć tej nawałnicy wichru, jaką się stawał Wiktor, gdy chciał kogoś skłonić do czegoś lub do szalonego pomysłu zapalić...

Był jednak okres, w którym stosunek braci nadwerężył się mocno. Już w drugim roku swego pobytu na uniwersytecie, Wiktor w czasie wakacji, zaczął prowadzić z Ignacym zaciekłe dyskusje, które kończyły się rozgoryczeniem stron obu i warzyły humory nieraz na tygodnie. Co gorsza, bracia, skoro ich zbliżyły zabiegi Belci, zaczynali zgodę od prób wyjaśnienia swych racji i — znów grzmiał salonik.

Intuicyjnie czuli obaj, a zwłaszcza Wiktor, że mimo całej różnicy przekonań, przeciwieństwa, zda się, najistotniejszych zasad, w głębi ich duszy są jakieś punkty styczne, jeszcze bardziej istotne ogniwa... Samo jednak poczucie nie wystarczyło... Kochali się bardzo. Starali się wyrwać jeden drugiemu uznanie dla swoich poglądów, rozwikłać sprzeczności, ale w gorączce dyskusji zaostrzały się jedynie ich stanowiska.

Przyszła jednak chwila pojednania. Nastąpiło to wówczas, gdy świeżo przyjęte formuły pojęciowe wrosły w grunt serca Wiktora i, tracąc ostry rysunek płaskich schematów, wypełniły się żywą krwią uczucia.

Po długiej targaninie obie strony jego ducha — wiedząca i intuicyjna, stopiły się wreszcie w ogień ideowości, w przedziwną, harmonijną, jednolitą całość obdarzoną subtelną władzą przeraźliwie jasnego widzenia. Dalej, Wiktor w obcowaniu z własnymi sprzymierzeńcami... przekonał się, że jedynie z wyżyn abstrakcji mogą oni uchodzić za jakąś historyczną kategorię, powołaną do pełnienia zaszczytnej idealnej misji, a konkretnie jest to zbiorowisko ludzi dobrych i złych, z których jedni gotowi są upomnieć się o swoje dziedzictwo z Bogiem, drudzy mimo Boga.

Był to dlań silny zawód, który skompensowała ta okoliczność, że

z kolei odnajdywał oblicze swego bóstwa nieraz w sercach tych, których usta świadomie przeczyły Jemu — bezwiednie. Więc uczył się rozpoznawać i ocalać te święte rysy w gmatwaninie najfałszywszych rozumowań, wyczuwać je pod nawałem przesądnych wierzeń, spaczonych pojęć; wyławiać z setki logicznych wybiegów; odkrywać pod postaciami zarówno cnót jak i występków i doszedł pod tym względem do zadziwiającej wprawy.

Dla tych powodów i — niektórych innych, Wiktor we własnym kościele uchodził za trochę nieprawowiernego. Doktrynerstwo zarzucało mu pewien „mistycyzm", wyrażając obawy, że jego nazbyt szerokie ujmowanie kwestii może sprowadzić na manowce; ale wszystko to robiło się po cichu — jawnie bowiem nikt nie śmiał wystąpić; zanadto szczerze i donośnie łkało w nim podniosłym głosem serce, wylane na świat, w piersiach huczał Boży gniew. Posiadał on przy tem magiczny wpływ na ludzi, których sobie jednał od pierwszego wejrzenia, wrażając nawet nieprzejednanym wrogom podziw, graniczący niemal z szacunkiem.



Wiktor na długi czas zniknął z domu. Nic nie było o nim wiadomo. I oto przysyła nagle list, w którym między innymi donosi:

„...jestem żonaty i posiadam prawie dwuletniego berbecia, który na pamiątkę twoją otrzymał ogniste imię Ignasia. *De jure* ślub nasz odbył się parę miesięcy temu; *de facto* pobraliśmy się przed trzema laty. Ten stary błąd martwego dogmatyzmu został naprawiony..."

Po przeprowadzeniu korespondencji Wiktor przyjeżdża z ukochaną żoną. Nie, nie przypomina ona w niczym pani Marii Piłsudskiej. Kiedyś w wiele lat potem, Daniłowski rzucił krótkie przyznanie, że modelował panią Marię Jodkową. Jodko nosił pseudonim Ignacego (między innymi). Daniłowski znał panią Marię. Portret ten jednak jest nie do rozpoznania. To raczej jakiś ideał. Nie wpadajmy jednak w plotki nie uzasadnione. Wiktor wrócił. I tu znajdujemy jego rysopis:

„Wiktor przy swoim wzroście wyglądał trochę szczupło, a twarz miał nad wiek starą i jakby steraną. Długie wąsy, spuszczone ku silnie wystającej, szczecinowatej bródce, nadawały jego energicznym rysom wyraz dobroci, a nadto znużenia. Gruba, zarośnięta prosta linia brwi, odcinała sklepione, nisko zarośnięte czoło od zapadłych jam oczu, które były pełne kurzu i wydawały się przez to jeszcze większe, przepaściste i trochę ponure."

Gdy rozmawia z bratem w czasie mycia się, na jakąś jego uwagę odpowiada:

„— Tak, zdarłem się w ostatnich czasach — i począł mydlić długie piszczele grubo związane w łokciach kosmatych rąk, żylastych, pozbawionych tłuszczu kompletnie..."

Wiktora w pracy jego nie widzimy. Zawiłości w charakterystyce tłumaczy w dużym stopniu fakt, że książka musiała prze-

drzeć się przez sieć cenzury, która była surowa, choć idyliczna w stosunku do tego, co dziś obserwujemy.

A losy Wiktora? Po krótkim pobycie u brata wyjechał do swojej roboty podziemnej. Potem przychodzi wieść, że został aresztowany, skazany na zesłanie czy na katorgę. W drodze umiera hen, pod Uralem. Żona jeszcze zdołała go ujrzeć w szpitalu więziennym. Wróciła złamana.

Tak. Bo wówczas, lat temu pięćdziesiąt, los tego, co rzucał się w pracę podziemną był przesądzony. Mógł przez pewien czas wywijać się z rąk szpiegów, żandarmów, ochrany. Ale ostatecznie nie trwało to długo. Więzienia nikt bodaj nie uniknął. Ktoś złapany na czymś poważniejszym miał przed sobą lata katorgi. Daniłowski nie widział swego bohatera w tej sytuacji, nie chciał śledzić procesu gnicia człowieka w tajgach Sybiru. Wybrał dlań śmierć.

Bo przecie zwycięstwo było, zdawałoby się, tak odległe — przewrót tak daleki w tym ustabilizowanym świecie końca dziewiętnastego wieku — że o nim, dla siebie, nie marzyli nawet działacze tamtego pokolenia. Szczyt — dać ,,innym szczebel do sławy grodu''. Zakończenie więc powieści Daniłowskiego odpowiadało najzupełniej duchowi czasu. Inaczej jego Wiktor skończyć nie mógł.

Żona Wiktora popełniła samobójstwo. Nie mogła przeżyć śmierci ukochanego człowieka. Jeśli on zapadł się w nicość — niech ta nicość i ją ogarnie...

A ich synek, ów Ignaś, usłyszał legendę o kwiecie paproci, co uszczęśliwić ma wszystkich ludzi. Więc pójdzie w noc Świętojańską na moczary, by zerwać ten kwiat i przynieść szczęście dla świata. I schłonęła go toń.

Nad grobami pozostał stary Postański, co zamknął się w sobie:

To już pesymizm, który wierszami Stena modlił się: ,,Od życia mego, od myśli mojej, od czucia mego — Wybaw mnie, Panie...''

◆

Ziuk wiedział oczywiście, że to jego portret usiłował namalować Nego w swojej powieści. Nie wiem, jak to przyjął. Opowiadał mi tylko kiedyś Ojciec, że pewnego razu w krakowskiej Secesji rozgadali się o ,,Minionych dniach''. Piłsudski miał wtedy powiedzieć Daniłowskiemu: ,,Tylko nie wiem, czemuście mnie uśmiercili tak prędko. Nie bójcie się, ja wam jeszcze pokażę, że można i bić i żyć. A może — i zwyciężać''.

Piłsudski stawiał przed sobą cele, by je zdobywać osobiście.

Za zdobycie ich brał na siebie odpowiedzialność.

I, sądzę, że to go wyróżniało już wtedy.

Adam UZIEMBŁO

Kronika kulturalna

Historia Reformacji

(Z POWODU STULECIA ZGONU
WALERIANA KRASIŃSKIEGO)

W niespełna miesiąc po śmierci Adama Mickiewicza, dnia 22 grudnia 1855 roku zmarł w Edynburgu przyjaciel jego młodości, dzisiaj zapomniany Walerian Skorobohaty Krasiński.

Urodzony na Białorusi Zadnieprzańskiej koło Homla, należał do protestanckiej (kalwińskiej) gałęzi rodziny Krasińskich (nie mającej żadnych bliższych związków z rodziną Krasińskich herbu Korwin, generałem Wincentym i synem jego, poetą Zygmuntem).

W młodości przez lat parę związany był z Wilnem, później w epoce Królestwa Kongresowego przed powstaniem listopadowym, był czynny w życiu towarzyskim i społecznym Warszawy, gdzie się zasłużył założeniem nader pożytecznie pracującej pierwszej w kraju drukarni stereotypowej.

Po powstaniu osiadł w Wielkiej Brytanii (zrazu w Londynie, później w Edynburgu) i rozwinął niezmiernie ożywioną działalność naukowo-publicystyczną. Był chyba — poza Lachem Szyrmą i paru innymi — najwybitniejszym i najzasłużeńszym w ciągu niemal ćwierćwiecza przedstawicielem nielicznej na terenie brytyjskim polskiej emigracji polistopadowej. Oprócz mnóstwa artykułów w prasie miejscowej, jest autorem około 20 większych i mniejszych dzieł i broszur, osobno wydanych, pisanych z wyjątkiem jednej pozycji, po angielsku i dla publiczności angielskiej przede wszystkim przeznaczonych, przy czym niektóre spośród nich były współcześnie tłumaczone na języki francuski i niemiecki. Ze względu na swój żarliwy protestantyzm, był życzliwie widziany w najliczniejszych w Anglii kołach protestanckich, na ogół uprzedzonych do Polski, w których zyskał wielu szczerych przyjaciół (np. jak lord Dudley Stuart), co zwiększyło poczytność jego pism. Wszakże, poza paru pismami o cha-

rakterze propagandowo-religijnym, utrzymanymi w tonie polemicznym i niechętnym dla katolicyzmu (jak przekład na angielski z oryginału francuskiego traktatu Jana Kalwina o relikwiach, poprzedzony trzykrotnie dłuższym od samego traktatu polemicznym wstępem tłumacza), we wszystkich swoich pismach historyczno-publicystycznych Krasiński, aczkolwiek oświetla fakty historyczne ze stanowiska protestanckiego, stara się utrzymać w ramach bezstronności krytycznej i obiektywizmu naukowego, wszędzie i zawsze występując, jako miłośnik prawdy historycznej i gorący patriota Polak, sprawie polskiej pragnący się przede wszystkim przysłużyć.

Takie cechy nosi też główne dzieło Krasińskiego o „Historii reformacji w Polsce".

Krótki poniższy przegląd tego dzieła wraz z jego oceną, stanowiący urywek z większego, będącego w przygotowaniu studium o Krasińskim, podajemy na tym miejscu w setną rocznicę śmierci tego niewątpliwie zasłużonego Polaka.



Na czele pism *naukowych* Waleriana Krasińskiegn w języku angielskim bezwzględnie postawić należy jego dwutomowe dzieło o dziejach reformacji w Polsce, które nie tylko co do czasu powstania, ale i co do rozmiarów i wagi naukowej jest pierwszą w rzędzie prac historyczno-publicystycznych, wydanych w Anglii.

Ukazała się ona pod tytułem: *„Historical sketch of the rise, progress and decline of the Reformation in Poland and of the influence which the spiritual doctrines have exercised on that country in literary, moral and political respects"*. 2 tomy, Londyn, 1838-1840, in 8; t. I — str. XXXI+415, t. II — str. XXIII+578.

Pracować zaczął Krasiński nad tym dziełem wkrótce po przyjeździe do Anglii, po ogłoszeniu drukiem dokonanego przez siebie przekładu na język angielski znanego romansu z XVI-go wieku „Hipolit Boratyński" niemieckiego autora o polskim nazwisku Aleksandra Bronikowskiego pod zmienionym zresztą tytułem: „Dwór Zygmunta Augusta czyli Polska w XVI wieku" („The Court of Sigismund Augustus or Poland in the sixteenth Century", 1834) (1).

„Zamyślam wydać historię Reformacji w Polsce i Litwie, lecz trzeba mnie będzie znacznych ekstraktów z biblioteki drezdeńskiej" — pisał Krasiński w liście do Odyńca z 28 grudnia 1834 z Londynu do Drezna: „Może bym i ciebie mógł zaprząc do jakiej roboty. Pogadaj... jakie są materiały w bibliotece drezdeńskiej... Czybyś się podjął podobnej pracy?" (2)

---

(1) Po niemiecku rzecz ta ogłoszona była w ll. 1825-26 w Dreźnie, po polsku ukazała się w Warszawie w roku 1828.

(2) List W. Krasińskiego do Odyńca p. „Kronika Rodzinna" 1882, str. 486 i nast.

Nie wiemy, jaka była odpowiedź Odyńca. Wiemy wszakże, iż najbliższe lata Krasiński w całości poświęcił przygotowaniu do druku tego największego dzieła swego; w roku 1838 zajmował się już wyłącznie sprawami wynalezienia środków na wydawnictwo. W tymże roku wydał prospekt już ukończonego dzieła („Prospectus on essey towards the history of Reformation in Poland") oraz starał się o zdobycie względów osób wpływowych i — jak pisał — „nabożnych". Zwracał się do lorda Dudley Stuarta o wyjednanie zasiłku na wydawnictwo w Towarzystwie Literackim Przyjaciół Polski, zabiegał o pomoc i protekcję różnych wpływowych „luminarzy", jak Noel Bublit, lord Lansdown i inni. Jednak — dodawał w liście do Władysława Zamoyskiego — „Staram się szczególnie uniknąć wpaść w podległość osób, trochę zanadto protestanckich, którzy by chcieli nadać dziełu tendencję gwałtowną i mniej polską, jak zamierzam. Moim celem jest Polska, ich zaś protestantyzm. Zrobię przynajmniej, co będzie ode mnie zależało, nim się poddam, dlatego chcę żebyś wiedział o moich działaniach, bo będziesz mógł oddać mnie sprawiedliwość..." (3)

Jakoż dzieło Krasińskiego, choć dzieło gorliwego protestanta, który ocenia zjawiska dziejowe z punktu widzenia protestanckiego i ubolewa nad upadkiem protestantyzmu w Polsce, w czym dopatruje się jednej z przyczyn późniejszego upadku jej, jako państwa, i ostatecznej zagłady w wieku XVIII-ym, — jednak jest owocem pracy przede wszystkim uczonego, sumiennie gromadzącego materiały historyczne, z nich wyciągającego wnioski, — który niczego nie ukrywa i *suum cuique reddere* usiłuje, a którego celem jest, oprócz prawdy naukowej, zawsze i wszędzie *Polska*.

Dla ujęcia sobie angielskiego czytelnika-protestanta, dedykuje swoje dzieło „protestantom Imperium Brytyjskiego oraz Stanów Zjednoczonych Ameryki", podpisując się, jako „polski protestant". Ale już w przedmowie czuje się w obowiązku zaznaczyć z naciskiem, że katolicy rzymscy w Polsce są z pewnością najbardziej liberalni w stosunku do innych wyznań i mniej bigoteryjni, niż wszyscy inni w Europie, podnosi też z uznaniem, iż katolicy polscy, nie tylko świeccy, ale nawet duchowni katoliccy, obstają za równymi prawami dla protestanckich współrodaków. Podkreśla to samo we wstępie w innej publikacji swojej angielskiej „Sketch of the religions history of the Slavonic Nations" (Edynburg 1851), wydanej w roku 1853 po francusku, — mówiąc, że, choć do katolicyzmu, jako protestant, ustosunkowuje się wrogo, jednak przyznaje, iż ma wśród katolików wielu krewnych i przyjaciół, od których w najmniejszym stopniu nigdy ze względu na swe przekonania religijne nie doznał jakiejkolwiek przykrości.

---

(3) Listy W. Krasińskiego do Władysława Zamoyskiego (w liczbie 12): rkps. 5541, Bibl. Czart. w Krakowie.

Dając swój „zarys" reformacji w jej rozkwicie i upadku, nie ogranicza się Krasiński do czasu jej największych triumfów w wieku XVI aż do sprowadzenia jezuitów do Polski (czym się zajmuje w t. I-ym dzieła), ale prowadzi rzecz całą aż do rozbiorów i upadku Polski. Kończy zaś całość dzieła na wstrząsającym opisie rzezi i zdobycia Pragi w roku 1794, kiedy to — jak stwierdza — zginęło wielu broniących ojczyzny dysydentów polskich, zwłaszcza w V-ym pułku pieszym, wraz z komendantem tegoż protestantem Pawłem Grabowskim na czele.

W toku samego dzieła składa niejednokrotnie dowody bezstronnego ujmowania przedmiotu. Oto przykłady:

O kardynale Hozjuszu, jako wrogu reformacji, mówi z wielką niechęcią, ale jednocześnie z wielkim uznaniem dla jego „wybitnych talentów, pobożności i cnót" i podnosi „jego najwyższe zalety, które przynoszą zaszczyt ludzkości" („his highest qualities that honour mankind"). Błędy Hozjusza — według Krasińskiego — były wynikiem powszechnych wówczas poglądów i ducha czasu.

Poruszając słynną „sprawę Świętomichalską" w Wilnie z czasów Władysława IV, bezstronnie stwierdza, że chłopcy dysydenccy istotnie a lekkomyślnie strzelali do obrazu św. Michała na kościele katolickim pp. bernardynek wileńskich („strzelcy archanielscy") i z uznaniem ocenia bezstronność w tej i innej sprawie przeprowadzonego śledztwa i ostatecznego wyroku sądów Rzplitej, które umiały ją zachować pomimo rosnącej „nienawiści wyznaniowej tłumu" (II, 236-7).

Zaznacza, że ugoda kiejdańska Janusza Radziwiłła była dziełem politycznym, nie religijnym, co potwierdza liczny w niej udział wybitnych katolików ówczesnych, działających w tym wypadku pod presją strachu przed gorszym i okrutniejszym od szwedzkiego najazdem moskiewskim. Z radością natomiast i dumą podkreśla opór miast pruskich przeciwko szwedzkiemu najeźdźcy, aczkolwiek miasta te miały w większości ludność protestancką (II, 277-8). Obiektywnie maluje okrucieństwa Szwedów w Polsce, choć nic nie mówi o obronie Częstochowy w roku 1655 i (wbrew prawdzie historycznej) przemilcza ogromne znaczenie moralno-polityczne tego wypadku (II, 279-81). Przedstawia z całą bezstronnością, jak papież Inocenty XI gorzko potępiał i wyrzucał biskupowi Załuskiemu sprawę egzekucji Łyszczyńskiego za ateizm w czasach Sobieskiego (II, 415), chwali też wysoką tolerancję i wyrozumiałość biskupa sufragana wileńskiego Ancuty (za Augusta II).

Rzecz jasna, że, tak jak to czynią wszyscy najwybitniejsi historycy nasi, w surowych wyrazach potępia sprawę toruńską z roku 1724 i tragicznie krwawy jej wyrok, który wywołał takie oburzenie w Europie, „aczkolwiek" — dodaje słusznie — „chyba żaden kraj nie mógłby się chełpić tym, że był wolny od tego rodzaju okropności" („although scarcely any country can boast to have been free from such enormities" — II, 438).

Przechodząc do czasów Stanisława Augusta, z naciskiem powtarza, nie tyle jako historyk, ile jako moralizator i patriota, swoją najsłuszniejszą i dawniej przy innej okazji już wyrażoną opinię, że dysydenci polscy popełnili błąd, zwracając się o pomoc do państw cudzoziemskich i czynników obcych: „that the protestants were wrong in acting as they did; that they ought to have defended their cause by all constitutionel means and rather have suffered every persecution than have sought redress from abroad" (II, 480).

Podziwia Krasiński stałość charakteru („firmness of character") biskupa Kajetana Sołtyka, wskazuje na jego dążenie do porozumienia z protestantami, co jest zgodne z wynikami późniejszych badań źródłowych, na jego umiarkowanie („moderation"), patriotyzm i stwierdza, że jego opozycja w sprawie dysydenckiej, podobnie zresztą jak wielu innych światłych patriotów, miała charakter wyłącznie polityczny (II, 492-3). Oburza się na obłudne machinacje dworów cudzoziemskich, zwłaszcza Rosji (II, 498-99) i jest gorącym obrońcą konfederacji Barskiej, która, pomimo swej w wielu punktach i przedstawicielach krótkowzroczności i „saskości", w istocie swej była jednak walką o niepodległość (II, 532 i 55).

◆

Przegląd treści dzieła Krasińskiego mimo woli nasuwa porównanie jego z pracami innych historyków naszych i obcych, piszących o reformacji w Polsce, jak np. źródłowe opracowanie jej strony politycznej Wincentego Zakrzewskiego „Powstanie i wzrost reformacji w Polsce" (1870) lub rosyjska książka N. Lubowicza „Istoria reformacji w Polsze" (1883). Różni się ono od tych i paru innych prac tym, że — jak widzieliśmy — nie ogranicza się do jej początkowego rozwoju i stanu, lecz obejmuje całokształt zagadnienia na całej przestrzeni dziejów Rzplitej aż do jej upadku.

Uderza przy tym w tym dziele Krasińskiego szerokie podejście naszego autora do przedmiotu, rysem zaś charakterystycznym jego jest żywe i nader barwne przedstawienie rzeczy, unikanie drobiazgów i poprzestawanie na szczegółach najbardziej dosadnych i swoistych. Stąd — wielka przejrzystość jego książki.

Książka ta, jako przeznaczona przede wszystkim dla czytelnika obcego, musiała się liczyć z koniecznością podawania różnych faktów w formie bardziej przystępnej, musiała udzielać (jakby na stronie) wyjaśnień rzeczy, zrozumiałych dla czytelnika polskiego, lecz nie znanych czytelnikowi angielskiemu czy w ogóle obcemu. Stąd też zredukowanie do minimum przypisów do tekstu i nadanie książce charakteru raczej popularnego i podręcznikowego, potraktowanego szkicowo (stąd określenie: „sketch — zarys" w tytule), niż badawczego i odkrywczego.

I było zaprawdę dla sprawy polskiej okolicznością pomyślną, że zapoznania ogółu angielskiego ze zjawiskiem tak ważnym, a jednocześnie złożonym, jak dzieje reformacji u nas, podjął się człowiek, tak jak Krasiński, łączący gruntowną znajomość przedmiotu z miłością prawdy i Polski oraz z szerszym na rzecz poglądem i z wybitnymi zaletami pióra.

Przedstawił on protestanckiemu, uprzedzonemu do nas społeczeństwu bujny rozwój reformacji w Polsce, następnie jej stopniowy schyłek i uwiąd, i zaskoczył Anglików (i Szkotów) obrazem tolerancji polskiej, która nie znała takich prześladowań, jakim ulegała np. Irlandia. Opinia angielska mogła się przekonać, że reformacja w Polsce była zjawiskiem bogatym w treść, przeżytym przez warstwę oświeconą u nas swoiście, że była poważnym czynnikiem naszego życia umysłowego (na ziemiach polskich, litewskich i Rusi polskiej), i dała świadectwo szlachetności i liberalizmowi renesansowej Polski. Wszystko to przedstawił gorliwy kalwin polski, wyznawca wiary odziedziczonej po szeregu pokoleń przodków. Zrobił to z polotem i zapałem Polaka dysydenta, zarazem z wielką sumiennością i obiektywizmem, notując objawy ludzkości i tolerancji nawet wśród największego roznamiętnienia religijnego tłumów. Niczego nie ukrywa i nie przeinacza, zestawia stosunki polskie z obcymi i stara się dać ich obraz plastyczny i zrozumiały dla czytelnika obcego.

◆

Przekład niemiecki dzieła Krasińskiego dokonany został wkrótce po ukazaniu się oryginału angielskiego i wydany (z pewnymi skrótami) w roku 1841 pt. „*Geschichte des Ursprungs, Fortschrittes und Umfalls der Reformation in Polen und ihres Einflusses auf den politischen, sittlichen und literarischen Zustand des Landes, aus dem Englischen bearbeitet von...* (Lipsk, in 8, str. XIV + 409). Autorem przekładu a raczej przeróbki, był Wilhelm Adolf Lindau, który uprzystępnił ogółowi niemieckiemu niektóre inne pisma Krasińskiego.

Wyszedł także współcześnie podobno przekład dzieła Krasińskiego o reformacji w Polsce na język francuski, jednak osobiście nie miałem możności go obejrzeć (4).

Tłumaczenia na język polski doczekała Historia Reformacji Krasińskiego dopiero w latach 1903-1905 w Warszawie. Dokonał go superintendent kościoła ewangelickiego w Królestwie Polskim dr Edmund Bursche, poprzedzając je odpowiednim wstępem o autorze i jego dziele, zmuszony jednak przez ówczesną cenzurę do poczynienia pewnych zmian i opuszczeń w tekście przekładu.

(4) Wspomina o przekładzie francuskim Korbut Gabriel t. III, str. 253 4; wzmiankę o nim znajdujemy również (ale też bez bliższych szczegółów w cennym artykule p. Józefa Andrzeja Teslara pt. „Zapomniany przyjaciel Adama", „Syrena", Dodatek Literacko-Naukowy Nr 10/20, 26. 11. 1955

Dzieło Waleriana Krasińskiego o Reformacji w Polsce było już wówczas, gdy się ukazało w przekładzie polskim na początku wieku XX-go, a tym bardziej jest obecnie — książką przestarzałą.

Wiele bowiem, od jej napisania przed stu laty z górą, źródeł historycznych do dziejów reformacji i w ogóle do dziejów stosunków religijnych w Polsce, zarówno w XVI wieku, jak i czasach późniejszych, opublikowanych zostało, wiele ukazało się znakomitych opracowań w tej materii, czy to ogarniających całość przedmiotu czy też wyjaśniających kwestie szczegółowe.

Jednak w dążeniu do wyświetlenia prawdy, w zasadniczych swoich zrębach i ujęciu przedmiotu nie przestało ono być dziełem wysokiej wartości do dzisiaj, wraz z niektórymi innymi jego pracami historycznymi zapewniając mu poczestne miejsce wśród pracowników naukowych naszej emigracji polistopadowej.

Cała zaś *niezmordowana* działalność publicystyczna jego, wyrażająca się w mnóstwie artykułów w prasie angielskiej, usiłujących społeczeństwu angielskiemu wyjaśnić istotę sprawy polskiej, świadczy o nieustannej myśli Krasińskiego o Polsce, usprawiedliwiając całkowicie słuszność napisu na nagrobku, wzniesionym ze składek rodaków na cmentarzu Warriston w Edynburgu, że był on „żarliwym szermierzem Jej (Polski) praw i niepodległości... broniąc Jej sprawy" (A zealous champion of her rights and independence... pleading her cause" (5).

Stanisław KOSCIAŁKOWSKI

Mickiewicz w młodych oczach

1. — ZADANIE EMIGRACJI

Setne rocznice śmierci powinny zawsze być okazją do zrewidowania i skrystalizowania naszego stosunku do osoby, której pamięć czcimy. Jeżeli postać jest na tyle wielka, wytrzyma

(5) Nagrobek odszukany został dopiero przed kilku tygodniami przez p. Tadeusza Ziarskiego w Edynburgu wraz z metryką zgonu Krasińskiego. „Wiadomości Polskie" z 19 lipca 1856 r. (Nr 28, str. 112) podają odezwę rodaków z Anglii z dnia 2. VI. 1856 w sprawie składek na pomnik Waleriana Krasińskiego na grobie jego w Edynburgu. Pomnik wykonał rzeźbiarz James Gall w Edynburgu. Wystawieniem jego zajął się rodak dr Dionizy Wielobycki (1813-82), Wołyniak, lekarz, emigrant, zamieszkały w Edynburgu.

ona nasze ataki i w zaświatach z wyrozumiałością wysłucha naszych teorii i pretensji. Jeżeli duch Mickiewicza przypatruje się obchodom urządzanym na jego cześć na emigracji, to na pewno ziewa z nudów. Są ulotki i odezwy opiewające „wieszcza cierpiącego za miliony", są ankiety Mickiewiczowskie, które pobudzają odpowiadających na nie do nostalgicznego wspominania własnego dzieciństwa, są i próby rozstrzygnięcia raz na zawsze tak ważnej kwestii jak znaczenie sławnej cyfry 44 w „Dziadach". Słowem, zdawałoby się, że poza gawędziarstwem i krzykliwym bałwochwalstwem, nikt nie ma nic ciekawego do powiedzenia na temat Mickiewicza : w dali, poza zasięgiem umysłów czcicieli, majaczy złocony pomnik wieszcza, ideału poety, człowieka, katolika i męża stanu. Wobec takiej apatii umysłowej nawet przerabianie Mickiewicza na marksistę wydaje się interesujące, a przynajmniej zabawne.

Emigracja ma wobec Mickiewicza dwa zasadnicze obowiązki : zapoznawanie obcych z jego twórczością oraz zaznajamianie się i polemizowanie z teoriami krytyków marksistowskich w Kraju. Z zadań tych emigracja nie wywiązuje się przykładnie choć należy podkreślić kilka wartościowych pozycji. Jedną z nich jest książka dra Weintrauba pisana po angielsku pt „The poetry of Adam Mickiewicz". Oto co o niej pisze angielski kwartalnik naukowy Modern Language Review z lipca ub. r :

„Dr Weintraub is usually conscious of the pitfalls of the that nationalist idolatry which has characterised so much of the presentation of Mickiewicz yet he is at least equally alive to the recent tendencies to ideological distortion which have appeared in post-Revolutionary Socialist Poland... (its author merits the gratitude of all who are interested in one of Europe' most difficult great poets." (*)

Zwrócenie uwagi na „narodowe bałwochwalstwo" jest charakterystyczne. Podobnie czyni amerykański Comparative Review omawiając szkic dra Weintrauba zamieszczony w Harvard Slavic Studies :

„(Dr. Weintraub) tells the complex and often bewildering story o Mickiewicz the politician with skill and scholarly discernment, steering clea of *uncritical hero worship which has vitiated so much traditional Mickiewicz scholarship* (podkreślenie moje)" (**).

(*) Dr Weintraub zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństw owego narodowego bałwochwalstwa, charakterystycznego dla tylu omówień Mickiewicza, ale jest on przynajmniej równie czujny na tendencje ideologicznego wykoszlawienia, które pojawiły się w porewolucyjnej socjalistycznej Polsce. Autor zasłużył na wdzięczność wszystkich tych których interesuje jeden z najtrudniejszych poetów Europy.

(**) Dr Weintraub zdaje sprawę ze złożonej, i nieraz oszałamiającej historii Mickiewicza z umiejętnością i wyczuciem uczonego, unikając bez krytycznego kultu bohatera, który wykrzywił tyle tradycyjnych studiów mickiewiczowskich.

Z uwagami tymi zapoznać się powinien każdy, kto pragnie zaznajomić obcych z Mickiewiczem: miejmy nadzieję, że spotkali się już z nimi autorzy zapowiedzianej zbiorowej wielojęzycznej książki o Mickiewiczu; miejmy również nadzieję, że zapowiedziany angielski przekład „Pana Tadeusza" pióra p. Mackenzie bardziej mu się uda niż jego niedawny przekład „W Szwajcarii".

Jak dotychczas antyreligijna krytyka marksistowska przejawiła się głównie w trzech książkach wydanych po wojnie: „Arcydramat Mickiewicza" i „Żeglarz i pielgrzym" Kubackiego oraz „Spór o Mickiewicza" Żółkiewskiego. Polemizowali z nimi sumiennie i przekonywująco dr Weintraub i dr Giergielewicz na łamach „Wiadomości". Zagadnienie religijności Mickiewicza nie jest jednakże tak proste. Tak przynajmniej możemy sądzić, gdy zestawimy obok siebie dwie cytaty pochodzące spod piór dobrych znawców Mickiewicza. Oto wypowiedź X. Kantaka w tych „Wiadomościach" (nr 461):

„(Religijność Mickiewicza) to sentymentalny pietyzm, karmiony Böhmem i St. Martinem, żywiony wizjami Katarzyny z Emmerich i Jasnowidzącej z Prevorst, nie oparty na rozumie i woli, nie pogłębiony dogmatycznie. Stąd zdobywał się na uniesienia i zachwyty, łatwo wierzył w sny i przepowiednie, lekceważąc stronę intelektualną... Słabość woli zastępował ubóstwianiem uczucia, ślizgał się po pochyłości antyintelektualnej".

Zaś Stefania Skwarczyńska, polemizując z tezami Kubackiego i Żółkiewskiego w świetnie napisanym artykule zamieszczonym w krajowym czasopiśmie „*Życie i Myśl*" pisze następująco:

„Jeżeli chodzi o katolicką precyzację zbliżenia Mickiewicza do religijności — to nie wydaje się, by tu można mówić poważnie o wpływie czy to płytkiej dewocji Ankwicza czy to równie płytkiej, tradycjonalistycznej pobożności Odyńca...

Nie można... mówić — wbrew temu, co twierdzą W. Kubacki i S. Żółkiewski... — że Mickiewicz w omawianym okresie nie był katolikiem z przekonania. Przeczy to faktom zaświadczonym przez wiarogodne materiały... Przecież nie można stanąć na stanowisku, że badacz wie lepiej niż sam Mickiewicz, czy wierzył on, czy nie wierzył. Tym mniej właśnie Mickiewiczowi nie wolno zadawać kłamu czy to przez przemilczanie niewygodnych dla własnej koncepcji jego twierdzeń, czy przez ich niemiłosierne wykręcanie."

2. — MICKIEWICZ W ŚWIETLE TRADYCJI

„Przed Mickiewiczem — daj Boże byśmy to książką popełnili pomyłkę — przed Mickiewiczem, o ile nam widno i wiadomo, nie było poezji w Polsce". Od czasu kiedy Krasiński te słowa napisał, nasz pogląd na literaturę przedmickiewiczowską zmienił się zupełnie i nikt dziś nie zaryzykowałby takiego twierdzenia. Brak zainteresowania wcześniejszą literaturą ze

strony Krasińskiego usprawiedliwiony jest tym, że wiele znanych nam dziś tekstów kryło się wówczas w rękopisach

,,Realizm'', ,,satyra'', ,,element plebejski'', ,,element feodalny'' itp. frazesy, którymi poloniści marksistowscy operują, mogłyby przekonać nas, że to właśnie oni odkryli charakterystyczne właściwości poezji XVIII wieku i pierwsi nawiązali do tej tradycji poetyckiej twórczość Mickiewicza. W rzeczywistości jest to jedynie przypadek, gdyż wydaje mi się, że zwrot w zainteresowaniach naszą literaturą zależny jest od ,,ducha epoki'', który nie tylko w krajach komunistycznych spowodował rewizję poglądów na wartości literackie.

Jak przedstawia się dorobek w świetle tych pojęciowych zmian, które uwypukliły wartość naszej przedrozbiorowej literatury i skutkiem tego nieodzownie przyćmiły nieco luminarzy romantyzmu? Przede wszystkim zarysowuje się linia tradycji która przenika na wskroś nurt naszej poezji. Mickiewicz i Słowacki to już nie dwa kolosy, które powstały w jakiś tajemniczy sposób na gruncie dotąd zdawałoby się niepodatnym. Niedawne studia między innymi Claude Backvisa wykazały zależność Słowackiego od polskiego baroku, pomniejszając przez to rzekomo silny wpływ Byrona i Victora Hugo. Podobnie i twórczość Mickiewicza ma swoje korzenie w tradycji polskiego wiersza. Krytycy zapatrzeni w jego atak na literaturę neo-klasyczną w ,,Dziadach'', nie zdają sobie sprawy, jak wielki dług Mickiewicz zaciągnął od poezji XVIII wieku. Obok tradycji Kochanowski-barok-Słowacki-Norwid-Wyspiański przejawia się druga zasadnicza tradycja naszej poezji. Udoskonala ją Trembecki Węgierski, sięga ona szczytów w poezji Mickiewicza a jej zwyrodnienie ilustruje poezja Skamandrytów. Ważyk (cytowany przez Kotta we wstępie do niedawno wydanych dzieł zebranych Trembeckiego) komentuje słusznie:

> ,,(Mickiewicz) dziedziczył kulturę literacką Oświecenia bez ograniczeń i wypaczeń, odrzucając zaciemniające szkła epigonów. Mickiewicz walczył z epigonami o właściwą interpretację poetyki Trembeckiego.''

A sam Kott cytuje Mickiewiczowskie Objaśnienia do ,,Zofiówki'' Trembeckiego na poparcie tezy Ważyka:

> ,,...gdy albowiem mowa polska poetycka charakter swój właściwy tracić zaczęła i postać przybierać obcą, francuską — Trembecki zachował cechy złotego wieku poezji narodowej... styl Trembeckiego wypływa z natury mowy ojczystej, jest więc giętki, sposobny również do wydania górności jak prostoty myśli i różnych w tej mierze połączeń i odcieniów...''

Niniejszy artykuł w swych szczupłych rozmiarach nie może uchodzić za studium literackie a wykazanie pokrewieństwa poezji Mickiewicza z XVIII wiekiem wymagałoby ścisłej analizy. Tutaj mogę tylko zasugerować przeczytanie bajek, ,,Pana Tadeusza'' i fragmentów epickich w ,,Dziadach'', pospołu z poezją Trembeckiego, Krasickiego i Węgierskiego. Lektura ta wykaże po

krewieństwo językowe i formalne między tymi poetami Oświecenia a Mickiewiczem a zarazem uświadomi nam brak podobnego pokrewieństwa z poezją Słowackiego.

3. — MICKIEWICZ DZIŚ

Zaryzykuję twierdzenie, że poza nielicznymi wyjątkami, Mickiewicz nie przemawia obecnie do młodego pokolenia ani poetycko ani ideowo. Osobiście doceniam techniczną wirtuozerię „Pana Tadeusza" ale nie mogę się zgodzić, że poemat ten jest epopeją narodową, którą można wymienić razem z „Iliadą" czy „Boską Komedią". „Pan Tadeusz" jest co najwyżej mistrzowskim zespoleniem klasycznego poematu heroi-komicznego z popularną w owych czasach wierszowaną powieścią romantyczną. Mój stosunek do „Pana Tadeusza" pokrywa się zupełnie ze stosunkiem Norwida. Wypowiedź Norwida nabiera wagi, gdy uświadomimy sobie, że przecież cenił on twórczość Mickiewicza — w czym zresztą Mickiewicz się nie odwzajemniał — i nie rzucał swoich uwag na wiatr. W następujących strofkach „Powieści" Norwid ironicznie ale trafnie streszcza ideowy program „Pana Tadeusza":

Opiszę najprzód mego bohatera...
Z zadowoleniem wielkim czytelników,
Przeczuwających *powieść narodową*,
Pełną cybuchów, facecji i krzyków...

Gdzieniegdzie *farsę* dwuznaczną francuską
Przebiorę w kontusz — indziej *przypowiastkę*
Gburną osłonię wełnianą krakuską,
Rozegżę starców i spłonię niewiastkę...

Opiszę kuchnię — sosy i korzenie,
I jak hydromel złoty się podbiera —
Pannę ośpiewam, jak łzy swe ociera,
Potem znów ucztę i znów rozrzewnienie.

Poetycko także Mickiewicz dziś nie przekonuje: odstraszają czytelnika pedantyczna dokładność w opisach, błahość i powierzchowność akcji w „Panu Tadeuszu" oraz odrażające poczucie humoru. Mickiewicz nie zna ani wyrafinowanej ironii Norwida czy Słowackiego, ani też czerstwego, nieraz sprośnego ale żywiołowego humoru Kochanowskiego czy Potockiego.

W zrozumieniu tego negatywnego stosunku do Mickiewicza może dopomóc cytata z felietonu Zygmunta Nowakowskiego. Stwierdzając, że „Młódź polska w okresie niepodległości raczej stroniła od „Pana Tadeusza" Nowakowski tak to zjawisko tłumaczy:

„Jej stosunek do epopei Mickiewicza był chłodny, gdyż pewne części poematu szły jakby na out. Także i starsze pokolenie w żaden sposób nie mogło przejmować się nieaktualną już tęsknotą za straconą ojczyzną."

Niestety wypowiedzi swojej Nowakowski nie doprowadził do logicznego końca, który sam się nasuwa. Jeżeli „Pana Tadeusza" można czytać tylko zagranicą, jeżeli docenić go można tylko jako zastępstwo straconej ojczyzny, jego walory artystyczne muszą rzeczywiście być nie tak duże, bo cóż jest łatwiejszego od napisania wiersza miłosnego dla zakochanych? W październikowej „Kulturze" Miłosz pisze, że ze grozą odkrył „że młodzi poeci londyńscy... Mickiewicza uważają za niższego od Norwida... Nie rozumieją jakie znaczenie ma obiektywizacja, której szczytem w wierszu polskim jest „Pan Tadeusz"." Ja zupełnie się zgadzam, że „Pan Tadeusz" jest szczytem obiektywizacji — ale obiektywizacji czego? Czy tak znikoma treść usprawiedliwia tak wielką konstrukcję formalną? „...awanturniki, facecjoniści, gawędziarze, pasibrzuchy, którzy jedzą, piją, grzyby zbierają i *czekają aż Francuzi przyjdą zrobić im ojczyznę...*" — oto jeszcze jedno trafne sformułowanie programu „Pana Tadeusza" przez Norwida. Tu już wkraczamy w dziedzinę sądów moralnych ale to jest nieuniknione — poematu na miarę „Pana Tadeusza" nie możemy oceniać jedynie wedle kryteriów formalnych. Nie znaczy to bym domagał się „budujących przesłanek" od dzieła literackiego, ale uważam, że lektura utworu na taką skalę powinna w nas zbudzić przeświadczenie, że „sunt lacrimae rerum". Niestety trudno doszukać się takiego stosu pacierzowego w dziele Mickiewicza.

Zgadzam się także z Miłoszem, że Mickiewicz jest większym poetą od Norwida, ale czynię to bez entuzjazmu. Gdyby np. literatura angielska pozbawiona była twórczości Szekspira Anglicy zmuszeni byliby z niechęcią oddać pierwszeństwo Miltonowi. W naszej literaturze odpowiednika Szekspira nie ma, więc i ja niechętnie i bez zapału oddaję pierwszeństwo Mickiewiczowi. Norwid zaś, oprócz tego, że był wielkim poetą, był także, w przeciwieństwie do Mickiewicza, emigrantem par excellence. Doceniał zalety emigracji i tępił niemiłosiernie jej wady. Jego stosunek do Kraju sprzyja naszym obecnym warunkom: dziś, kiedy wróg stał się o wiele bardziej podstępny i wyrafinowany w rujnowaniu psychiki naszego społeczeństwa, pobożny, niesprecyzowany optymizm Mickiewicza nie może nam służyć przykładem, bo najbardziej bohaterski atak kosynierów nie rozgromi ideologii.

Adam CZERNIAWSKI

Emigracyjny teatr

TELIMENA BEZ „PANA TADEUSZA"

Teatr zawodowy na emigracji, któremu dzwoniłem na pogrzeb w „Kulturze" przed kilku miesiącami, zdobył się jednak ostatnio na kilka przejawów urzędowego życia. Pozazdrościwszy Radzie Trzech (która liczy tylko dwóch członków) wielkiej galówki manchesterskiej, urządziły dwa związki i jeden komitet widowisko monstre w londyńskim teatrze Scala, wystawiając „Pana Tadeusza" w przeróbce Reginy Kowalewskiej z przeróbkami dra Leopolda Kielanowskiego. Zrobiono wszystko, aby impreza wypadła okazale. Na koszt firmy „Tazab" (która, nota bene, sama jedna funduje więcej nagród literackich, niż rozdziela ich Związek Pisarzy) i innych instytucji sprowadzono zza Wielkiej Wody Marię Modzelewską powierzając jej rolę Telimeny, zmobilizowano wszystkich dostępnych aktorów i „uznanych amatorów" starszego pokolenia (*), a także jednego adepta w wieku co prawda już popoborowym, ale w każdym razie przed trzydziestką. Jeśli się doda, że każda niemal rodaczka i co drugi zapewne rodak, jadąc na spektakl już w kolejce podziemnej dobywał chusteczki i siąkał nosem, bo nastawiony na wzruszenia poetyczno-patriotyczne organ łzowy działał z góry, na zapas, trzeba powiedzieć, że „Pan Tadeusz" — choć nawet nie tragedia — przyniósł londyńskiej emigracji niebylejakie *catharsis*. Nawet podpisany musi wyznać, że i on, choć specjalista od „szargania świętości" wzruszył się nie na żarty przy spowiedzi Robaka i stracił kilka tygodni na otrząsanie się z narodowej sentymentalnej mgiełki, by zabrać się wreszcie do próby krytycznej oceny przedsięwzięcia.

Zacznijmy od samej przeróbki. Wolałbym móc powiedzieć, że była bardzo dobra lub zupełnie zła — niestety, muszę powiedzieć: raczej nijaka. Bo nawet w złej, ale ciekawej adaptacji epiki na scenę można przynajmniej wykryć jakąś ogólną zasadę, jakąś ciekawą myśl przewodnią, choćby nawet błędną, albo wadliwie przeprowadzoną. Tu nie było żadnej koncepcji, chyba że za podstawę tego fabularnego streszczenia scenicznego przyjmie się chęć dania jak największego wyboru różnych kawałeczków z XII ksiąg poematu. Rzecz jasna wprowadzono narratora — poetę Mickiewicza — który zaczyna i kończy widowisko pojawiając się ponadto wszędzie tam, gdzie adaptatorzy chcieli dać piękny kawał tekstu, nie dający się włożyć w usta żadnej określonej postaci. Ale jak to zrobiono? Na przykład w ostatniej odsłonie, gdy ma się zacząć koncert Jankiela, wypełniona aktorami i statystami scena zmienia się nagle w żywy obraz, milknie orkiestra, a nasz Poeta Adam zaczyna — dość monotonnym głosem — recytować swój opis koncertu nad koncertami. Wreszcie już przed samym zaciągnięciem kurtyny, gdy statyści -tancerze, a przez kilkanaście taktów nawet aktorzy tańczą nud-

(*) M. in. jedną aktorkę z Monachium — ściśle według mojej recepty — vide „Kultura" Nr. 8/1955.

nego i nie opartego na opisie mickiewiczowskim poloneza, Poeta wkracza pomiędzy grających i powiada: „I ja tam byłem, miód i wino piłem..." Jeśli jeszcze dodać, że obok granych na kurtynach — w stylu rapsodycznym — odrealnionych scen ze szlachtą dobrzyńską, znalazły się w przedstawieniu „prawdziwe" pistolety, że huknęły wystrzały i zapachniało prochem jak na „Kościuszce pod Racławicami" — to stanie się jasne jak to właśnie było: przeróbkę swą pp. Kowalewska i Kielanowski (ale kto z nich właściwie?) potraktowali eklektycznie nie siląc się na żaden styl i na żadną ścisłą zasadę doboru wątków i sposobów przedstawienia poetyckiej rzeczywistości.

Dekoracje pani Haliny Żeleńskiej wypadły blado. Mniejsza już z tym, że dworek Sopliców i zamek Horeszków ściągnięto na jedno podwórko (na którym zresztą zbiera się także grzyby) można by to potraktować jako swoiste ujęcie symultaniczne. Mniejsza o to, że tuż pod kapliczką z Matką Boską umieszczono „świątynię dumania" Telimeny (na szczęście bez mrówek). Gorzej, że sam dworek niewiele przypominał mieszkania szlachty litewskiej — jakie utrwaliło malarstwo polskie — i znacznie gorzej, że poprzystawiane do zewnętrznych ścian dworu parawany miały udawać także buduar Telimeny, co plastycznie nie miało żadnego sensu. O jakiejś celowej kolorystyce w zestawieniu ze strojem i nastrojem nie było mowy.

Ilustracja muzyczna Jerzego Kropiwnickiego, oparta na motywach pieśni szlacheckich, może by i była dobra, gdyby ją wykonano przynajmniej poprawnie. Niestety, sprowadzona widocznie na gwałt orkiestra, która zapewne miała tylko parę prób, fałszowała nieznośnie nawet dla takiego ignoranta muzycznego jak podpisany.

Z obsady aktorskiej na plan pierwszy wysunął się Stanisław Szpiganowicz w roli Robaka. W scenie spowiedzi (zresztą stanowczo za długiej) z Zygmuntem Rewkowskim jako Gerwazym i Stanisławem Belskim w roli Sędziego dał mi Szpiganowicz głębokie przeżycie artystyczne i jedyną chwilę prawdziwego wzruszenia. (Nawiasem mówiąc wydaje mi się, że Gerwazy był najlepszą z emigracyjnych ról Rewkowskiego). Stylowego Hrabiego odtworzył Wojciech Wojtecki, znacznie lepszy niż we wszystkich ostatnich swoich rolach. Przyjemna i miła dla oka była Janina Katelbach w małej stosunkowo roli Zosi. Pozostałych aktorów nie wymieniam (z wyjątkiem p. Laskowskiego, udanego Wojskiego), bo za długo byłoby analizować skąd pochodzą ich błędy i porażki.

Maria Modzelewska zrobiła wiele, by resztkom zawodowego aktorstwa na emigracji (i przede wszystkiem aktorstwu) pokazać grę finezyjną, bogatą w gesty rąk, w zmienność twarzy, w odcienie ruchów, przegięć i modulacje głosu. Nie zupełnie podzielam jednak przyjętą przez nią koncepcję postaci. Można by powiedzieć, że trochę „przetelimeniła" swą rolę. Telimenę przechyliła Modzelewska zbyt silnie w stronę groteski, a jeśli chodzi o wnętrze postaci — w stronę damy lżejszego autoramentu, czego tekst nie usprawiedliwia w tej mierze. Osobiście odczuwam mickiewiczowską Telimenę jako starzejącą się kokietkę, ale wcale nie osobę zmieniającą stale kochanków, a takie wrażenie wywoływała chwilami dama z Petersburka w ujęciu Modzelewskiej.

Aby zamknąć uwagi o „Panu Tadeuszu" refleksją ogólną, powiem jeszcze, że przykro odczułem rodzaj próżni Torricellego, w jakiej obracali się na scenie w dwóch pierwszych aktach stosunkowo nieliczni protagoniści.

Gdzież szlachta, sąsiedzi, rezydenci, forysie i podręczni, jakich się widzi zawsze pod zmrużonymi powiekami odkładając na chwilę w czasie lektury egzemplarz „Pana Tadeusza"? Z pewnością w Soplicowie było rojnie, gwarno a nawet hałaśliwie. Gdyby reżyser zamiast trzymać za kulisami do końca trzeciego aktu swych dwudziestu statystów z Polskiej YMCA puścił ich na scenę od samego początku, nie potrzebowałby Podkomorzy rzucać w pustkę swych wezwań o karabelę i nie świeciłaby golizną desek szczątkowa scena uczty w zamku.

„PRZEDZIWNA SZEWCOWA"

Grupa „Pro Arte" (o której pisałem w Nr. 93/94 „Kultury") zrobiła wielki skok naprzód w swym artystycznym rozwoju wystawiając w sali Teatru Nowego w Londynie farsę poetycką jednego z największych poetów i dramaturgów naszych czasów, Federico Garcia Lorca pt. „Przedziwna Szewcowa". Postępowi w dziedzinie artystycznej odpowiadał sukces organizacyjny: podczas gdy poprzednie wystawienia (Fredry, Musseta, Synge'a, Sachy Guitry i Conrada) miały najwyżej po cztery przedstawienia, tym razem dono ich 13 umożliwiając obejrzenie prześlicznej sztuki ponad 800 widzom (szkoda, że nie 1.600 — sztuka bynajmniej nie szła kompletami).

Dziś, po upływie półtora miesiąca od premiery „Szewcowej", mogę spojrzeć na tę realizację już z pewnej perspektywy. W zestawieniu z prawdziwym, porządnym teatrem zawodowym robota „Pro Arte" przedstawia mi się w obecnym stadium jako uczciwie zdany egzamin dojrzałości grupy entuzjastów kierowanych mocną i pewną ręką zawodowca (bo mówiąc o Oldze Żeromskiej nie mogę napisać „zawodowczyni"), jako matura, po której powinny przyjść wyższe studia, osiągnięcia półzawodowe i ambicje dorównania zawodowcom. W porównaniu jednak z obecnymi pokazami emigracyjnego teatru zawodowego „Przedziwną Szewcową" muszę traktować jako osiągnięcie w sumie ciekawsze od większości realizacji czy to Teatru Nowego, czy też zespołu Wojteckiego. Ciekawsze, bo choć bynajmniej nie wolne od błędów i resztek amatorszczyzny (jak rozmowy zespołu za kurtyną przy wypełnionej widowni) — to jednak świeższe, żywsze i kryjące zadatki nie byle jakiej przyszłości.

Polski tekst „Przedziwnej Szewcowej" — specjalnie przygotowany dla „Pro Arte" i w ogóle pierwszy przekład polski z hiszpańskiego (bo w Kraju robiono go z włoskiego) wyszedł spod pióra Floriana Śmieji.

Inscenizacja Olgi Żeromskiej poszła w kierunku rozszerzenia krótkiej, nie wypełniającej całego wieczoru dwuaktówki. W sposób bardzo zręczny dodała ona parę związanych z nikłą akcją farsy, mimicznych epizodów oraz wzbogaciła sztukę dwiema wstawkami tanecznymi. Tańce ludowe hiszpańskie — El Vito, Sevillanas i Farucca w układzie specjalistek Licilli Armstrong i Margaret Harris — wykonał zespół angielsko-polski (z przewagą Polek i z solistką M. Harris, Angielką). Tańce te wtopiono w tok sztuki w sposób gładki i organiczny jako zamknięcie aktu pierwszego i intermezzo w drugim. Warto zaznaczyć, że postępując w ten sposób inscenizatorka poszła za tradycją hiszpańskich przedstawień „Szewcowej", która — jak świadczy brat poety Francesco Lorca — przeradzała się nieraz w półbalet. Wśród posunięć inscenizatorskich szczególnie podobał mi się sąd sąsiadek

nad Szewcową w akcie pierwszym — pomysł nowy i własny Żeromskiej.

Oprawa plastyczna zaprojektowana przez młodego architekta Jerzego Jakubowicza pasowała jak rękawiczka do ręki do sztuki, mającej w sobie tyleż realizmu, co poetyckiej fantazji. Główną ścianę domku szewcowej zbudował dekorator z przejrzystej siatki, na suficie dał mocne belki, wielkie okno (przez które sąsiadki podglądają Szewcową) pięknie wykrzywił, a w głębi — za fikcyjną ażurową ścianą — ustawił domy hiszpańskiej wioski — wszystko nasycone barwami. Gdy w tym otoczeniu zaczął latać olbrzymi kolorowy motyl projektu Jana Pieńkowskiego, a potem rozwieszono przez tegoż malarza wykonany złocony zwój bajczarza — czuło się, że każda rzecz jest tu na właściwym miejscu, każda obmyślona z miłością, serdecznie wykonana. Nie wyliczam już prześlicznych kolorowych rekwizytów, które zjawiały się na scenie jak malarskie akcenty.

O aktorach, którzy dopiero zaczynają swój marsz *pro arte*, godzi się mówić z powściągliwością i krytycznym umiarem. Nie idzie mi to łatwo, bo ich pracę obserwuję od dawna i cieszę się — może czasem zbyt skoro — z każdego ich postępu. Irena Różycka, którą kulturalny polski Londyn pamięta jako dobrą Bessie Conrada, miała w roli Szewcowej zadanie trudne. Gdybym pisał tylko na zasadzie premiery prasowej, musiałbym powiedzieć, że nie zdołała w pełni opanować licznych falowań i niuansów tej roli, że nie była jeszcze całkowicie tą przedziwną szewcową z Andaluzji (ale i z głowy Poety, któremu nie zależało na zwykłym realizmie), co w ciągu sekundy przerzuca się z nastroju sekutnicy w poetycki zachwyt nad dziwnością świata marzeń — motyli. Ale na szczęście widziałem Różycką także na ostatnim przedstawieniu i wówczas nabrałem dla niej wielkiego szacunku. Stale rozwijająca się i doskonaląca swą rolę aktorka dała mi wtedy prawie pełne wzruszenie artystyczne. Pisze „prawie", bo brak jeszcze Różyckiej zupełnej swobody operowania różnymi rejestrami głosowymi i czasem — choć już znacznie rzadziej, niż w poprzednich sztukach — zdarzają się jej jeszcze potknięcia w polskiej wymowie. Rolę Szewca uczciwie i inteligentnie przeprowadził p. Stanisław Nowodworski. Poza tym z licznej, bo 22-osobowej obsady wybiła się stanowczo na plan pierwszy młodziutka panna Bogusława Gasiówna jako Chopczyk, zaraz za nią w tej samej (dublowanej) roli jej rówieśnica Marysia Raczkówna, a z mężczyzn przezabawny Don Kos w wykonaniu p. Krzysztofa Kudlickiego i Młodzieniec z Kapeluszem (i wielkim temperamentem) Bohdan Kozerski. Nie sposób też pominąć pani Szczęsnej Michałowskiej w mocnej charakterystycznej roli jednej z Dewotek i Teresy Kurowskiej (Czerwona Sąsiadka), obdarzonej, zdaje się, dużymi zdolnościami komicznymi. Ciekawym, co wyrośnie z p. Z. Kotlarczyka, bardzo stylowego Alkada (ale nie wójta, jak chciał recenzent „Życia"). Zespołowość gry całej obsady zapisuję na dobro reżyserki. Piękne kostiumy damskie szyły pp. Dżawachiszwili i Grochowska.

Przedstawienie „Szewcowej" nie byłoby tak udane gdyby nie pomysłowa i naprawdę piękna muzyka, skomponowana i skompilowana przez p. Zbigniewa Gedla (daruję mu ostatecznie, że na pierwszym przedstawieniu, emigracyjnym zwyczajem, mała orkiestra zupełnie nie była zgrana). Duże uznanie należy się też gitarzyście-wirtuozowi p. Jerzemu Jeżewskiemu.

KRYTYK

Książki

„Loot and Loyalty"

Nowa książka angielska Jerzego Pietrkiewicza jest powieścią historyczną z początku XVII wieku. Akcja jej toczy się głównie na ówczesnych „kresach", między błotami Prypeci a Dnieprem. Głównym bohaterem jest kapitan Hume, zaciężny żołnierz szkocki, służący zresztą głównie swej własnej fortunie, postać jakoby historyczna. Jest to, że tak powiem, główny bohater „subiektywny". Drugą postacią centralną jest Dymitr Samozwaniec. Nie umiemy patrzeć na nasz XVIII wiek, zwłaszcza na ziemiach litewsko-ruskich Rzeczypospolitej, inaczej jak przez pryzmat Sienkiewicza. Ale trudno sobie wyobrazić książkę o XVII wieku bardziej różną od „Trylogii" niż *Loot and Loyalty*. Także i ze względów ideologicznych: pisząc dla Anglików Pietrkiewicz nie musi myśleć o „pokrzepianiu serc", jego bohater nie jest nawet Polakiem, w fabule samej autor jest bezstronny, nie tylko nie ma u niego mowy o „złych" Moskalach i „dobrych" Polakach, ale właściwie nie ma w ogóle podziału na pozytywnych i negatywnych bohaterów. Można by nawet powiedzieć, że wszystkie postaci są „złe", z wyjątkiem może jezuity, Ojca Stanisława, i matki Dymitra, ale też każda postać ma jakieś cechy jeśli nie dobre to sympatyczne. Ale ważniejsze jest to, że podziału na czarne i białe nie ma. Ten dystans autora najlepiej jest może widoczny w pierwszym rozdziale, gdzie szkocki kapitan przysłuchuje się sporowi sojuszników, Polaka i Rosjanina. Polak: „Widziałem jak wy, heretycy, wygnaliście biednego księdza — naszego księdza! — z jego kościoła". Rosjanin: „Słyszycie czkanie jezuity! Tego samego ranka szukał jak węsząca łasica klasztoru z naszymi świętymi ruskimi krzyżami... itd." Dystans autora uwydatnia się w całej książce w drobnych zdaniach bohaterów, które charakteryzują nie tylko ich, ale i epokę. W tejże więc rozmowie szlachcica polskiego, Miechowskiego, z jego sojusznikiem bojarem. Polak: „Powinniśmy byli spalić całą Moskwę do cna, poderżnąć gardła wszyst-

---

Jerzy PIETRKIEWICZ, *Loot and Loyalty*. Str. 190. Wyd. William Heinemann, Ltd. Londyn, 1955.

kim zdrajcom, potopić wszystkich brodatych popów i...". Można by się tu nawet może zastanowić czy autor nie solidaryzuje się z mówcą, gdyby nie taki krótki komentarz: „Tu zawahał się co by dodać do listy tych zmarnowanych okazji". Tenże Polak przedtem przedstawił się Szkotowi najbardziej przyjaznym piskiem (*introducet himself by the friendliest of squeaks*). Miechowski myśli sobie na widok upokorzenia Rosjanina: „Pan Bóg karze szybko, heretyków w szczególności".

Tutaj i gdzie indziej ironia polega na różnicy spojrzenia między XVII i XX wiekiem, które Pietrkiewicz niejako konfrontuje. Tak więc Ojciec Stanisław wyraża politowanie dla poety, który probuje pisać idylle po polsku: „Po czym ksiądz dodał *as a sympathetic afterthought:* Mam nadzieję że nikt nie pisze pańskim nieokrzesanym dialektem, Kapitanie".

Ten nieco ironiczny dystans autora daje się zauważyć także w innych okolicznościach, zwłaszcza tam gdzie autor wprowadza, jak przystało na kraj i epokę, sceny okrucieństwa. Kapitan wzięty do niewoli przez własnych żołnierzy o mało nie zostaje powieszony przez mrukliwego Niemca. Gdy sprawa się wyjaśnia, kapral dowódca oddziałku dodaje: „To nasz kat, Kapitanie, dobry i ciężko pracujący człowiek (*a kind and hard-working man*).

W może najbardziej dramatycznej scenie książki wysłannicy z Moskwy przychodzą do Dymitra i milczą. Kapitan: „Szlachetni wysłannicy nie mogą mówić". Bojar Nikitin, stróż tronu: „Czy są tchórzami, czy nie mają języków?". Kapitan: „Zaiste nie mają języków, Iwanie Iwanowiczu... Złodziej Szujski, który rządzi w Moskwie, kazał im wyrwać języki...". Jednakże jeden z przyjezdnych bojarów ma język, którym posługuje się dla zadawania niedyskretnych pytań (trzeba pamiętać, że Dymitr jest samozwańcem). I Nikitin „miał tylko jedno uczucie: głęboką nienawiść do bojara Morozowa, którego język — wzdychał z żalem — *the negligent Shuyski had omitted to pull* (niedbały Szujski zaniedbał wyrwać)".

W mniej ponurej tonacji: kapitan wzięty do niewoli i zagrożony powieszeniem pociesza się nagim krajobrazem. Jak okiem sięgnąć nie widać drzewa (na szubienicę). Kapitan oddaje się rozmyślaniom na temat szlachetnego żywiołu, jakim jest ogień, który spalił te wszystkie drzewa, ale wkrótce spostrzega, że „zmiany w bardziej bezpośrednim otoczeniu były mniej radosne" (polskie tłumaczenie niestety prawie zawsze tę ironię spłyca: *the changes in his immediate surroundings were of a less cheerful nature*).

Wśród scen okrucieństwa, czy może dokładniej powiedziawszy zgrozy, wbija się w pamięć najbardziej chyba scena spotkania z Dymitrem. Kapitanowi udaje się dotrzeć do jego obozu pod Moskwą i tam zabija, na oczach Dymitra, wilczycę matkę młodych. Car z tego powodu czy pod tym pretekstem oddala go od siebie. Kapitan wkrótce powraca, przynosząc carowi swój

wynalazek, Wielką Machinę, rodzaj bomby atomowej na skalę XVII wieku, która ma mu zapewnić zwycięstwo. Znowu więc czeka poza obozem na sanie cara, który jest na polowaniu. Przemyka kilku konnych. Potem zgraja Tatarów. Ale car nie nadjeżdża. Kapitan udaje się na jego spotkanie i znajduje — nagiego trupa.

Wiele wcześniej jeszcze, szukając złota, które Dymitr zakopał pod krzyżem, Kapitan Hume dokopuje się jakiejś kępy zielska. Ciągnie je z dziury, ale zielsko nie ustępuje. Wreszcie odkopał na tyle, że zielsko dało się wyciągnąć, a wraz z nim jakaś ciężka masa. „Przedmiot wynurzył się, ale gdy wzrok Kapitana padł nań, jego prawa ręka drgnęła i opadła. Trzymał brodę Nikitina".

Od tych scen zgrozy trudno oddzielić sceny, powiedzmy, zabobonu. Barok to epoka czarownic (rozpoczęta zresztą chlubnie w Anglii przez Szkota, króla Jakuba), metafizyki, duchów i wilkołaków. Wspomniany Nikitin wierzy, że dusza zabitego cara przeszła w ciało chłopskiego syna, bo „jeżeli człowiek może zmienić się w wilkołaka, to dlaczego nie mógłby car... zmartwychwstać pod postacią chłopa...".

Ten inny aspekt XVII wieku, którego u Sienkiewicza nie tylko nie widzimy, ale co gorzej, widzimy fałszywie, bo jest zdeklasowany że tak powiem do „zabobonu" chłopskiego widzianego z wyżyn wieku dziewiętnastego (Horpyna), aspekt ten przeważa w drugiej części książki. Kapitan Hume przekonany (przez Nikitina), że ich umowa dotycząca chłopca Dymitra była dziełem Szatana, pali zgodnie z radą zamordowanego w międzyczasie Rosjanina, dokument i chce rozsypać popiół na cztery wiatry. Ale wiatru nie ma. Przez cały dalszy ciąg książki niespalony dokument prześladuje kapitana i przynosi mu nieszczęście. Podkreślam, że nie chodzi tu o „przesąd" w znaczeniu dzisiejszym (czarny kot przebiegł mi drogę, etc.). Kapitan nie jest przesądny i sukcesem autora jest pokazanie tego wydarzenia niejako od wewnątrz: niespalenie dokumentu przynosi nieszczęście na płaszczyźnie duchowej.

Tu należą też rosyjscy biczownicy, którzy spotkawszy kapitana, „Siedzącego na Pniu" (Sitting on a Stump) i pogrążonego w medytacji, biorą go za pustelnika i proponują mu: „Będziemy pracować na ciebie aż do Sądnego Dnia, a ty musisz się modlić aby nadszedł szybko". Dowiedziawszy się o Wielkiej Machinie, która może zniszczyć tysiące ludzi, biczownicy z zapałem pomagają Kapitanowi ją budować w nadziei, że „zobaczą własnymi oczyma Dzień Sądu".

Aspekt nie-racjonalistyczny książki jest podkreślony językiem poetyckim Pietrkiewicza. Nieco trudno go omawiać po polsku, ale spróbuję dać kilka przykładów w nieudolnym tłumaczeniu. Na pierwszej stronie książki chłopiec Dymitr ozdabia ręcznikiem krzyż przydrożny: długie kawałki wyszywanego płótna trzepotały się na tle błękitnego otworu w niebie, przedłużając gesty drewnianych ramion" (*Long pieces of embroider-*

ed cloth fluttered agains a blue hole in the sky, extending the gestures of the wooden arms). (Kapitan podchodzi do krzyża, po czym matka chłopca mówi): ,,Dziesięć armii przyjdzie za nim, synu, i niebo będzie krwawić na ręcznikach chrystusowych każdego krzyża'' (*the sky will bleed on the Christ-towels of every cross*). I kilka stron dalej : (bojar spał) ,,Suche strzępy ręczników na starym krzyżu zwisały ponad chrapiącym, jak okaleczone członki mglistego monstrum'' (*The dry shreds of the towels on the old cross dropped above the snoring man like the mutilated limbs of a misty monster*).

Ten język nawiązuje miejscami delikatnie do polskiego i rosyjskiego). Wszyscy wiemy, że są dwa sposoby transponowania swego języka na obcy. Polskie codzienne metafory i zwroty, których już nie czujemy, w obcym języku rażą lub dziwią (na przykład : ,,przyszła koza do woza'', czy też ,,głupi jak but''). Wystarczy przełożyć takie obce zwroty na polski, aby to odczuć samemu : dobry jak chleb, chory jak pies (bardzo chory), spać z zaciśniętymi pięściami (mocno spać), itd. Krańcowym przykładem takiego nieudanego tłumaczenia są różnego rodzaju kalki językowe, jak chociażby rosyjski ,,on nie w swojej tarełkie'' (*il n'est pas dans son assiette*, jako że po francusku *assiette* oznacza zarówno ,,talerz'', jak i ,,pozycja, sytuacja''). Typem tych kalk może być ów żartobliwy polsko-austriacki *Himmelskrebs* (nieborak).

Ale taka metafora użyta przez poetę może dać innemu językowi nową wizję, jak to bywa nieraz u Norwida (*teatr życiem płacony* po francusku brzmi najbanalniej, ale Norwid z francuskiego banału zrobił polską świeżą metaforę). Tego typu słowa, wprowadzone zapewne dla oddania *couleur locale* spotykamy w książce Pietrkiewicza. A więc *little falcon* (sokolik — mówi matka o Dymitrze) czy *little Sun* (car Słoneczko) lub też zwroty takie jak Jego Niedźwiedzia Mość, Jego Chłopska Mość. Inne zwroty są zapewne wyłączną własnością pisarza, choć nawiązują szczęśliwie do angielskiej literatury XVII wieku. Nikitin ostrzega Kapitana : *We are still tied up to the Devil's tail. Why, why did you write the evil thing in his black blood ?* (Jesteśmy nadal przywiązani do ogona Szatana). Albo też (mówi Szkot) : ,,Majątek w tym litewskim księstwie, gdzie leniwe niedźwiedzie rosną na drzewach ssąc miód'' (*where the lazy bear grows on trees, sucking honey*). Czy też wreszcie : ,,Rok był 1610 a gwiazdy nad nim świeciły jak oczy złośliwych bestii'' (*The year was* 1610, *and the stars above it shone like eyes of malicious beasts*).

Czy też taki prawdziwy barokowy zwrot jak *in the crawling company of worms* (w pełzającym towarzystwie robaków), i wreszcie metafory dzisiejsze jak *a sack fell to the ground and a curse exploded over it* (worek upadł na ziemię i przekleństwo wybuchło nad nim) albo też Hume zatruł się czadem i *left the Imperial camp with poisonous fumes still in his body, under a dull cloud of disappointment.* . . . .

Czy taka barokowo-współczesna metafora (współczesna poezja angielska nawiązała do metafizycznej poezji XVII wieku): *How much gold, foreigner, could your bought love melt in the thick pot of your heart?* (ile złota, cudzoziemcze, mogła twoja kupna miłość roztopić w grubym garnku twego serca, mówi Dymitr. Brzmi to prawie jak cytata z Webstera).

Ten poetyczny styl mógłby się wydawać przeciwstawieniem realizmu. I tak, gdy Dymitr daje pierścień wysłannikowi z Moskwy, ten odpowiada przez łzy: „Dary Cara nigdy nie przepadają. Ptaki rozpoznają je i oddają co jest Cara Carowi. Bo skrzydlaci myśliwcy niebios nigdy nie zapominają czcić Słoneczko, szanują je bardziej niż my, niewierni ludzie". Mogłoby to się wydawać czystym wyskokiem liryzmu autora. Ale dwadzieścia stron dalej, wysłannik został zamordowany i czarny kruk przynosi uciętą rękę z pierścieniem z powrotem Dymitrowi. Tak samo cytowane powyżej metafory nigdy nie figurują same dla siebie, nie mają funkcji dekoratywnej, nie jest to sztuka dla sztuki, ale zawsze *sprawdzają* się później, chociażby tak jak te „oczy złośliwych bestii", które zapowiadają nowe nieszczęścia (w XVII wieku bardzo wierzono w wpływ gwiazd na los ludzi).

Porównując znów z Trylogią można by dla scharakteryzowania atmosfery *Loot and Loyalty* zaryzykować termin „poetycki realizm". Metafory i w ogóle poezja dają nam czasem lepsze wyobrażenie o świecie realnym niż najbardziej drobiazgowy opis. Racjonalistyczny punkt widzenia nie zawsze jest najlepszym, że się tak wyrażę, narzędziem poznania rzeczywistości. Nieraz odwrotnie. I wydaje mi się, że ta poezja, „przesądy" i duchy bardziej zbliżają do nas wiek XVII, że dają nam obraz bardziej prawdziwy niż Sienkiewicz.

Postać Kapitana była niewątpliwie zamierzona jako obraz siedemnastowiecznego żołnierza, muzyka i wynalazcy. Nic bardziej charakterystycznego w tym względzie niż rozważania kapitana nad jego Wielką Machiną, a jednocześnie trapiący go Demon Melancholii (black bile), wynalazek prawdziwie barokowy. Demon Melancholii unosi się zresztą nad całą książką, opisującą dzieje nieudanej kariery cara i nieudanej kariery jego odkrywcy i sojusznika, Kapitana.

Jakie wrażenie książka może zrobić na czytelniku angielskim? Nie podejmuję się tego zgadywać — nie jestem pewien czy zorientuje się on we wszystkich aluzjach autora, nie mówiąc już o topografii tamtych stron, choć na pewno odczuje jego obiektywizm i doceni życzliwość wobec Rosjan. Być może książka wzbudzi w czytelniku angielskim jakąś sympatię do tego pogranicza Europy, ale w całości wyda mu się chyba jeszcze bardziej poetycko-fantastyczna niż czytelnikowi polskiemu. Jeżeli mu przyjdzie do głowy jakie skojarzenie, to chyba ze słynną książką Virginii Woolf „Orlando", umieszczoną w równie poetyckim XVI wieku. Specjalnie odczytałem na nowo tę książkę — rozdział poświęcony miłości Orlanda do rosyjskiej księżnicz-

ki wydał mi się o wiele bardziej fantastyczny i anachroniczny niż książka Pietrkiewicza, a jednak czytając *Loot and Loyalty* nie mogłem się powstrzymać od myślenia właśnie o *Orlando*.

Jan TOROSIEWICZ

Dziwny hołd

Wśród wydawnictw ogłoszonych na stulecie Mickiewicza warto zwrócić uwagę na dość osobliwy tom opublikowany przez UNESCO. Ten, z górą trzystostronicowy tom, zawierający 13 wkładkowych, rotograwiurowych ilustracji (mogących zdumiewać kapryśnością doboru), odbity na ładnym papierze, czystą, przyjemną czcionką, drukowany jest w Szwajcarii w języku angielskim pod redakcją złożoną głównie z Polaków krajowych i kosztuje $3 (albo szyl. 15/6, albo fr. 750).

Na treść główną składają się artykuły, które napisali: Jan Parandowski, prof. Jean Fabre (Sorbona), prof. Sergiusz Sowietow (Leningrad), Maxime Leroy (Francja), prof. Giovanni Maver (Rzym), prof. Korel Krejći (Praha), oraz prof. J. Kleiner (PAN). Następnie 57 stron druku zajmują wyjątki z utworów Mickiewicza w tłumaczeniach angielskich oraz 12 stron krótkich wypowiedzi o Mickiewiczu A. Puszkina, Ch. de Montalamberta, J. Micheleta, G. Sand i E. Renana. Tom zamyka krótki szkic bibliograficzny o tłumaczeniach utworów Mickiewicza.

Z punktu widzenia krytyczno-literackiego artykuły tego tomu nie domagają się analizy. Są to kompetentnie, przez akademickich fachowców skonstruowane laurki jubileuszowe, nie zdradzające jakiegoś nowego podejścia, czy oryginalności punktu widzenia. Nie uderzają one nawet szerszą erudycją. Walory stylowe i retoryczne w dużym stopniu uwiędły pod piórami tłumaczy (czy może autorów piszących w obcym dla nich języku?).

Parę prywatnych, dziennikarskich sondowań przeprowadzonych na terenie uniwersytetu oksfordzkiego potwierdziło w pełni przypuszczenia, że tom ten w najmniejszym nawet stopniu nie potrafi cudzoziemcowi ukazać znaczenia i charakteru poezji Mickiewicza. Podkreśla on niejako tylko anegdotę, którą zwykł opowiadać był ongiś znany (nieżyjący już) slawista oksfordzki, prof. W.R. Morfill, któremu jakoby jakaś polska dama wyjaśniła że „Nous avons notre Mickiewicz à nous".

Bibliograficzny wstęp Parandowskiego wywołał w Oksfordzie lokalną małą sensację, będąc, w całych obszernych fragmentach niemal dosłownym powtórzeniem wykładu jaki o Mickiewiczu wygłosił w Oksfordzie (w Taylor Institution) prof. Julian Krzyżanowski z Warszawy w dniu 22 listopada ubiegłego roku. Komentuje się tu, że przecież w czasie gdy prof. Krzyżanowski wygłaszał swój odczyt, tekst artykułu Parandowskiego musiał już być w drukarni, a przynajmniej w redakcji tomu.

Adam Mickiewicz 1798-1855, str. 277. UNESCO, 1955.

Czyżby zatem istniało jakieś wspólne, nieujawnione źródło do ,,oficjalnego'' ujęcia życiorysu Mickiewicza, które *wszyscy* mówiący lub piszący o nim w roku jubileuszowym są obowiązani uwzględniać?

W zakończeniu swego artykułu Parandowski pisze o Mickiewiczu: ,,Before his time no one had loved his country to this degree'' (Przed nim nikt nie kochał swego kraju w tym stopniu). Wydaje się to barbarzyńskim wysiłkiem przesady nawet dla najżarliwszych wielbicieli Mickiewicza, a cóż dopiero dla cudzoziemców, dla których przecież jest to pisane.

Tom jest drukowany starannie, ale tym bardziej rażą błędy, których polscy członkowie redakcji zaniedbali dopatrzyć. Na przykład imię syna Mickiewicza pisane jest uparcie *Władislas* co jest hybrydem nie do przyjęcia. Nazwy miejscowości pisane są (w mianowniku!) *Zaosia, Vilna*. Jedne imiona polskie pisane są oryginalnie, jak Joachim, Jan, Maria, Celina itd., gdy inne, a nawet te same, imiona w innym miejscu, pisane są w dziwacznej ,,adoptacji'' jak wspomniany już Władislas, Selina (zamiast Celina), Andrew itd.

Wreszcie zupełnie niezrozumiałe są w takim wydawnictwie solecyzmy z których do najbardziej jaskrawych należy na przykład w artykule bibliograficznym, w ustępie o angielskich tłumaczach Mickiewicza: ,,....and Monica Gardner, the author of a monograph in English on Mickiewicz 1911, who was killed during the bombing of London in the last war'' — z czego jasno wynika, że Mickiewicz został zabity podczas bombardowania Londynu w ubiegłej wojnie. W języku polskim ten szyk zdania ratuje, oczywiście, żeńska forma zaimka, w języku angielskim jednak jest to styl niedopuszczalny.

Prawdziwym curiosum tomu są jego dwie ostatnie, nieliczbowane stronice, podające adresy księgarń we wszystkich krajach, gdzie wydawnictwa UNESCO można nabywać. W Polsce, w ojczyźnie Mickiewicza, tego tomu nabyć nie można. W spisie krajów są: Philippines, Portugal, Puerto Rico, ale Polska tam nie figuruje.

J. HORZELSKI

Basic Polish

Bajkę o cieniu (*) nazwał Janta ,,poematem absurdystycznym'' i alegorią, po której ,,jak po prerii skacze niesforny konik: H i s t o r i a''.

Rzecz dzieje się ,,w odległej epoce'', w którymś z krajów literacko-fantastycznego Wschodu, gdzie władzę sprawuje Tyran-Potentat, którego kaprysy czy majaki otrzymują moc edyktów. Wprowadzeniu w życie jednego z nich poświęcił Janta swą 70-stronicową *Bajkę*. ,,Edykt brzmiał,

(*) Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn 1954 Buffalo.

że odtąd już nikomu /na ulicy, w polu czy też w domu/ nie wolno używać Cienia /bez uiszczenia/ odpowiednio wysokiej opłaty do kas Skarbu".

Bajka kończy się czymś w rodzaju rewolucji pałacowej. Paź, owładnąwszy Tyranem (uśpionym przez niewierną kochankę) „...do kasy dobrał (się) i kochanki".

W *Ostatnich słowach* zwraca się autor do czytelnika, proponując mu jakieś symboliczne „przeinaczenie" „Bajki", jakąś bliżej nie określoną działalność, która by nie pozwoliła „zatrzasnąć się klamrze, która zamyka dzieje Cienia".



Czym jest alegoria? I czym różni się od pokrewnego jej symbolu? Alegoria jest znakiem umownym przywołującym nam na myśl jedną jedyną ściśle określoną treść skojarzeniową. I tak „Nowy Rok" w alegorycznym wyobrażeniu ma kształt i uśmiech dziecka, a „Śmierć" jest staruchą z kosą na ramieniu.

Zupełnie inną rolę pełni symbol. Jest on również przedmiotem-znakiem wywołującym inne treści, ale treści te są bogate, pozwalające na wielorakie i subiektywne interpretacje.

Symbol jest trampoliną, z której każdy odbija się, aby poszybować po swojej emocjonalnej przestrzeni, uwarunkowanej tym co nazywamy „życiem wewnętrznym". Weźmy na przykład „koło". Ileż obrazów, ile myśli spokrewnionych jakąś nieznaną krwią, nadpłynie ku nam, zapełniając wyobraźnię. Słońce, oko, jakaś droga zamknięta w pętlę, skorpion zwinięty samobójczo, bochen chleba czy hostia — krocie kształtów spełnionych i doskonałych promieniujących wciąż nowymi światłami. I jedyną więzią łączącą symbol z naszymi osobistymi echami jest jakiś wspólny klimat, wspólna aura.

W alegorii, pomimo przebrania, poznajemy osobę nam znaną — i na tym koniec. Symbol wprowadza nas między ludzi obcych, u których ze zdziwieniem odnajdujemy rysy jakby skądś już nam znajome.

Bajka o Cieniu jest niewątpliwie alegorią. I to nawet alegorią z dziurami. Autor, jakby nie dowierzał, że czytelnik bez jego pomocy potrafi odgadnąć szyfr alegoryczny, raz po raz uchyla orientalnej dekoracji dając nam do zrozumienia iż chodzi mu o satyrę na państwo totalitarne typu komunistycznego. Aby nikt nie miał wątpliwości dodaje że „Tyrana" możemy umiejscowić w „dawnym Iranie", lub „w rodzimej może kręgu lipy"... (str. 15). Zresztą kochanka Tyrana „liczyć lubiła kopiejki" (str. 18), a „Zbrodnie Wroga Ludu" ogłoszono „wsiem, wsiem, wsiem" (str. 38).

Utwór satyryczny wymaga od autora fantazji i dowcipu. Niestety, *Bajka o Cieniu* jest kompletnie pozbawiona obydwu tych elementów. Cały jej „dowcip" oparty jest jedynie i wyłącznie na *kalamburze i głupstwiarstwie.*

Zacznijmy od kalamburu. Czytamy, że dzieci otrzymują historię „w pod-ręcznikach". „Co ręczniki mają do tych nauk?" — zapytuje autor; zaś konstytucja w państwie Tyrana jest „na-pięta przy pomocy kleszczy/ by na pięcie — pięcie Potentata"... itd. Gdzie indziej znów „Kat Damian przedstawił wynik/ *czarno na białem* Potentatowi... Lecz Potentata ten *czarny nabiał...* nie zadowolił." (podkr. autora).

Niewinne A-Be-Ce zmienia autor w A-Be-eS, aby móc dorzucić nowe kalambury: „abesadło" i „ABSurd". W haremie Tyrana są „Dziwy"

i autor dodaje: „były tam niejedne dziwy". Pisze „Migi", komentując: „Migów wprawdzie, zważywszy na datę... nie znano. Na migi rozmawiali..."

Aż dwa razy cieszy się Janta swym odkryciem, że „do wody" i „dowody" to jednak nie to samo (str. 56 i 59).

Najcharakterystyczniejszym dla atmosfery całości jest kalambur, który autor powtarza z lubością (pięć razy!): sądu pytanie, sądu pytanie..."

A teraz o głupstwiarstwie. Aby móc ocenić jego gatunek nie pozostaje mi nic innego, jak tylko cytowanie.

„...Zulejka wzburzona
odtrąciła (Karła) od swojego łona
gdy ta podła a śmieszna figurka
na powaby wrażliwa wypukłe
zamachnęła się kiedyś i jużby
i o mało nie dała w nim (?) nurka..." (str. 45/6)

A oto inny przykład (również mowa o Zulejce):

„Za dnia natomiast wmawia Satrapie
że więcej takich jak Damian złapie
(nie mówiąc za co, przez wzgląd na dziatwę)..." (str. 46)

Znajomość malarstwa ułatwiła autorowi taką oto dygresję:

„pamiętasz SZAŁ Podkowińskiego ?
pamiętam: piana z pyska śwista (sic)
i biodra fallujące w cwale
ogier i ona na golasa
symbolika niecałkiem czysta
ten babi biust na Bucyfale..." (str. 53)

Głupstwiarstwo to pomaga czasem Jancie ująć krótko i węzłowato jakiś moment dziejów, jak np. gdy pisze:

„... kiedy Europa się po Byku
a Krasy Byk się po Europie
zdrowo przejechał, aż w wyniku
chociaż Agenorowa córa
zdrowo krzyczała gwałtu-rety
po-carskim cięciem i na ura
dokonywano jej podziału..." (str. 53)

Pod koniec utworu, kiedy Paź ma wyciągnąć gałkę decydującą o jego życiu lub śmierci, Janta zdobywa się na taki oto dowcip:

„Wsunął rękę do urny i szuka.

Długo szuka, w dwóch gałkach przebiera
(w czem, przyznajmy, niejaką ma wprawę)
wie że z obu ginie się, umiera
(dotąd zwykle miał z tego zabawę)..." (str. 58)

Czytelnicy nic nie stracą jeżeli pominę ustępy dotyczące „W.C" (str. 25 i 28).

I pomyśleć, że to wszystko kończy się... patetycznie, nieomal „Królem Duchem". Ale zanim człowiek dotrze do owego końca musi wpierw przebrnąć przez 70 stron straszliwej nudy i zgrzytającego w zębach szwargotu, w rodzaju:

„Jednak standardyzacja stadna
tem często się odznaczać zwykłszy
że gdy jej przyjrzy się dokładna
lupa inspekcji — indywidua
sterczą w niej niczem worek z szydła
i fakt, że były w niej zdradziwszy
szanse na jakiś rozwój żywszy
tracą, zmuszone do złożenia
nie opłat, ale duszy Cienia..." (str. 51)

Nie chcę i ja uderzać w tony wieszcze, ale myślę, że emigrant, zatopiony w obcojęzycznym żywiole, oczekuje od pisarza, że on jeden przechowa mowę, aby nią żywić tych, którzy jej łakną.

Książka Janty nie przyniesie nikomu oczekiwanego pokarmu.

Marian PANKOWSKI

Szwedzkie polonica bibliograficzne

Dr Józef Trypućko, docent slawistyki na uniwersytecie w Uppsali, autor poważnego studium o języku Syrokomli, i kilku wydawnictw językoznawczych, że wymienimy popularniejsze, „Polsk grammatik" oraz „Mały słownik szwedzko-polski i polsko-szwedzki", opracowane wspólnie z Gunnarsonem i Jacobsonem, wzbogacił bibliografię europejską zbiorem szwedz-

kich poloniców (1). Dzieło, do którego materiały zebrano już w pierwszych latach wojny, było gotowe do druku w roku 1947 (2), niestety fatalne warunki wydawnicze Emigracji, a zapewnie i osobliwość samego tematu, sprawiły, że manuskrypt czekał swego wydawcy dalszych siedem lat. Opublikowano go wreszcie w bieżącym roku, dzięki poparciu Instytutu Słowiańskiego w Uppsali, w postaci powielanej, w dwu sporych tomach formatu czwórki.

Bibliografia nawiązuje do pracy prof. Stanisława Wędkiewicza, który w swej „La Suède et la Pologne" (3) zestawił polonica szwedzkie do końca pierwszej wojny światowej. Trypućko, pokrywając okres międzywojennego dwudziestolecia, zebrał liczbę 3.443 poloniców szwedzkich, i uwzględnił poza tytułami książek i broszur, także tytuły prac publikowanych w pismach fachowych i w prasie. Lista tych pism, obejmująca 72 pozycje, podana jest na początku bibliografii. Właściwie liczba zebranych tytułów jest daleko większa, gdyż bibliograf często kumuluje serię artykułów prasowych, pokrewnych tematem lub pochodzeniem, w jedną zbiorową, rzeczową lub autorską pozycję.

W opracowaniu materiału Trypućko odbiega od przyjętego schematu klasyfikacyjnego, stosując podział, podyktowany zapewnie charakterem i ilością materiału, zebranego w poszczególnych dziedzinach. W całości przeważają tytuły historyczne i polityczne, obejmujące cały tom pierwszy (1.926 poz.), oraz kilkaset pozycyj drugiego tomu. Zgrupowano je w porządku chronologicznym w okół osób lub zdarzeń historycznych, jeśli chodzi o dzieje dawniejsze, oraz wokół zagadnień politycznych (Górny Śląsk, Sprawa Wilna, „Korytarz gdański", mniejszości narodowe w Polsce, Polonia zagraniczna, etc.), jeśli chodzi o Polskę współczesną. Tom drugi przynosi bogaty wybór zagadnień specjalnych. Otwiera go rozdział XVII-ty, w którym zebrano tytuły z polskiej literatury pięknej i naukowej, przełożonej na język szwedzki. Okazuje się, że najczęściej tłumaczonym autorem polskim w Szwecji w tym czasie jest Sienkiewicz (26 poz.), po czym kolejno następują: Reymont, Żeromski, Chłędowski i Ossendowski, wreszcie Jerzy Kossowski i Sergiusz Piasecki. W przypadku Sienkiewicza i Chłędowskiego są to przeważnie wznowienia wydań z lat 1901-1917. Z listy 325 przekładów zebranych przez autora, pięć szóstych przypada na piśmiennictwo naukowe, publicystykę oraz fragmenty literackie, ogłoszone w czasopismach i w prasie, a jedna szósta na publikacje książkowe, głównie beletrystykę. Proporcja ta, skądinąd wynik sumienności i odkrywczości bibliografa, jest wskaźnikiem jak dalece niedokładny obraz rzeczywistości dają nam bibliografie literackie, poprzestające jedynie na zestawieniu pozycji książkowych.

Sympatyczną niespodzianką jest rozdział XVIII, zajmujący się muzyką,

---

(1) Józef Trypućko: *Bibliografi over svenska polonica* 1918-1939. *Bibliografia szwedzkich poloniców za lata* 1918-1939. Slaviska Institutionen vid Uppsala Universitet (i distribution), Uppsala 1955. 4° I. (V—138 kart) II. (139-278 kart).

(2) Józef Trypućko. Życie Nauki, 1947, nr 17/18, strona 112.

(3) Stanislas Wędkiewicz: *La Suède et la Pologne*. Essay d'une bibliographie des publications suédoises concernant la Pologne. Stockholm, 1918. 8°. Str. 112.

tematem rzadko opracowywanym w bibliografiach ogólnych. Zebrano w nim wydawnictwa nutowe polskich kompozytorów wydane w Szwecji. Najliczniej reprezentowany jest Chopin, poza tym jest kilka „albumów na fortepian" Tekli Bądarzewskiej, oraz po kilka popularnych utworów Paderewskiego i Wieniawskiego. Baranowski, Friedman, Huberman, Lewandowski, Moniuszko i Stojowski, każdy reprezentowany jednym utworem, zamykają ubogą listę szwedzkich poloniców muzycznych. Nad podziw bujna jest natomiast literatura biograficzna i publicystyka dotycząca polskich muzyków i śpiewaków. I tak: poza znanymi monografiami szopenowskimi Adolfa Hilmana i Iny Lange, do których w roku 1943 dołączył się Törnborn, Trypućko, w rozdziale XIX, poświęconym biografiom, notuje aż 34 Chopiniana, a sumienna ta lista wykazuje jeszcze drobne opuszczenia, gdy porównamy ją z szopenowską bibliografią Sydowa. Paderewskiego dotyczy 25 pozycyj, Wandy Landowskiej 6, a Jana Kiepury, 35. Nie brak też pozycyj dotyczących Friedmana, Hubermana, Gimpla i Mary Michalskiej.

Rozdział literatury biograficznej wykazuje ponadto, że jeśli chodzi o polityków i wodzów, najwięcej uwagi poświęcono J. Piłsudskiemu (60 poz.), Śmigłemu-Rydzowi, Janowi z Tęczyna, T. Kościuszce i królowi Zygmuntowi III. Z uczonych najpopularniejszymi są: M. Curie, M. Kopernik i T. Zieliński. Kobietę polską w biografii szwedzkiej reprezentuje przede wszystkim Curie-Skłodowska i Katarzyna Jagiellonka, potem Maria Walewska i Ewelina Hańska. Skoro jesteśmy przy biografiach, warto podkreślić zestawienie wyczerpującej literatury, dotyczącej głośnego sporu F. Ossendowskiego ze szwedzkim uczonym Sven Hedinem.

Z dalszych rozdziałów, dla Polaka szczególnie interesującymi są: rozdział pt.: „Polskie motywy a literatura szwedzka", zawierający obok tytułów szwedzkiej twórczości oryginalnej, także tytuły przekładów z rosyjskiego i niemieckiego, oraz rozdział XLIV, ilustrujący stosunki kulturalne i gospodarcze szwedzko-polskie na podstawie wywiadów i reminiscencyj z odwiedzin Polski i Szwecji przez dziennikarzy, delegacje, studentów i bibliotekarzy.

O ile z jednej strony, bibliografii Trypućki wytknąć można by uchybienia formalne, w postaci uproszczeń opisu bibliograficznego, braku danych, umiejscowiających materiał autopsyjny i pomieszanie literatury pięknej i naukowej z artykułami publicystycznymi i dziennikarskimi, o tyle z drugiej strony, podkreślić trzeba takie wiele znaczące zalety, jak szczegółowość klasyfikacji zebranego materiału, przytoczenie wielkiej liczby recenzyj o zestawionym piśmiennictwie, i widoczną w opracowaniu dzieła tendencję, do dania wszechstronnego, żywego i aktualnego obrazu zainteresowań piśmiennictwa szwedzkiego sąsiedzką Polską.

Dla bibliografii polskiej na wychodźstwie, z trudem zaledwie rejestrującej *polsko-języczny dorobek diaspory,* lub usiłującej zainteresować Zachód w bieżącej produkcji wydawniczej Kraju, czy odrabiającej zaniedbania z okresu międzywojennego naszej historii, praca Trypućki o *polonicach obcojęzycznych,* jest rzadką i cenną pozycją, i wespół z „La Pologne en France" Lorentowicza, jedynym w tej dziedzinie, po wojnie opublikowanym wydawnictwem.

Praca Trypućki została powielona, zamiast doczekać się normalnego książkowego wydania jej drukiem, na które w zupełności zasługuje, które

jedynie może zadowolić każdego autora, i które jest, jak na nasze obecne warunki, jedyną nagrodą za lata żmudnej i drobiazgowej, rzadko docenianej pracy bibliografa.

Jan KOWALIK

Polonica szwedzkie Dr. Józefa Trypućki z zakresu bibliografii i bibliotekarstwa, 1942-1955.

1 Bibliografi över svenska polonica 1918-1939. Bibliografia szwedzkich poloniców za lata 1918-1939. I-II. Uppsala, Slaviska Institutionen vid Uppsala Universitet (i distribution) [Uppsala] 1955. 30x21, I (V-138-1 nlb); II (139-278-1 nlb). [Maszynopis powielany].

2 La linguistique polonaise après la guerre. Essai de bibliographie. [Stockholm] 1948. 22.5x16. Str. 14. [Odbitka ze „Svio-polonica", 1946-1947, VIII-IX, 63-74].

3 O polskich skarbach bibliotecznych w Szwecji. — Merkuriusz polski nowy ale dawnemu wielce podobny y Życie akademickie, Londyn I-VI, nr 7/8, 8-9.

4 Polska författare i Sverige, 1918-1939, Bibliografisk förteckning. [Stockholm, 1942, Tryckeri Balder] 23x16. Str. 24-1 nlb. [Odbitka ze „Svio-polonica", 1942, III, 55-83].

5 Svenska arbeten om det fria Polen och polackerna. Uppsala, Nya Tidning z dn. 19. IX. 1944.

6 Szwedzka slawistyka po roku 1939. — Slavia Occidentalis, 1948, XIX, 403-417.

Nadesłane nowości wydawnicze

LITERATURA

MACKIEWICZ (Józef). *Kariera-wicz.* Str. 251. Ilustracje Kazimierza Pacewicza. (Wyd. Orbis-Księgarnia Polska, Londyn, 1955, Cena 14/6).

CYGAN (Wincenty). *Granatowa załoga.* Str. 360. Obwolutę projektował Stefan Baran. Tom XX Serii Czerwonej „Biblioteki Polskiej" (Nakł. Kat. Ośr. Wyd. Veritas, Londyn, 1955, Cena 15 sh.).

KOSSOWSKI (Jerzy). *W Wogezach straszy nocami.* Str. 382. Obwolutę projekt. Adam Kossowski. Tom XXI Serii Czerwonej „Biblioteki Polskiej". (Nakł. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas", Londyn, 1955, Cena 15 sh.).

LEDNICKI (Wacław). *Pushkin's bronze horseman.* The story of a Masterpiece. With an Appendix Including, in English, Mickiewicz's „Digression", Pushkin's „Bronze Horseman", and Other Poems. Str. 163. University of California Publications: Slavic Studies T. I. (Wyd. University of California Press, Berkeley and Los Angeles, 1955, Cena $2,50).

LÜTHY (Herbert). *A l'heure de son Clocher.* Essai sur la France. Pp. 340. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1955, fr. 760).

HESSE (Hermann). *Le jeu des perles de verre.* Tome I. Traduit de l'allemand par Jacques Martin, Pp. 262. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1955).

HESSE (Hermann). *Le jeu des perles de verre.* Tome II. Traduit de l'allemand par Jacques Martin, Pp. 289. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1955).

KRAKOWSKI (Edouard). *Mickiewicz et l'histoire pathétique de la Pologne.* Pp. 220. (Ed. La Colombe, Paris, 1955, frs 750).

DESBORDES (Jacques). *Pitié pour l'autre.* Pp. 217. (Ed. Robert Laffont, Paris, 1955, frs 500).

HAEDRICH (Marcel). *Je veux, tu veux, il veut.* Pp. 226. (Ed. Lalfont, Paris, 1955, frs 590).

DOKUMENTY CHWILI

POLIAKOV (Léon) - WULF (Josef). *Das Dritte Reich und die Juden.* Dokumente und Aufsaetze. Str. 457. (Wyd. Die Arani Verlag - GMBH, Berlin - Grunewald, 1955, cena egz. DM 39,50).

Martyre et héroîsme des femmes de l'Allemagne Orientale. Récit succint des souffrances de la Silésie en 1945-1946. Rédigé et édité par Johannes Kaps, docteur en théologie.. Pp. 132. (Edition „Le Christ en Marche", Monachium, 1955).

W obronie Państwa Polskiego. Przemówienie prezesa Rady Ministrów Antoniego Pająka, wygłoszone w Londynie na zebraniu publicznym w Caxton Hall w dniu 17 września 1955. Str. 26. (Wyd. Londyn, 1955, cena 1 sh.).

KOT (Stanisław). *Listy z Rosji do gen. Sikorskiego.* Str. 576 plus 1 mapa i fotografie w tekście. (Nakł. autora, Londyn, 1955).

WRIGHT (Richard). *Bandoeng, 1.500.000.000 d'hommes.* Traduit de l'américaine par Hélène Claireau. Pp. 203. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1955).

LAEUEN (Harald). *Polnische Tragoedie.* Str. 359 i 1 mapa. (Wyd. Steingrüber Verlag, Stuttgart, 1955, Cena DM 11,80).

RÓŻNE

PONIATOWSKI (Juliusz). *Productivité, capital et travail dans l'agriculture polonaise d'après-guerre.* Cahier I. (roneo) de „l'Economie des Démocraties Populaires" — travaux dirigés par J. Marczewski, Pp. 102. (Ed. Fondations Nationale des Sciences Politiques. Centre des Relations Internationales, Section Europe de l'Est, Paris, 1955).

ZALESKI (Eugène). *Mouvements ouvriers et socialistes.* (Chronologie et bibliographie). *La Russie.* Tom I: 1725-1907. Pp. 463. (Ed. Les Editions Ouvrières, Paris, 1956, fr. 1.980).

GEYER (Dietrich). *Die Sowjetunion und Iran.* Eine untersuchung zur Aussenpolitik der UDSSR im Nahen Osten. Str. 100 plus mapa. Nr 16 Arbeitsgemeinschaft fuer Osteuropaforschung (Wyd. Tuebingen 1955, Boehlau-Verlag).

V Rocznik Polskiego Towarzystwa Naukowego na obczyźnie. Rok 1954-1955, str. 108 (Wyd. Pol. T-wo Nauk. na Obczyźnie, Londyn, 1955, cena sh. 7/6.).

STAAR (Richard F.). *The Secretariat of the United Polish Workers Party (PZPR).* Str. 272-285. (Odbitka z Journal of Central European Affairs, Vol. XV. Nr III, October 1955, USA).

Nauka Polska na Obczyźnie. Stron 76. (Wyd. Polskie T-wo Naukowe na Obczyźnie, Londyn, 1955. Zeszyt I., Cena sh. 7/6).

LAURAT (Lucien). *Bilan de vingt-cinq ans de plans quinquennaux* (1929-1955). Pp. 263. (Ed. Les Iles d'Or, Paris, 1955).

Sowjetische Zeitschriften in wissenschaftlichen Bibliotheken der Bundesrepublik und Berlins 1945-1955. Opr. dr Georg Krause. Str. 92. (Wyd. Arbeitsgemeinschaft fuer Osteuropafarschung, Tuebingen, 1955).

HANS (N.). *Marginalia.* Tsar Alexander I and Jefferson: Unpublished Correspondence. Str. 215-235. (Odbitka z „The Slavonic and East European Review, Vol. XXXII, Nr 78).

Listy do Redakcji

Mendoza (Argentyna).

Szanowny Panie Redaktorze,

Wobec poruszenia na łamach ,,Kultury" sprawy stosunków polsko-litewskich w artykule dr. Girniusa, oraz następnie w listach do Redakcji, pragnę dorzucić kilka dodatkowych informacyj.

Będąc posłem z ramienia mniejszości polskiej w Litwie, do Sejmu Litewskiego w Kownie w latach 1923 - 1927, miałem sposobność zapoznania się z nastrojami, jakie panowały w politycznych stronnictwach litewskich. (Reforma ustawy wyborczej w Litwie w 1927 roku pozbawiła wszystkie mniejszości narodowe możności posiadania nadal swych przedstawicieli w Sejmie).

Prawica litewska: narodowcy (Smetona, Waldemaras) i chrześcijańska demokracja (ksiądz Purickas) pokładali nadzieje na dobrych stosunkach z Niemcami. Lewica: ludowcy (Sleżevićius, Toluśis) oraz socjal-demokraci (Pożeła) zerkali w stronę Sowietów. Stosunek do Polski wszystkich stronnictw był jednakowo negatywny.

W roku 1926 Sleżevićius doszedł do władzy i jako premier udał się natychmiast do Moskwy; wrócił z triumfem, przywożąc traktat handlowy w którym Sowiety, między innymi, uznawały prawa Litwy do Wilna i obiecały poparcie dyplomatyczne w tej sprawie.

W praktyce jednakże przyjaźń ta okazała się złudna. Po napaści sowieckiej na Polskę w 1939 roku i po zajęciu Wilna przez Rosjan, zostało ono oddane Litwie. Równocześnie jednak Sowiety, w trosce o bezpieczeństwo Litwy, zażądały baz wojskowych dla 30.000 żołnierzy, oraz różnych przywilejów politycznych. Tego jednakże było za mało. 15 czerwca 1940 roku przyjacielskie tanki sowieckie toczyły się już po ulicach Kowna. Prezydent Smetona, straciwszy wiarę w prawdziwą niepodległość Litwy, w tym dniu opuścił kraj. W Litwie potem często dawały się słyszeć głosy: odzyskaliśmy Wilno, ale straciliśmy Litwę.

Nastroje antybolszewickie rosły, i, gdy w 1941 roku wybuchła wojna niemiecko-sowiecka, litewskie oddziały partyzanckie szły w przednich strażach niemieckich, rozbrajając cofających się Rosjan i tępiąc miejscowych komunistów.

Powstały nadzieje że Niemcy odbudują niepodległą Litwę. Stworzył się rząd litewski. Premierem miał być pułkownik Szkirpa (były poseł litewski w Warszawie). Rząd niemiecki nie pozwolił mu jednak wrócić z Niemiec do Litwy!

Powoli Litwini rozczarowali się do nowych przyjaciół i zrozumieli że ma tu być ,,Ostland" a nie niepodległa Litwa. Przekonali się że hitleryzm to taki sam bolszewizm, tylko brunatny a nie czerwony.

Przy powtórnym zalewie Litwy przez hordy bolszewickie w roku 1944 dużo Litwinów wyemigrowało na zachód. Pozostały w kraju aktywniejszy i uświadomiony narodowo element litewski został wywieziony do Rosji. Mło-

dzież poszła do lasu, tworząc oddziały partyzanckie, które przez długi okres wyrządzały bolszewikom duże straty.

Polityka prosowiecka i proniemiecka w Litwie zbankrutowała z kretesem. Trzeba szukać nowych dróg.

Miejmy nadzieję, że lekcja historii nie poszła na marne i że przyszłe stosunki polsko-litewskie układać się będą na nowych podstawach, ku dobru obu narodów. Oby tylko dało się znaleźć sposób rozwiązania sprawy Wilna, zadawalniający obie strony.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania,

Inż. Bolesław LUTYK

◆

Quincy, Mass., 28. 1. 56.

Szanowny Panie Redaktorze,

Jako Amerykanin polskiego pochodzenia pragnę z radością powitać inicjatywę pana Brzezińskiego z Kanady utworzenia Światowej Rady Polaków dla prowadzenia polskiej akcji politycznej zagranicą. Uczęszczając od czasu do czasu na różne polskie akademie w Bostonie i Nowym Jorku zauważyłem jak coraz bardziej zmniejsza się ilość Polaków, którzy poczuwają się do jakichkolwiek związków z działalnością skłóconych dygnitarzy w Londynie, wszystko jedno czy tych którzy działają w imieniu konstytucji z roku 1935, czy tych którzy działają w imieniu partii politycznych z roku 1939. Najwyższy czas, by działalność polityczna była prowadzona przez tych, którzy mogą dać jej rzeczywistą podstawę finansową na prawdziwie demokratycznych zasadach — czyli przez skupienia pochodzenia polskiego w różnych krajach Ameryki, czy też Europy, Australii, itp. zorganizowane we własne organizacje.

Myślę, że w działalność tego rodzaju można by wciągnąć bardziej efektywnie młodzież naszą, która na ogół przyjmuje obywatelstwa obce nie tracąc jednak poczucia polskiego, ale która nic nie ma wspólnego z tym co się robi (a właściwie wyrabia) w Londynie. Tego rodzaju akcja mogłaby sobie również pozwolić, między innymi, na różne większe imprezy propagandowo-polityczne jak na przykład ta zainicjowana przez grupę Polaków-Amerykanów w związku z SS „Wolna Polska". Tego Londyn przez 10 lat nie zrobił! Ja osobiście miałbym znacznie większe zaufanie, że ci co umożliwili „Wolną Polskę" i ci którzy są w ścisłym kontakcie z naszą Polonią, jak Rozmarek czy Brzeziński, zdziałają znacznie więcej niż jakaś ambasada w Libanie czy Rzymie. Tę ostatnią mógłby Watykan sam utrzymywać. Mam nadzieję, że nasze organizacje i te we Francji podejmą tę inicjatywę.

Z poważaniem,

Władysław KWIATKOWSKI

◆

Rzym, 25 stycznia 1956.

Szanowny Panie Redaktorze,

Rozpoczął Pan bodaj dziewiąty rok wydawania „Kultury". Czytelnicy tego miesięcznika i ci którzy go na ogół chwalą, i ci którzy go czasem ganią,

są zgodni w uznaniu wielkiego wysiłku i wytrwałej pracy Pana Redaktora.

Należę do czytelników „Kultury" od dawna. Często rad jestem, gdy zmęczony całodziennymi pracą i kłopotami biorę ją do ręki. Nieraz nie zgadzam się albo z treścią czytaną, albo z faktem umieszczenia takiego czy innego artykułu.

Chciałbym wypowiedzieć uwagę co do wrażenia jakie nieraz pozostaje po przeczytaniu czy artykułów czy korespondencji dotyczących stanu spraw polskich na emigracji. Wydaje mnie się iż za wiele miejsca było poświęcane wiadomościom o naszych sprawach wewnętrzno-politycznych, a za mało się czytało o rozwoju i znaczeniu życia polskiego na emigracji.

Stosunki wewnętrzno-polityczne na emigracji są źródłem zmartwienia i troski dla olbrzymiej większości nas świadomie pozostałych poza granicami Rzeczypospolitej Polskiej. Obecny stan rzeczy w Londynie, odbijający się z różnym nasileniem we wszystkich polskich ośrodkach, jest dla wielu z nas niewytłumaczalny, dla obcych zupełnie zagadkowy. Artykuły „Kultury" tego stanu rzeczy dotyczące robią na pewno smutne wrażenie w Kraju, odbierają otuchę, służą prasie komunistycznej. Artykuły te, zdaniem moim, tu stanu rzeczy nie naprawiają, a w Kraju przynoszą szkodę. Rzeczywistość polska emigracyjna składa się bowiem nie tylko z akcji czynników polskich politycznych, ale też z istotnej pracy i wysiłku każdego prawie Polaka, przebywającego w krajach wolnych.

Ta druga strona medalu emigracyjnego — ten indywidualny polski wysiłek — jest ponad wszelkie oczekiwania pozytywny.

Stan rzeczy powstały na skutek zakończenia działań wojennych w roku 1945 spowodował istnienie szeregu emigracji politycznych. Z emigracji europejskich nasza emigracja jest najliczniejsza, najwartościowsza, najdzielniejsza, najzaradniejsza. Składa się ona z ludzi, którzy udali się w różnych kierunkach geograficznych, zawsze wszakże z jedną ideą: walki o niepodległość Ojczyzny. Składa się ona z ludzi ofiarnych, którzy przeszli przez niebywałe trudności, pokonali ogromne przeszkody, przeżyli wielkie niebezpieczeństwa — dla idei. Wielka część emigracji jest w sile wieku. Wszyscy, dosłownie wszyscy, wiele się nauczyli. Poziom ich podniósł się ogromnie. Wrodzone zdolności Polaków, Białorusinów, Ukraińców a też Żydów którzy pod sztandarami polskimi wspólnie o wolność walczyli — a przecie nasza emigracja obecna to prawie wyłącznie byli żołnierze — rozwinęły się bardzo. Odwaga wykazana — ileż razy! — w dążeniu do wojska i w wojsku samym, teraz wykazywana jest w pracy i życiu. Uczucie koleżeństwa i chęć wzajemnej pomocy, przekonanie o własnej wartości, znajomość licznych krajów, a też nieraz kilku języków, są cechami naszych emigrantów byłych wojskowych.

Emigracja nasza zyskuje indywidualnie codziennie na uznaniu, podnosi się, bogaci się, wzmaga swe możliwości wpływów wszędzie gdzie przebywa, w jednych krajach powolniej, w innych szybciej, ale wszędzie.

I jeszcze jeden bardzo ważny fakt: nasza emigracja obecna zaczyna być coraz bardziej ceniona przez nasze dawne rzesze emigracyjne, które opuszczały kraj „za chlebem" w jak smutnych nieraz warunkach. Emigracja nowa współpracuje coraz bliżej z emigraciami dawnymi, przez swe zdolności i wartości podnosi znaczenie emigracji polskiej w ogóle i podnosi też możliwości wpływów i działalności w sprawach Polski dotyczących. Co to może mieć za znaczenie we wszystkich krajach, a w szczególności w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, nie potrzeba tłumaczyć. Jest to zapewne jeden z głównych powodów obecnie, z dużym nakładem prowadzonej, przez czynniki reżymowe „akcji repatriacyjnej".

Gdy wyjdziemy z okresu rozdźwięków politycznych naszego centralnego ośrodka w Londynie, nasza reprezentacja polityczna będzie miała powięk-

szone, i to znacznie, możliwości działania, tak politycznego jak i materialnego.

Ten stan rzeczy powinien być jeszcze jedną zachętą do starań doprowadzenia do porozumienia i zgody w naszym ośrodku politycznym i służyć może do pokrzepienia ducha w Kraju.

Proszę Pana Redaktora przyjąć wyrazy mego szacunku i serdeczne pozdrowienia.

Emeryk CZAPSKI

◆

Gladbach, 12. 2. 1956.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze !

W swoim czasie obiecałem Panu podać pewne informacje o pobycie B. Bieruta w Mińsku w latach 1941-1943. Nawet p. Światło są te szczegóły z przeszłości Bieruta nieznane. W jego relacjach nie ma o tym żadnej wzmianki. Klucz do tej tajemnicy leży w ręku trzech osób : pp. dr. fil. Jana Stankiewicza, obecnie redaktora białoruskiego czasopisma „Vieda" w Nowym Jorku, dr. med. W. Tumasza, przebywającego w Stanach Zjednoczonych i byłego starosty Demidowicz-Demideckiego, przyjaciela Bieruta, stałego gościa w Belwederze. Postaram się jak najkrócej podać znane mi fakty.

Wkrótce po zajęciu Mińska przez wojska niemieckie udałem się rowerem do Mińska, aby obejrzeć z bliska stolicę Białorusi. Było to mniej więcej w lipcu 1941 roku. Spotkałem tam kilku znajomych w zarządzie miasta, którzy zaproponowali mi kupno drożdży. Dostałem od nich zezwolenie na zakup drożdży i zostałem skierowany do niejakiego p. Bieruta. Bierut wydał mi drożdże, ale sama postać tego osobnika i jego nazwisko nasuwały mi pewne podejrzenia. Kojarzyło się ono z nazwiskiem komunisty Bieruta, wymienionego w latach trzydziestych za księży ze Związku Sowieckiego.

Na początku października 1941 roku udałem się znowu do Mińska, aby odwiedzić mego dobrego znajomego ze studiów na USB w Wilnie, p. dr. W. Tumasza, który pełnił wówczas obowiązki komisarycznego burmistrza miasta Mińska. W czasie przyjacielskiej rozmowy wspomniałem mu, że osoba Bieruta jest mi podejrzana. P. Tumasz pochwalił Bieruta jako dzielnego pracownika, ale w toku dalszej rozmowy i po pewnych wahaniach opowiedział mi co następuje :

„Jakim cudem Bierut znalazł się w Mińsku — nie wiem. W każdym razie, wkrótce po wkroczeniu wojsk niemieckich do Mińska, zgłosił się dobrowolnie jako kandydat na pracownika miejskiego. Wszędzie przedstawiał się za zbiałoruszczonego Polaka. Przyjęto go chętnie, bo był brak chętnych do pracy, a dawni sowieccy pracownicy albo siedzieli w ukryciu lub pouciekali na Wschód za czerwoną armią. Bierut okazał się niezłym pracownikiem, zdołał zabezpieczyć kilka magazynów żywnościowych przed grabieżą motłochu. Przed kilkoma dniami zgłosił się do mnie Bierut w bardzo dyskretnej osobistej sprawie. Przyjąłem go natychmiast. Nie rozprawiając długo, wyjmuje Bierut ze swego portfelu podanie do Gestapo w Mińsku, w którym dokładnie podał swój życiorys oraz przebieg swojej wywrotowej działalności dla Kominternu. To podanie dał mi do przeglądu. Było to — na modłę rosyjskich komunistów pisemne kajanie się, „pokajanije" — wyznanie grzechów i prośba o przebaczenie. Po prostu nie wierzyłem swoim

własnym oczom. Otóż Bierut zapewniał Gestapo, że on zwątpił w komunizm, jako narzędzie międzynarodowego żydowstwa, i staje się od tej chwili zwolennikiem ,,Nowej Europy'', a jej ,,Führera'' Hitlera uważa za jedynego człowieka który przyniesie światu zbawienie i uwolnienie z rąk krwiożerczego kapitału. Oczywiście Politbiuro ze Stalinem na czele obezwał bandą szubrawców etc. W końcu podania było specjalnie zaznaczone, że Bierut jest czystym ,,aryjczykiem'' i że to go też skłania do zerwania z ,,żydo-komuną''. Jednym słowem Bierut zaklinał się na wszystkie świętości, że zrywa z komunizmem i będzie uważał służenie ,,Führerowi'' za wielki zaszczyt. Okazało się, że Gestapo wzięło już Bieruta pod obserwację, mając notatki z archiwum polskiej politycznej policji z Łodzi. Bierut uprzedził Gestapo i sam zgłosił się do niego z wyżej wymienionym podaniem. Gestapowcy przyjęli p. Bieruta bardzo uprzejmie, słuchając i czytając jego zeznania z ogromnym zainteresowaniem. Rozkrochmaleni wylewem uczuć ze strony starego komunisty, gestapowcy przyrzekli mu bezkarność, o ile on znajdzie w Mińsku dwie solidne osobistości, gotowe ręczyć za niego. Oczywiście zawahałem się złożyć podpis pod podaniem Bieruta. Zwrócił się on wtedy do p. J. Stankiewicza, ówczesnego kustosza Miejskiego Muzeum w Mińsku, i ten podpisał się na podaniu Bieruta do Gestapo i nakłonił mnie przedwczoraj do tego samego kroku, mówiąc, że Bierut jest także katolikiem i trzeba mu pomóc''.

Na tym została nasza rozmowa przerwana, bo jakiś niemiecki ,,Sonderführer'' życzył sobie porozmawiać z burmistrzem. Nasza rozmowa na ten temat — Bierut już był wtedy wiadomą osobistością w Polsce — została zakończona w roku 1947 w jednym z obozów DP. Pan Tumasz powtórzył mi to opowiadanie. Był on tylko dwa miesiące burmistrzem i wkrótce po naszym spotkaniu w roku 1941, zniechęcony polityką władz niemieckich, czy może nawet stchórzywszy, porzucił Mińsk i wyjechał do Łodzi. Na miejsce p. Tumasza p. Stankiewicz znalazł nowego poręczyciela w osobie byłego polskiego starosty p. Demidowicz-Demideckiego, który pełnił funkcje wiceburmistrza Mińska. P. Stankiewicz, znany białoruski ,,folks-frontowiec'' uchronił w ten sposób Bieruta od aresztu i likwidacji przez okupacyjne władze niemieckie. W roku 1943 Bierut znika z Mińska. Nikt nie przewidywał, jaką rolę będzie on pełnić i dlatego poręczycielom nie stała się żadna krzywda. P. Demidowicz-Demidecki opuścił Mińsk przed nadejściem wojsk sowieckich w roku 1944 i spotkał się z Bierutem w Lublinie. Ostatnio widziałem nawet na zdjęciu Demideckiego razem z Bierutem. Obaj są intymnymi przyjaciółmi.

Łączę wyrazy szczerego szacunku.

A. KORBUT

Detroit (USA)

✦

Szanowny Panie Redaktorze,

Z zainteresowaniem przeczytałem artykuł pióra dr. Jerzego Lerskiego pt. ,,Amerykański dziennik majora Hordyńskiego'' zamieszczony w numerze grudniowym z 1955 roku ,,Kultury'' i na marginesie jego spieszę skreślić kilka uwag, które mi się w związku z nim nasunęły.

Autor skreślił życiorys majora Józefa Hordyńskiego uczestnika powstania listopadowego, który wydostawszy się z niewoli pruskiej, jako jeden z pierwszych przybył do Stanów Zjednoczonych, publikując jego dziennik, zawierający wspomnienia z podróży i wrażenia które odniósł z czasu krótkiego bo zaledwie około 8-miesięcznego pobytu na wolnej ziemi amerykańskiej.

Przy tej okazji przypomniał o jego pracy pt. „History of the Late Polish Revolution and the Events of the Campain", która ukazała się drukiem — jak pisze autor artykułu — w 1833 roku.

Wydaje mi się, że nie tyle dziennik Hordyńskiego, który jest charakterystyczny ale i bardzo blady, lecz właśnie przytoczona wyżej jego książka zasługiwałyby raczej na obszerniejsze omówienie, a to i ze względu na jej treść oraz fakt, że jest rzadkością i zalicza się dziś do rzędu tak zwanych „białych kruków".

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności posiadam egzemplarz tej książki w mym skromnym księgozbiorze i skoro już sprawa jej została poruszona niech mi wolno będzie dorzucić o niej kilka słów.

Przede wszystkim pragnę sprostować, że pierwsze wydanie książki ukazało się nie w roku 1833 — jak podał dr Lerski — ale w roku 1832 i że praca Hordyńskiego jest pierwszą książką która się ukazała o powstaniu i to nie tylko w języku angielskim ale i w ogólności. Po niej dopiero ukazała się praca Cabet'a „Revolution de 1830..." w języku francuskim, wydana w Paryżu 1832, a następnie dzieło generała Romana Sołtyka „La Pologne ..." wydane w języku francuskim w Paryżu w roku 1833, przetłumaczone na język włoski i niemiecki w 1833 r. Trzytomowe dzieło dr. Ottona Spazier'a wydane w Lipsku 1833 roku (drugie wydanie w roku 1834), Carla Neufelda (Polens Revolution und Kampf im Jahre 1831), którego drugie wydanie ukazuje się w roku 1833 itd. Wymieniam prace cudzoziemców i autorów polskich którzy ogłosili prace o powstaniu w językach obcych, gdyż te miały przede wszystkim znaczenie dla naszej sprawy i przy skromnej prasie ówczesnej i ograniczonych środkach propagandowych stanowiły nieoceniony materiał informujący Europę o wypadkach i kłam zadający błędnym informacjom szerzonym przez propagandę carską zagranicą.

Jaką popularnością cieszyły się te publikacje świadczy zresztą fakt, że rozchodziły się w mig i doczekały wtórnych nakładów i tłumaczeń.

Książkę Hordyńskiego, której egzemplarz sam przed sobą, trudno nazwać historią w ścisłym tego słowa znaczeniu, niemniej śmiało zasługuje na nazwę opracowania historycznego, przy czym przyznać trzeba, że autor wykazuje naprawdę godny podziwu talent szeregowania faktów i okresów powstania, zwłaszcza jeżeli weźmie się pod uwagę że idzie pierwszy przez „gaszcz" ledwie przeżytych wypadków, brak mu źródeł, pracuje w środowisku obcym z zupełnym zaparciem się siebie i lekceważeniem spraw życiowych, pomimo że ledwie stanął stopą na nowym kontynencie.

Szczupłość miejsca nie pozwala rzecz jasna na obszerniejsze omówienie treści samej książki. Dla ogólnej informacji czytelnika zaznaczę, że obok wstępu, którego walory dostrzegł i słusznie podkreślił dr Lerski, na jej treść składa się 26 rozdziałów. Czytelnika uderza doskonałe ujęcie tematu i konstruktywność autora. Opisy wypadków politycznych i działań wojennych jasne i zwięzłe z odrzuceniem wszelkiego balastu mogącego rzeczy ważne przesłonić na rzecz wydarzeń natury podrzędnej. I znów typowe dla ówczesnego régime'u panującego w Królestwie pod rządami carskimi — w samej Warszawie pracuje 900 szpiegów, na terenie Królestwa 2 000 agentów i donosicieli, na które wydaje się 6.000.000 złotych polskich, co autor później przelicza jako jeden milion dolarów... I to czyta się dziś w 125 lat później. Doprawdy szkoda że krótka wzmianka nie pozwala na wybranie innych ciekawostek.

Treść książki uzupełnia autor dodatkiem zawierającym krótką historię Litwy, przedruki odezw powstańczych, artykułów z współczesnych dzienników zagranicznych piszących o powstaniu oraz 34 szkicami przedstawiającymi plany bitew.

W ciągu niespełna roku od chwili zakończenia powstania dał Hordyński

w ręce Amerykanów żywy i barwny reportaż o Polsce i przebiegu ostatniej walki o wyzwolenie z niewoli rosyjskiej, który właśnie dzięki ujęciu tematu, przejrzystości, a równocześnie dlatego, że wyszedł spod pióra uczestnika wypadków, spełnił swe zadanie.

Słusznie też dr Lerski przypomniał postać Hordyńskiego.

Jest rzeczą charakterystyczną natomiast, że książka Hordyńskiego o powstaniu, odbiła się bez specjalnego echa wśród emigracji polskiej. Czy to z powodu tego, że ukazała się po angielsku, czy też może dlatego, że autor pisząc ją nie kierował się absolutnie żadnymi ,,dyspozycjami" któregoś z ośrodków politycznych emigracji, pozostała prawie nieznana. Nie poświęcił jej wzmianki np. Sołtyk i inni polscy historycy powstania (Barzykowski, Mochnacki, Mierosławski) a widocznie z powodu trudności związanych z uzyskaniem jej, nie figuruje jako źródło i w nowszych opracowaniach dotyczących powstania.

Na zakończenie, krótka notatka bibliograficzna o wyglądzie książki i jej wydaniu: ,,History of the Late Polish Revolution, and the Events of the Campaign. By Joseph Hordynski, Major of the late loth Regiment of Lithuanian Lancers. Boston: Published by Carter and Hendee 1832". Została wydrukowana przez J.E. Hinckley and Co, Printers, no 14 Water Street, Boston, Mass. Wydanie pierwsze ukazało się w formacie 8-vo i zawierało stron XVI+406 i 34 szkiców.

Opis wydania drugiego z 1833 roku podał dr Lerski w swym ciekawym artykule.

Zbigniew ŚLEPOWRON-ROMAŃSKI



Londyn, 29. 12. 1956.

Szanowny Panie Redaktorze,

W grudniowym numerze ,,Kultury" ukazał się artykuł pana J. M. pod tytułem ,,Geopolityka atomowa". Ze względu na bardzo poważny charakter artykułu i zasięg ,,Kultury" uważam za rzecz konieczną przedstawić inne podejście dla oceny tego zagadnienia.

Artykuł p. J. M. opiera się na pewnych twierdzeniach niewystarczająco zgłębionych i na pewnych powierzchownych spostrzeżeniach, co w rezultacie doprowadziło do tezy i propagowania ,,pasa neutralnego".

Nie jest sprawą tak prostą, czy położenie geograficzne Anglii wywarło decydujący wpływ na jej politykę światową i czy w sprawie tej decydował charakter narodowy angielski w oparciu o bezkarność geograficzną. W pierwszej wojnie światowej zasadniczą rolę dla prowadzenia wojny przez Anglię odegrały w następującej kolejności: Francja, Imperium i wejście do wojny U.S. W drugiej wojnie światowej: opór Polski i Francji, Imperium i znowu U.S. Jak widzimy zatem bezpieczeństwo wysp — choć niezwykle ważne — nie było czynnikiem rozstrzygającym.

Mamy w historii przykłady znacznie korzystniejszego położenia geograficznego pewnych narodów — np. półwyspu Iberyjskiego — niemniej jednak Hiszpanie nigdy nie doszli w swoim zasięgu imperialnym do pozycji angielskiej sprzed 1914 roku. Zaryzykowałbym zatem hipotezę, że dominantą w polityce angielskiej był charakter klas rządzących, który — zwłaszcza po wyrżnięciu się, w Wojnie Dwu Róż, arystokracji normandzkiej — był czysto angielski, a odznaczał się dwoma głównymi cechami: kompleksem wyższości i materializmem. Henryk VIII i Cromwell, czczeni do dzisiaj po-

wszechnie przez Anglików jako czołowe osobistości historii angielskiej, pozwalają w pewnym stopniu to sobie uzmysłowić.

Jeżeli chodzi o praktyczne ujęcie elementów sytuacji światowej dla wyciągnięcia właściwych wniosków, to musi to być zrobione najdokładniej dla chwili obecnej. By być dobrze zrozumianym, przypomnę, że to, co się w tej chwili dzieje, nie jest niczym innym, jak wyłącznie wynikiem niewłaściwej oceny położenia polityczno-strategicznego od momentu wejścia do wojny Z.S.S.R. i w czasie dalszego prowadzenia wojny, czego wyrazem były konferencje w Teheranie, Jałcie i Poczdamie. Jest to również pośrednio konsekwencją stracenia Chin na korzyść tyranii kremlowskiej. W chwili obecnej niewłaściwa ocena doprowadzić musi do co najmniej podobnych konsekwencji w przyszłości.

Pan J. M. sprowadza całe zagadnienie do następujących faktów: położenie geopolityczne Europy zmieniło się na korzyść Sowietów — Sowiety dysponują w tej chwili elementami realistycznej polityki, to jest siłą i korzystną dyspozycją geopolityczną. W związku z tym twierdzi on, że N.A.T.O. w jego obecnej formie nie jest żadną odpowiedzią na zagrożenie sowieckie. A wreszcie, że możliwość bombardowania Anglii i Europy, z jednej strony, paraliżuje wolę angielską i europejską, a z drugiej — ipso facto — wyłącza je jako poważnego partnera na przyszłość. W sposób bardzo realistyczny wyciąga on z tego wniosek, że należy N.A.T.O. sprzedać dopóki posiada ono dobrą cenę i szukać wyjścia z dzisiejszych trudności w ramach pasa neutralnego.

Miałbym tutaj zasadnicze zastrzeżenia. Przede wszystkim co do przewagi położenia geopolitycznego Sowietów w stosunku do ich dziś głównego przeciwnika to jest U.S. Nie tylko nie widzę przewagi geopolitycznej Sowietów, ale widzę ich zasadniczą słabość w stosunku do U.S. Muszę się zastrzec wyraźnie i kategorycznie, że mam na myśli chwilę obecną, a nie to, do czego może polityka U.S. i Europy w następnych kilku latach doprowadzić. W chwili obecnej centralizacja, jakiej wymaga ustrój tyranii, i ograniczona ilość ośrodków przemysłowych i komunikacyjnych stwarza ze Związku Sowieckiego przeciwnika, który w razie wojny mógłby być dosłownie w szeregu kilku wstępnych bombardowań wodorowo-atomowych sparaliżowany i do dalszej akcji niezdolny zupełnie. Sowiety dzisiaj nie dysponują środkami, które pozwoliłyby im na przeprowadzenie transportów z Azji, Uralu i Zauralia do jakiejkolwiek akcji przeciwko U.S. Mało tego — każda sowiecka bomba atomowa czy wodorowa, rzucona na Europę czy Anglię w ramach czystej strategii, nie tylko nie dałaby im żadnej korzyści w stosunku do głównego przeciwnika, ale pozwalałaby US. tym bardziej na rozwinięcie akcji ofensywnej, a co najważniejsze — po klęsce cofnęłaby na wiele lat możliwości przemysłowej pomocy Europy na rzecz sowieckiej odbudowy.

I tutaj dochodzę do zasadniczej różnicy zdania z panem J. M.. Zachód, w oparciu o U.S., dysponował zawsze do chwili obecnej przewagą materialną w stosunku do Sowietów. Jeśli sytuacja rozwinęła się w ten sposób, że istotnie w przyszłości może się to zmienić, to wypływa to z innych daleko ważniejszych czynników niż te, których uproszczenie widzę w sformułowaniu „Geopolityki atomowej" pana J. M.

Pozwolę sobie tutaj dla jaśniejszego zobrazowania mojej myśli przypomnieć kilka bezspornych faktów. Przyczyny pierwszej wojny światowej posiadały silny aspekt polityczny, wojskowy i moralny; bezpośrednia przyczyna — stanowisko austriackiego Auswaertiges Amt — bez dużej przesady może być określona jako aberacja bądź głupota. Co do przyczyn drugiej wojny światowej, to tutaj nie ma żadnych wątpliwości — wszyscy czołowi politycy, mężowie stanu i filozofowie Zachodu zgadzają się, że był

nią realizm Hitlera i Stalina. Co do klęski Zachodu — bo to, co się dzisiaj dzieje, musi być widziane wyłącznie w tej perspektywie — to można również spokojnie stwierdzić, że spowodowana ona została również nie czym innym, ale realizmem Zachodu. Jest rzeczą bez znaczenia ile zawinił w tym taki czy inny mąż stanu, ile było w tym błędów wielkich sztabowców amerykańskich czy innych. U podstaw decyzji tych mężów stanu i rozważań sztabu amerykańskiego tkwiło przekonanie, że kompromis moralny z tyranią Kremlu jest możliwy.

Koncepcja pasa neutralnego, jako wyniku realnej oceny geopolitycznej, jest od dawna bazą działania polityki angielskiej. Jest to jednak polityka zupełnie błędna — polityka chowania głowy w piasek. Problem: Sowiety i świat Zachodni — to nie jest problem siły fizycznej; to jest przede wszystkim problem moralny. W pasie neutralnym, za cenę organizacji przemysłowo-społecznej, nie można zrezygnować z poszukiwania prawdy. A wreszcie pas neutralny — choć może spełniać przez jakiś czas rolę pewnego izolatora w stosunku do tyranii kremlowskiej — nie rozwiązuje jednak najważniejszego problemu dla ludzkości, to jest uniknięcia wojny wodorowej w przyszłości. Wydaje mi się zatem, że konflikt: tyrania kremlowska — świat zachodni, w artykule p. J. M. nie tylko nie jest właściwie postawiony, ale proponowane rozwiązanie, rozbrajając nas moralnie, na dalszą metę musiałoby działać na korzyść tyranii kremlowskiej. Ani Europa, ani świat zachodni w chwili obecnej nie jest neutralny w sensie tak materialnym, jak i — co najważniejsze — w sensie potencjału myśli i potencjału moralnego.

Na marginesie pragnąłbym zaznaczyć, że tak rola N.A.T.O. jak i handel N.A.T.O. wypływają u pana J. M. z nieporozumienia. N.A.T.O. spełnia dzisiaj rolę wałochronu przed hordami Kremla, które w innym wypadku byłyby dawno zalały Europę. Nie wiem jaki papier, czy jaki dokument wystarczyłby, po przehandlowaniu N.A.T.O., jako gwarancja, że te hordy do Europy nie wejdą. W znaczeniu czysto strategicznym N.A.T.O. odgrywa również poważną rolę wiązania pewnej ilości sił sowieckich, a więc ogranicza swobodę działania Związku Sowieckiego; pośrednio odgrywa też olbrzymią rolę w łagodzeniu nacisków totalitarnych w tak zwanych krajach satelickich; a wreszcie jest ono jedynym widocznym organem, budzącym tam pewne nadzieje na przyszłość.

Jeżeli realizm pana J. M. wypływa z rozczarowania co do stanowiska Zachodu, to się z nim zupełnie zgadzam. Powiem więcej: oddanie Chin czerwonym tyranom — co miało miejsce w wyniku potężnych wpływów angielskich na politykę U.S., nieinterwencja w Dien-Ben-Phu, handel w Korei, wreszcie sprawa Palestyny i uchodźców arabskich — doprowadziły, poza wszystkimi innymi stratami polityczno-strategicznymi, do tej, o której się dzisiaj nie myśli — do pogrzebania wpływów filozofii i myśli chrześcijańskiej tak w Azji jak i na Bliskim Wschodzie. Dziś, gdy Azja i Bliski Wschód wchodzą na drogę organizacji i rozwoju materialnego, zaczynają się one zastanawiać, czy ich droga życia, czy ich tysiącletnie tradycje i podstawy filozoficzne nie są nie tylko równe, ale wyższe od tych, które reprezentuje realizm Zachodu.

W konflikcie tyrania kremlowska — świat Zachodu (choć nie jest on dziś doskonały, choć próbuje on osiągnięciami materialnymi zastąpić właściwą drogę życia) naród taki jak Polska nie może sobie pozwolić na tego rodzaju realizm myślenia, ani na neutralność. Nie wysuwam ze swej strony żadnych uproszczonych sformułowań czy recept — właściwe ujęcie zagadnienia wymagałoby osobnego artykułu.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania

A.K. KĘDZIOR, pułkownik.

Londyn.

Szanowny Panie Redaktorze !

Po przeczytaniu w listopadowej „Kulturze" artykułu p. S. Mackiewicza „Un travail raté" zastanawiałem się przez dłuższą chwilę, czy mam nań odpowiadać. Wiem bowiem z dość obfitego już doświadczenia życiowego, że wyjaśnienia rzadko osiągają zamierzony cel. Zawsze pozostaje ślad z wypowiedzi autora prostowanego artykułu w pamięci ludzkiej, coś jak w anegdocie o skradzionym zegarku i poszkodowanym, który mimo wszystkie usprawiedliwienia — w komisariacie był !

Doszedłem jednak do wniosku, że opinia publiczna ma niesporne prawo do uzyskania pełniejszych informacji o ostatnim okresie naszej najnowszej historii, oraz że powstrzymanie się moje od wyjaśnień byłoby równoznaczne z pewnym lekceważeniem czytelników „Kultury", do których zaliczyć również muszę i swoją osobę. Wobec tego piszę ten list i proszę uprzejmie o jego łaskawe umieszczenie w „Kulturze". Pozostawiam naturalnie bez odpowiedzi niewybredne personalne ataki p. Mackiewicza na moją osobę.

P. Mackiewicz elegijnie zatytułował swój artykuł „Un travail raté", czyli autor sam stwierdza, że działalność jego, jako kierownika rządu, nie dała oczekiwanych przez niego wyników. Dla mnie, a wydaje mi się również dla przeważającej większości obozu politycznego, który postawił sobie za cel walkę o wolność kraju w ramach zachowanego ustroju państwowego, w czynnościach pana M., jako premiera, było sporo różnorakich, czasami nawet interesujących elementów ruchu i bujnej inwencji, natomiast element pracy świecił całkowitą nieobecnością. Twierdzenie to opieram na definicji pojęcia „praca" jako świadomego działania skierowanego ku osiągnięciu zamierzonego celu. Aktywność p. Mackiewicza reprezentującego wówczas Rząd R.P. na wygnaniu, przypominała raczej nieraz przez nas obserwowane zjawisko, gdy sprzęgło łączące motor ze skrzynką biegów zostaje wyłączone; motor wówczas idzie, jego wiatraczek daje setki obrotów na minutę, auto zaś pozostaje nieruchome. Jasne jest, że w tym czasie produktywna praca nie ma miejsca, gdyż trudno uważać kręcenie się wiatraczka za cel budowy samochodów.

Chcąc pogodzić, mówiąc uprzejmie, polityczne fakty przez p. Mackiewicza podane i omawiane z ich istotnym przebiegiem historycznym, musiałbym zużyć znacznie więcej czasu, niż mi na to pozwala moja praca zarobkowa. Ograniczę się więc jedynie do tych spraw, które znam z własnego w nich udziału, względnie posiadam o nich niewątpliwe dla mnie wiadomości, zastosowując się w miarę możności do kolejności narzuconej przez artykuł, o którym mowa.

Zacznę od oświadczenia Pana Prezydenta R.P. z dnia 16 maja 1953 r.

Mimo dużej pewności siebie z jaką p. Mackiewicz twierdzi, że autorem pomysłu byłem ja, muszę stwierdzić, że zachodzi tu pierwsza z kolei, lecz niestety nie ostatnia jego omyłka. Znam projektodawcę, nie czuję się jednak w tej chwili powołany do ujawnienia jego nazwiska. Dla ścisłości stwierdzić muszę, że byłem i jestem zwolennikiem zasady kadencji na urzędzie Prezydenta, ustalonej drogą praktyki na taki sam czasokres, jaki obowiązywał w Kraju Prezydenta z wyborów powszechnych, względnie przez Zgromadzenie obu Izb dokonanych. Nie znaczy to jednak bym w całości podzielał motywację, w którą oświadczenie zostało opatrzone.

Dalej, p. Mackiewicz twierdzi, że ja i on sam byliśmy wrogami tzw. zjednoczenia. O ile logika w życiu politycznym chociażby w drobnym stopniu obowiązuje, to nie mógłbym rościć pretensji do tego zaszczytnego w pojęciu autora tytułu. Widziałem i wytykałem błędy i przerosty tego mechanicznie pomyślanego wtłoczenia w ramy jednego aktu polityczno-prawnego wszystkich polskich stronnictw i grup politycznych. Niemniej zdawałem sobie dobrze sprawę z tego, że o ile to bardzo niedoskonałe „zjednoczenie" nie zostanie przez urzędującego Prezydenta przyjęte do zatwierdzającej wiadomości i przez jego rząd wykonane, to nastąpią wśród społeczeństwa uchodźczego gorszące wypadki, absorbujące jego niemal całą uwagę i odwracające ją od naczelnego celu — pracy dla uwolnienia Kraju. Niestety, to co zaszło w ciągu czasu dzielącego nas od dnia 8 czerwca 1954 roku przewyższyło moje w tym względzie już i tak poważne obawy. To też rząd któremu przewodniczyłem chciał tzw. akt zjednoczenia w dostępnych granicach poprawić, utrzymać bardziej naszym zdaniem, rozsądną równowagę między jednoczącymi się stronami (grupy Rady Narodowej i Rady Politycznej) i po wykonaniu tych względnie drobnych uzupełnień i poprawek w dniu 7 maja 1954 r. przedłożył dekrety, nadające formę prawną temu aktowi, P. Prezydentowi do podpisu. Nie uzyskawszy zgody P. Prezydenta, Rząd 12-go tego miesiąca podał się do dymisji, wcale nie „na niby", jak tego przenikliwie dorozumiewa się p. Mackiewicz, lecz jak najbardziej na serio, bo ustąpił z chwilą, gdy P. Prezydent miał możność powołania następnego. Na czele jego stanął p. Mackiewicz, który jak dowiedzieliśmy się z jego artykułu sam zaproponował P. Prezydentowi swą osobę. Nawiasem dodam, że p. Mackiewicz nie ma dostatecznych podstaw do tytułu wroga Nr 1 Zjednoczenia. Pamiętam bowiem dokładnie jak w dniu 14 marca (dniu podpisania aktu przez Stronnictwa w mieszkaniu generała Sosnkowskiego) rozpaczliwymi telefonami domagał się zwołania nagłej konferencji kilku przywódców Stronnictw Rady Narodowej. Na tej konferencji, w mojej m. in. obecności, oświadczył, że idzie dziś jeszcze podpisywać akt Zjednoczenia w imieniu swego Klubu Ziem Wschodnich. Motywował swój pośpiech obawą pozostania ze swymi przyjaciółmi poza przyszłą Radą Jedności Narodowej. Został po długich dyskusjach przez innych uczestników narady powstrzymany argumentem, że wspólnie podpiszą wspomniany akt, gdy zostanie ustalony sposób wprowadzenia w życie zamierzonego zjednoczenia przez urzędującego Prezydenta. Jeśli istotnie p. Mackiewicz był wrogiem zjednoczenia, to nie musiał wydawać się jego zwolennikom zbyt groźnym przeciwnikiem. Łatwo dał się sterroryzować i bał się opóźnić ze złożeniem podpisu choćby o dobę. Zmiana nastroju p. Mackiewicza ujawniła się znacznie później, a mianowicie wówczas, gdy skrystalizowało się stanowisko Prezydenta co do wykonania decyzji z 16 maja.

Myli się p. Mackiewicz również, gdy mówi, że „była wojna między ludźmi Prezydenta a ludźmi Andersa, albo powiedzmy krócej i wyraźniej — p. Hryniewski, członek Rządu gen. Odzierzyńskiego chciał być premierem". Uproszczenie sytuacji bardzo chwytliwe, lecz dalekie od prawdy historycznej.

Od dłuższego czasu Rząd gen. Odzierzyńskiego był zwalczany przez większość Rady Narodowej, w tej liczbie przez Klub p. Mackiewicza i przez niego samego z właściwą mu namiętnością. Nie wchodząc na razie

w przyczynę tego niezadowolenia Rady Narodowej z Rządu gen. Odzierzyńskiego, chcę przypomnieć p. Mackiewiczowi, że cztery z sześciu istniejących Klubów Rady (znowuż w tej liczbie i Klub jego i on sam) chciały od dłuższego czasu zmiany oraz że moja rzekoma chęć objęcia premierostwa nie była widocznie zbyt gwałtowna, gdyż na moje bodajże wyłączne perswazje przesilenie nie wybuchło znacznie, a to znacznie wcześniej. Po złożeniu przez min. Rusinka dymisji, którą poparłem złożeniem mojej — Rząd gen. Odzierzyńskiego podał się do dymisji.

Cztery kluby Rady Narodowej wysunęły moją kandydaturę, którą P. Prezydent przyjął i powierzył mi misję tworzenia Rządu. Gdy skonstatowałem, że z powodu nieoczekiwanych dla mnie przeszkód, stawianych mi przez gen. Andersa i jego otoczenie nie będę mógł zrealizować swych zamierzeń, złożyłem dymisję i doradzałem P. Prezydentowi powierzenie jej innej osobie. Między innymi wzięta była pod uwagę przez P. Prezydenta kandydatura p. K. Okulicza, którego niepowodzenie najniesłuszniej p. Mackiewicz przypisuje gorącej kontrofensywie p. Modrzewskiego i innych grup Rady Narodowej. Było wręcz odwrotnie. P. Okulicz uzyskał poparcie większości klubów Rady i oświadczenie gotowości wzięcia udziału w jego gabinecie przez szereg członków rządu poprzedniego, w tej liczbie i mojej. Nie zdecydował się on na utworzenie Rządu ze względu właśnie na negatywne stanowisko gen. Andersa, mimo twierdzenia p. Mackiewicza o najżyczliwszym przyjęciu przez generała osoby p. Okulicza. Były to fakty powszechnie wówczas znane i sądzę, że p. Mackiewicz mógł bez większego trudu uzyskać prawdziwe naświetlenie ówczesnej sytuacji od swego kolegi klubowego p. Okulicza. Z nieznanych mi powodów przedstawia dziś sytuację odmiennie. Po rezygnacji p. Okulicza nie uważałem dla siebie za możliwe odmówienia pomocy P. Prezydentowi w utworzeniu Rządu mimo całkowitego uświadamiania sobie dodatkowych trudności, na które napotkam w swej pracy.

Zarzut bezprogramowości Rządu, który stworzyłem, jest w ustach pana Mackiewicza znów zmianą poprzednio zajmowanego w tej materii stanowiska. Po konferencji prasowej, którą odbyłem zaraz po zaprzysiężeniu Rządu, p. Mackiewicz w obecności paru kolegów powiedział mi : ,,Rozumiem, że Rząd Pana jest rządem pojednania walczących obozów wewnątrz emigracji. Jest to słuszna droga. Napiszę o tym artykuł do Dziennika Polskiego w Detroit''. Nie pamiętam, czy artykuł taki ukazał się, niemniej jego ewentualny autor dał wyraz swej aprobacie dla tej części programu prac Rządu, która dotyczyła spraw wewnętrzno-emigracyjnych. Również gorąco popierał p. Mackiewicz stanowisko nasze co do konieczności uczynienia wszystkiego, co w naszej mocy, dla uchronienia Kraju od nieopłacalnych ofiar. Znana nam już była dość dokładnie tzw. sprawa Bergu oraz szereg innych tego samego gatunku poczynań, którym próbowałem przeciwstawić się, a skutkom ich, nieraz dla ludzi z Kraju tragicznym, zapobiec. Nie występował też wówczas p. Mackiewicz przeciwko zamierzeniom mego Rządu poruszenia m. in. sprawy naszej na forum Organizacji Zjednoczonych Narodów przez jedno z państw Ameryki Łacińskiej. Dziś o to bardzo się gniewa.

Chyba jest rzeczą niesporną, że każda próba poruszenia opinii światowej dla naszej sprawy jest dla nas pożądana i w razie powodzenia wysił-

ków — w jakimś stopniu korzystna. Dla tej kolejnej próby wybrałem teren państw łacińskich na drugiej półkuli a to ze względu na łatwiejsze podejście do ich politycznego kierownictwa, na znane w niektórych krajach tego obszaru sympatie pro-polskie, oraz na to, że szereg wybitnych reprezentantów tych narodów występował w sprawie uwolnienia Polski spod okupacji sowieckiej. Nie bez wagi w tej materii było zdecydowanie antykomunistyczne nastawieniu kilku z południowo-amerykańskich państw. Uwzględnialiśmy wówczas w naszej ocenie również fakt, że państwa te, leżąc w oddali od bezpośredniego sąsiedztwa Sowietów i ich satelitów są mniej przepojone obawą przy wyrażaniu swego zdania w czasie debat organizacji międzynarodowych. Podjęta przez ówczesnego ministra Spraw Zagranicznych, p. S. Janikowskiego próba via naszych przedstawicieli dyplomatycznych w tych krajach dała od razu sporo pozytywnych oddźwięków; w ciągu 5 miesięcy istnienia mego Rządu posunęliśmy tę sprawę dość daleko.

Wydaje mi się, że ostatnio zanotowane przez prasę polską na uchodźtwie wystąpienie w U.N.O. przedstawiciela Kuby z ostrym atakiem na Sowiety jest namacalnym dowodem podatności gruntu, na którym próbowaliśmy pracować.

Te skromne poczynania ówczesnego Rządu na arenie międzynarodowej p. Mackiewicz wyszydza w sposób dziwnie nie licujący z pozycją członka obozu niepodległościowego. P. Mackiewicz zamyka tematykę polityki zagranicznej uwagą, która nie wymaga komentarzy, a zwalnia właściwie od potrzeby polemizowania z jego wywodami. Mówi on na str. 113 (cytuję dosłownie): „Wierzyłem, że *jedyny* (podkreślenie moje) na emigracji mam program w polityce zagranicznej i dlatego chciałem utrzymać się na stanowisku premiera...".

◆

Przechodzę do poważnej sprawy Bergu. Trudno pisać o niej bez uczucia głębokiego żalu i wstydu. Genezą Bergu są bezrozumne poczynania pewnych komórek wywiadów zachodnich, które niezgrabnie zgrywają poważny polityczny atut, jakim są emigranci zza Żelaznej Kurtyny dla krajów zachodnich.

Na chłodno oceniając to zagadnienie, każdy zgodzi się, że wywiad musi istnieć i będzie zawsze prowadzony przez zainteresowane mocarstwa. Ta reguła dotyczy również naszych potencjalnych sprzymierzeńców. Elementy bardziej awanturnicze z emigracji narodów, poddanych okupacji sowieckiej, chętnie zgłaszają się do tej pracy. Czynią to również fachowcy wywiadu, którzy oddają organizacji wywiadu zachodniego poważne usługi. Akcja wywiadowcza z reguły jest prowadzona przez specjalistów, nie dotyka szerszych kręgów ludności i w związku z tym w razie niepowodzenia nie powoduje większych ofiar. Rząd uchodźczy nie ma możności podnoszenia zastrzeżeń przeciwko temu, gdyż bezpieczeństwo każdego kraju jest dla tego kraju sprawą najważniejszą i żadne państwo nie może zaniechać wysiłków, by znać poczynania strony przeciwnej. Nie mógłby tego zrobić również Rząd Polski, jak tego nie czynił w przeszłości, gdy ponosił odpowiedzialność za losy swego Kraju.

Inną natomiast rzeczą jest sprawa dywersji w naszym Kraju, a jeszcze

bardziej inną — gdy stronnictwa polityczne próbują z procederu wywiadowczo-dywersyjnego zdobywać środki materialne na swoje poczynania i walki wewnętrzno-polskie. Tego rodzaju działalność stoi w sprzeczności zarówno z naszym kodeksem karnym jak i moralnością publiczną. Dodać należy, że akcja taka jest prowadzona zwykle niefachowo oraz wciąga w swe szeregi szeroki zastęp ludzi dobrej woli, nieprzygotowanych do tego typu prac. Stąd, jak wiemy z tej smutnej afery — ofiary idące w setki osób.

Gdy jako minister spraw krajowych w rządzie gen. Odzierzyńskiego uzyskałem informacje o kompleksie spraw wywiadowczo-dywersyjnych, które dziś są znane opinii publicznej pod nazwą „Sprawa Bergu" oraz innych, mniejszych co do zakresu, a w związku z tym i mniej groźnych dla naszych rodaków w Kraju poczynaniach, niezwłocznie przedstawiłem całą powagę tych nierozsądnych i niemoralnych akcji Radzie Ministrów. Zdecydowano zwołać Radę Gabinetową pod przewodnictwem P. Prezydenta z udziałem gen. Andersa i gen. Kopańskiego. Na tej Radzie przedstawione zostały przeze mnie jak i przez przedstawicieli władz wojskowych materiały, dotyczące akcji pewnych stronnictw politycznych w dziedzinie wywiadu i dywersji. Po bardzo dokładnym rozważeniu niebezpieczeństw płynących z tych działań dla ludności naszego Kraju oraz jednogłośnie oceniając ujemne skutki podważenia autorytetu polskich czynników politycznych na arenie międzynarodowej w wyniku ujawnienia podwójnej nierzetelności aktorów tego ponurego widowiska, postanowiono w pierwszym rzędzie, że Rząd ma wydać odezwę-ostrzeżenie do Polaków w Kraju. Odezwa została zaprojektowana przeze mnie z łaskawą pomocą kilku panów z Komisji Spraw Krajowych i Zagranicznych Rady Narodowej, zatwierdzona w czasie następnego posiedzenia Rady Gabinetowej i nadana do Kraju w dniu 30 stycznia 1953 r. przez rozgłośnię w Madrycie oraz przez parę innych rozgłośni, wówczas z nami współpracujących. W odezwie tej został m. in. przytoczony wyjątek z przemówienia P. Prezydenta z dnia 4 stycznia tego roku, ostrzegający naszych rodaków w Kraju przed nieopatrznymi wystąpieniami i akcją sabotażową, podejmowaną w interesie państw obcych. W dalszym ciągu odezwa mówiła : „Jeżeli nawet znajdują się na uchodźstwie poszczególni ludzie wyłamujący się z jednolitej postawy społeczeństwa i podejmują działania, przed którymi tak niedawno przestrzegał w surowych słowach Prezydent R.P — to czynią oni wyłącznie na własną odpowiedzialność. Rząd RP., przebywający na obczyźnie, nie jest obecnie w możności przeprowadzenia dochodzeń. Jedno wszakże może być stwierdzone już teraz : ludzie ci nie mają prawa powoływania się na legalne władze R.P. Żadne patriotyczne hasła, żadne szanowne nawet nazwy i tradycje niechaj Wam nie przesłaniają tej prawdy".

W podobny sposób oceniano te sprawy w czasie narad odbywanych u P. Prezydenta z okazji pobytu gen. Sosnkowskiego w Londynie. Mimo że na posiedzeniu w dniu 17 grudnia kiedy omawiano sprawy krajowe, nie dysponowaliśmy całością materiałów dotyczących tego rodzaju spraw — stanowisko wszystkich obecnych jakby antycypowało późniejsze nasze kroki w tej sprawie. Nie powzięto wówczas żadnych uchwał a to ze względu na to, że w ogóle w czasie tych narad nie podejmowano decyzji, omawiając jedynie sytuację i pozostawiając rządowi wszystkie sprawy do dalszych załatwień.

Zwróciłem się jednocześnie do prezesów Komisji Krajowej i Spraw Zagranicznych prosząc o zebranie połączonych Komisji łącznie z przewodniczącymi Klubów Rady Narodowej. Na tym zebraniu dokładnie poinformowałem kierownicze polityczne czynniki obozu legalistycznego o sytuacji wytworzonej przez „Berg" oraz o posiadanych przez rząd materiałach w tej sprawie.

W międzyczasie materiały dowodowe w tej sprawie w dalszym ciągu napływały do nas, i stawał się coraz jaśniejszy cały obraz tej nieciekawej afery. Po utworzeniu mego rządu prosiłem ministra Sprawiedliwości, którym był p. Okulicz, o prawne opracowanie całej tej sprawy. W wyniku dokładnego przeanalizowania jej przez paru kompetentnych prawników, Rząd po wysłuchaniu referatu p. Okulicza, postanowił przekazać akta Sądowi Obywatelskiemu celem ostatecznego wyjaśnienia i ustalenia odpowiedzialności poszczególnych osób, które minister Sprawiedliwości, jako Naczelny Prokurator zdecydował postawić w stan oskarżenia.

Sąd Obywatelski nie zdążył rozpatrzeć tej sprawy. Jak to już chyba powszechnie wiadomo, po rozbiciu Sądu Obywatelskiego (po dniu 8 czerwca 1954 r.) jeden egzemplarz aktu oskarżenia został przekazany przez byłego przewodniczącego Sądu Obywatelskiego do Tymczasowej Rady Jedności. Odpisy jego oraz dołączonych dowodów winne się znajdować w aktach ministra Sprawiedliwości Rządu na uchodźstwie.

Na str. 109 p. Mackiewicz pisze: „sprawa Bergu mi się udała, dzielę zasługę podniesienia sprawy Bergu wyłącznie z p. Matłachowskim, poza tym wszyscy inni przystąpili do podnoszenia sprawy Bergu dopiero wtedy, gdy zobaczyli, że to chwyta". W świetle przytoczonych przeze mnie faktów oraz wyznania samego p. Mackiewicza, że już rząd gen. Odzierzyńskiego zlecił badanie tej sprawy, znowuż trudno zrozumieć sposób jego myślenia, gdyż zarówno w tym jak i późniejszym okresie rola p. Mackiewicza sprowadzała się jedynie do napisania paru artykułów i broszury na podstawie udostępnionych mu przez czynniki rządowe materiałów. Zapomina też p. Mackiewicz o ukazaniu się w tym czasie szeregu wypowiedzi prasowych na ten temat kilku autorów. Nawiasem jeszcze dodam, że honoraria za te prace były skrupulatnie przez p. Mackiewicza egzekwowane, a los zdarzył tak, że wobec braku pieniędzy w kasie rządowej zmuszony zostałem do przejęcia na własny rachunek, a kwity p. Mackiewicza są wobec tego w moim posiadaniu.

Decydując skierowanie aktów do Sądu Obywatelskiego zarówno ja jak i wszyscy moi koledzy z gabinetu, powodowaliśmy się chęcią oczyszczenia naszego życia publicznego z tego rodzaju tragicznych wynaturzeń oraz uchronienia na przyszłość zarówno Kraju jak i uchodźstwa przed możliwością powtórzenia się sytuacji, o której mówi akt oskarżenia. Obce całkowicie były nam, a mnie przede wszystkiem, tendencje do ukucia z ofiar życia ludzi w Kraju i brzydkich afer pieniężnych pewnych przywódców politycznych emigracji — kapitału dla rozgrywek wewnętrznych. Nie uznawałem i nie uznaję zbiorowej odpowiedzialności w sprawach karnych. Winne są tylko jednostki, które stanęły w kolizji z moralnością i prawem. Nie chciałem więc obciążać winą całych grup czy stronnictw. Zresztą nikogo nie chcieliśmy obciążać bez dania możności obrony. Dlatego też nie załatwiłem sprawy w ramach Rządu a przekazałem niezależnej instancji Sądu Obywatelskiego.

Również dlatego nie chciałem w czasie rokowań zjednoczeniowych przedwcześnie dostarczać materiałów do opublikowania. Uczyniłem to dopiero w kwietniu jak słusznie podaje w swoim artykule p. Mackiewicz.

Sprawa Bergu wciąż niestety czeka na całkowite wyjaśnienie, bez którego trudno sobie wyobrazić uzdrowienie stosunków politycznych na uchodźstwie.



P. Mackiewicz przypisuje jedynie sobie ustalenie zasady, że polityka polska winna być niezależną od czynników obcych. Jest to dowód krótkiej pamięci albo też dość bezceremonialne przejście do porządku dziennego nad rzeczywistością. Nie cofając się w czasie zbyt daleko wstecz mogę stwierdzić jak najkategoryczniej, że poczynając od Rządu śp. T. Tomaszewskiego — jego rząd i wszystkie późniejsze tę zasadę uważały za swe naczelne zadanie i to nie tylko o tym mówiono, lecz w praktyce do niej stosowano się. Sam niejednokrotnie, wypowiadając się na ten temat, formułowałem ten tak słuszny a jednocześnie tak trudny do realizacji postulat, że polityka polska może być zależną jedynie od polskiej racji stanu. Inne zależności są dla niej na pewno bardzo niekorzystne, jeśli często nie zgubne. Zdając sobie dokładnie z tego sprawę m. in. dlatego podjąłem inicjatywę stworzenia Skarbu Narodowego. Aż nadto dobrze rozumiałem, że bez własnych pieniędzy nie da się prowadzić *polskiej* polityki na uchodźstwie. Mimo oporów z wielu stron, mimo braku wiary we własnych szeregach — udało się nam przy moim dość istotnym współuczestnictwie w charakterze urzędującego wiceprzewodniczącego Głównej Komisji Skarbu Narodowego, zbudować organizację, która dała w ostatnim roku działania prawdziwego Skarbu Narodowego (przed jego rozbiciem) blisko £38.000 ze zbiórek i darów. Zdobyte środki materialne dawały możność kolejnym rządom prowadzenia niezależnej polityki polskiej.

Mimo dokładnej znajomości tych wszystkich faktów p. Mackiewicz twierdzi, że dopiero w drugiej połowie 1954 roku on właśnie zaczął prowadzić niezależną politykę polską !

Trudno właściwie z tego rodzaju egocentryzmem polemizować. Nie wolno jednak, mówiąc poważnie o sprawach tak istotnych jak walka o niepodległość w obecnej naszej sytuacji, demagogicznie symplifikować tej najsłuszniejszej zasady o niezależności naszej polityki. Wzajemne oddziaływanie i współzależność między państwami istniały, istnieją i będą istnieć. Dotyczy to również, i to w sposób ustokrotniony, naszego państwa na uchodźstwie. W naszym przypadku chodzi tu jedynie, by na naszą politykę nie miały wpływu gadzinowe pieniądze z różnych ciemnych źródeł płynące. By politycy polscy na uchodźstwie mieli możność działania bez indywidualnej „pomocy" tych czy innych źródeł wywiadowczo-dywersyjnych. Skarb Narodowy mógł to zapewnić, dlatego też pracy nad jego budową poświęciłem parę lat wytężonych wysiłków. Został rozbity w wyniku znanych wszystkim okoliczności, a rola p. Mackiewicza w przyspieszaniu i pogłębieniu rozbicia była również nie mała.

Skarb Narodowy może działać skutecznie pod warunkiem, że kierownictwo polityczne posiada zaufanie społeczeństwa na uchodźstwie.

To zaufanie odbudowaliśmy z powodzeniem w latach 49-54.

Są ludzie, a obawiam się że w pierwszym rzędzie należy do nich autor omawianego artykułu, którzy wyżywają się w obecnej wojnie domowej. Nie mam zamiaru z nimi współzawodniczyć.

◆

Z poważnej sprawy skarbów wawelskich chciał p. Mackiewicz zrobić również efektowny „coup de théâtre". W rezultacie zaszkodził temu, co chciał naprawić i doprowadził do niepotrzebnego upokorzenia naszego rządu. Nie wiele mam do dodania do wyjaśnień kustosza skarbów p. Polkowskiego, które ukazały się w prasie emigracyjnej. Wiem dokładnie i są na to dowody rzeczowe, że na konserwację Skarbów były wyznaczane rok rocznie pokaźne jak na nasze stosunki kwoty. Są one pod fachową opieką i uwzględniają specyficzne warunki tej sprawy, są przeglądane, oczyszczane i w razie potrzeby reperowane systematycznie. Nie robiono ze sprawy Skarbów tematu publicznie omawianego ze względu na trudności polityczne, na które napotykały kolejne rządy na uchodźstwie. Wiadomo bowiem, że Rząd kanadyjski, który odmówił reżymowi bierutowskiemu wydania Skarbów Wawelskich jest nadal pod stałym naciskiem. Słusznie obawiano się niepotrzebnego rozgłosu, który w rezultacie mógł dać wynik przeciwstawny naszym zamierzeniom. Sprawa jednak została w prasie amerykańskiej poruszona, bodaj że przez p. Jantę a p. Mackiewicz bez poważniejszego przygotowania negocjacyjnego wystąpił do Rządu Kanadyjskiego o przekazanie Skarbów Wawelskich do Muzeum w Waszyngtonie. Rezultatem tych „dyplomatycznych" zabiegów był niemiły list Rządu Kanadyjskiego, odmawiający naszemu Rządowi prawa dysponowania Skarbami. Sprawa została zamknięta z nieprzyjemnym wydźwiękiem zarówno w świecie zachodnim jak i wśród społeczeństwa naszego w Kraju i na emigracji. Byłem więc bardzo zdziwiony, gdy w czasie rozmowy ze mną p. Mackiewicz powiedział, że uważa za wielkie osiągnięcie nadanie tej sprawie tak głośnej „publicity". Wyraziłem wątpliwość czy „publicity" w każdej sprawie jest dla nas korzystne. Dodałem, że zlekceważenie przez Rząd Kanadyjski uprawień naszego Rządu w tej sprawie mocno wszystkich Polaków dotknęło i że opinia słusznie uważa poruszanie takich spraw bez uprzedniego dokładnego przygotowania za wielki błąd. Nie przekonało to jednak p. Mackiewicza, który nadal obstaje, że zrobił dobrze.

Gdy w ciągu następnego dnia powtórzyłem moją rozmowę z p. Mackiewiczem jednemu z najdowcipniejszych naszych polityków — prof. A. Pragierowi, mój rozmówca w odpowiedzi przypomniał mi nowelkę Czechowa, która jego zdaniem bardzo pasowała do wytworzonej sytuacji.

W nowelce autor opowiada jak w pewnej skromnej, urzędniczej czy mieszczańskiej rodzinie zapanowało radosne, pełne dumy podniecenie na tle notatki miejscowego pisma, dotyczącej najstarszej latorośli rodu. Gazeta informowała, że p. X. będąc w stanie nietrzeźwym został potrącony przez konny tramwaj i odwieziony do szpitala. „Rozumie Pan, mówił bohater sprawy do przygodnego gościa, że stałem się sławny w naszym mieście i nawet w całej Rosji".

Źródła samozadowolenia mogą, jak widzimy, być różnorakie.

P. Mackiewicz z niepojętą satysfakcją odsłania w swym artykule pseudonimy ludzi z Kraju, pod którymi działają oni na uchodźstwie.

Dziś można uważać to już za nieszkodliwe. Dla wiadomych czynników są to osoby całkowicie rozkonspirowane. Dotyczy to zwłaszcza większości politycznie zaangażowanych.

P. Mackiewicz spędził czasy wojny i okupacji w pracy publicystycznej na emigracji. Nie zna z własnego doświadczenia ani warunków pracy konspiracyjnej ani też potrafi wczuć się w nastrój walki oraz uszanować obowiązki jakie ona na swych byłych uczestników nakłada.

Mimo tych łagodzących okoliczności, dla nas, ludzi z Polski Podziemnej, ta jego nieco złośliwa nonszalancja jest i niezrozumiałą i budzącą smutne refleksje.

Wyrazy poważania łączę

J. HRYNIEWSKI

◆

Monachium, 10 lutego 1956.

Szanowny Panie Redaktorze,

Od wielu lat czytam „Kulturę", niestety od kilku lat nie abonuję.

Po przeczytaniu listu p. J. Maszczyka, zamieszczonego w lutowym numerze „Kultury", aby nie robić wrażenia, że inni czytelnicy są równie bezmyślni — zgłaszam abonament „Kultury" na rok 1956.

Z poważaniem

Wacław BNIŃSKI

Londyński korespondent „Kultury": Juliusz MIEROSZEWSKI,
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CHIswick 1860.

Cena ogłoszeń: cała strona 20.000 frs., 1/2 *strony* 10.000 frs.
(*w tekście* + 50%; *okładka* + 100%).

Wydawca: Edition et Librairie „LIBELLA",
12, rue St-Louis-en-l'Ile, Paris (4e)

Directeur-gérant: Mme Christiane Karasiewicz.
Dépôt-légal: 1er *Trimestre* 1956.

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, Av. de Poissy Maisons-Laffitte (S.& O.)
Telefon : Maisons-Laffitte (S.-et-O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata ½-roczna	Prenumerata Roczna
AFRYKA POŁUDNIOWA: Janusz Kruszyński, 54, 15 th. St., Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
ARGENTYNA: Tadeusz Dąbrowski, „Libreria Polaca", Serrano 2076, Buenos Aires	15 peso	90 peso	180 peso
AUSTRALIA: „Vistula" (Australia) PTY Ltd., 77, Pitt Street, Sydney	5 sh. (a.)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6.
BELGIA I KONGO BELG.: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Square Saincteletté, app. 2, Bruxelles, Nr konta poczt. 7315-20.	30 frb.	145 frb.	260 frb.
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: **Julia Barcińska,** r. Itaipava 101 (J. Botanico), Rio de Janeiro; **Zofia Kietlińska,** Av. Batel 1514, Curitiba, Paranà; **Hanna Lekszycka,** r. Guiarà 139, vila Pompeia, Sao Paulo	40 cruz.	200 cruz	380 cruz.
BRYT. AFRYKA WSCH. (Kenya, Tanganyka, Uganda), Roman Królikowski, POBOX 5979, Nairobi, Kenya	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
FRANCJA: „Libella", 12, rue St-Louis-en-l'Ile, Paris (4e)	180 fr.	900 fr.	1.800 fr.
HOLANDIA: T. Szpilczyński, Stadhouderskade 60 A, Amsterdam-Z., Tel.: 716080	2 fl. hol.	12 fl. hol.	24 fl. hol.
KANADA: K. Krakowska, 3445 Marlowe Ave., N.D. de G., Montreal/Que., Tel.: HU 8-5224; **St. L. Lemanski,** 472 Aïkins St., Winnipeg/Man.; **H. R. Radomski,** 107, Rose Park Drive, Toronto/Ont. Tel. HY-0829; **St. Zybała,** 1089 Queen St. W., Toronto/Ont.; **„Związkowiec",** 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tel. LE 1-2491.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK: Victor Stanisławski, Apartado Postal 206, Culiacan, Sin.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY: „Ostatnie Wiadomosci", Gendarmerie Kaserne, Mannheim-Schoenau; St. Mikiciuk, (13b) München 45, Gablonzerstr. 7/I.	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
NORWEGIA: Br. Łubiński, Moss, Kongesgt. 2.	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 2, rue Thalberg, Genève, Tél. 32-32-92	2 fr. szw.	12 fr. szw.	22 fr. szw.
SZWECJA: Red. Norbert Żaba, Kallskärsgatan 3/IV, Stockholm		18 kor.	33 kor.
U.S.A.: Polish Amer. Book C°, 1136 Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.; **W. Bieńkowski,** „Gryf Publ.", 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; **L. Dudarew Ossetyński,** 28471 Ventura Blvd, Agoura, California; **S. Dziarczykowski,** 3216 W.—15 St., Los Angeles 19, California; **M. K. Dziewanowski,** 51 Reservoir St., Cambridge 38, Mass.; **T. Konopacki,** 1356 E. 86 St., Cleveland 6, Ohio. Tel. SW-1-2040; **Ch. M. Kretowicz,** 2109 Robinwood Ave, Toledo 2, Ohio; **A. Pleszczynski.** 2025 Monterey St. Santa Barbara, Calif.; **K. Trojanowski,** 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich. **S. Dobczynski,** Alma Shipping Co., 11 Cooper St., New York 34, N.Y. **The Polish Book Importing Co, Inc.,** 38 Union Sq., New York 3, N.Y.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
W. BRYTANIA: „Gryf" Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11.	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
WŁOCHY: Ewa WIERUSZ-Kowalska, Corso Trieste 130/5, Roma, tel. 859632.	300 lir	1.750 lir	3.000 lir

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie. Przesyłka pojedyńczego numeru: 30 frs.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres :

Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, **Maisons-Laffitte (S.-et-O.)**

Imprimerie RICHARD,
24, rue Stéphenson, Paris (XVIIIe).

Cena 180 frs.